

ANNA KLEJZEROWICZ



MEDALION
Z BURSZTYNEM

FILIA

Wszystkie zdarzenia i osoby występujące

w tej książce są fikcyjne.

*Dedykuję moim Przyjaciołom z portalu „Książka
zamiast Kwiatka”. Za to, co robicie dla polskiej
literatury. Jestem dumna, że mogę w tym pomagać.*

*i wy dziewice pożogi
przez wiersz przeświecają wasze ręce
księżycem złowrogim
zorza opada przez chmury
a semafor wybucha wżwyż
drzewa kwitną drzewa wicher łamie
konie fal szaleją u zgliszcz*

fragment, *Bez nut*

Józef Czechowicz

PROLOG

Gdańsk, jesień 1956 roku

– A teraz posłuchaj, suko. – Mężczyzna zbliżył zarośniętą twarz do jej twarzy; cuchnął samogonem. – Będiesz trzymała mordę na kłódkę. *Panimajesz?* Na kłódkę! Inaczej skończysz jak mężuś, którego za bardzo świerzbił jęzor. I nie muszę ci chyba mówić, co wtedy stanie się z tym bachorem?

– Puszczaj... – jęknęła, gdy ścisnął jej ramię jak w żelaznych kleszczach.

– Kapujesz, suko, pytam się ciebie?!

– Tak. Tak!

Gdy kilka minut przedtem rozległo się walenie i kopanie w drzwi, otworzyła, bo i tak pewnie by je wyważyli. Nikt by nie pomógł. Był już późny wieczór, ludzie pozamykali się w mieszkaniach. Zresztą i tak w podobnych sytuacjach wszyscy jak na zawołanie głuchli. Kto by tam chciał ściągać sobie na głowę kłopoty...?

Przyszło ich dwóch. Ubrani po cywilnemu; z daleka widać było, że są pijani. Krzyczeli, że milicja. Ale to nie była milicja. Mieli na sobie cywilne ubrania, nie mundury. A może była...? Kto teraz może to wiedzieć. Kobieta nie wiedziała. Jeden – ten, który teraz boleśnie ścisnął jej ramię – pchnął ją na kuchenne krzesło. Drugi najpierw obojętnie wyglądał przez okno, po czym – jakby znudzony – zaczął szperać w jej szufladach. Niczego ciekawego w nich jednak nie znalazł, bo kopnął szafkę ubłoconym buciorem i z powrotem zajął się obserwacją podwórka.

– U mnie tam serce *szczipatielnoje* – ciągnął mężczyzna. – Nawet takiego pomiotła żal skrzywdzić. Ale ja tu tylko sprzątam. Inni nie są już tacy miłosierni. Kapujesz?

Pokiwała głową gorliwie.

– No! – cmoknął zadowolony.

Zerwała się z krzesła, słysząc z korytarza, że stuknęły drzwi od pokoju. Czyżby mała...? Mała się obudziła...?

– Idziemy, *tawariszcz!* – Mężczyzna o zarośniętej twarzy skinął na swojego kompana.

W drzwiach kuchni stanęło dziecko. Około dziesięcioletnia dziewczynka w nocnej koszuli, o włosach tak jasnych, że prawie białych. Wpatrywała się w obcych oczami okrągłymi jak spodki.

Nieruchomymi.

Nie płakała.

– To jest to szwabskie nasienie? – charknął pogardliwie zarośnięty, mierząc małą od stóp do głów.

– Nie mów tego przy mojej córce! To jeszcze dziecko. – Podeszła szybko do dziecka, zasłaniając je przed złym spojrzeniem. Poczuli nagle silne uderzenie w twarz, aż zatoczyła się na ścianę – nie wypuściła jednak dziewczynki z objęć.

– Nu, głupia kurwo. Będiesz pamiętać, coś tu obiecała? Czy mamy od razu zająć się smarkatą?

– Będę pamiętać! Przysięgam!

– Przysięgać to se możesz w kościele. Wiemy, że tam łazisz. Mnie tam gównem obchodzą twoje przysięgi. Morda w kubeł, bo obie będziecie gryźć ziemię. Tak jak miało być od początku. Wypierdalamy stąd, kamrat! Łapy przy sobie. Nie było rozkazu!

Zanim zdążyła odetchnąć z ulgą, usłyszała odgłos zatrząskiwanych z hukiem drzwi i tupanie na schodach drewnianej klatki schodowej. Słyszała nawet bolesne skrzypienie spróchniałego drewna.

Kolejne trzaśnięcie.

Spokój...

Tuląc dziecko do piersi, przypomniła sobie tamtą noc, sprzed laty, gdy biegła, potykając się, w ciemnościach – z niemowlęciem drżącym z zimna, okrytym tylko zmoczoną kołderką i zanoszącym się płaczem w jej ramionach – a za sobą słyszała wystrzały oraz jęki i krzyki.

Oni już zasnęli na wieki.

Padł ulewny deszcz...

CZĘŚĆ PIERWSZA

I LIST Z KOMODY

Współcześnie

– Tej staroci chyba trzeba by się pozbyć. – Andrzej wzruszył ramionami, przyglądając się niewielkiej starej komodzie w rogu pokoju, zaśnieżonej i pokrytej kurzem. – Do niczego się już raczej nie nada, a piękna nie jest. Żaden antyk. Co myślisz?

Ewa rzuciła okiem i też wzruszyła ramionami.

– To może wystaw ją koło śmietnika? Może ktoś się skusi. Zawsze mi szkoda starych mebli.

– Mnie też, ale nie możemy zatrzymać tej całej graciarni. Ta szafka to naprawdę szmelc. Okej, wystawię ją. Komuś się pewnie przyda, choćby na opał.

– Dobra, ale najpierw trzeba ją przejrzeć i opróżnić. Weźmiesz się za to? Ja bym dokończyła z tym kredensem...

Przeciągnęła się i westchnęła. Już od dwóch godzin kuciała przy szufladach i selekcjonowała komplety sztucców. Chryste, ileż można było tego nagromadzić! Ale co niektóre warte były grzechu. Znalazła nawet ozdobne srebrne zastawy, co prawda w fatalnym stanie, ale da się to odnowić.

– Jasne – odparł jej mąż. – Rób swoje, dam sobie radę. A ten kredens zostawiamy?

– Kredens tak! Kocham go od dziecka. Zresztą zobacz, może to żaden cud, ale to przedwojenny gdański mebel. Spójrz na te rzeźbienia. Są piękne.

– Ale straszny z niego grzmot...

– To duże mieszkanie. Pasuje tu.

– Przecież i tak zamierzamy je sprzedać?

Zawahała się.

– Jeszcze nie jestem zdecydowana. – Przysunęła sobie karton. – Nie wiem. Mam sentyment. Może warto je trzymać dla Kacpra? Wynająć? Jest w świetnym punkcie.

– No właśnie. Jest sporo warte. A nam się nie przelewa – upierał się. – Kacper ma dopiero czternaście lat.

– Aż czternaście! – Roześmiała się. – Prawie piętnaście. Zastanowimy się jeszcze. Nie decydujemy pochopnie, okej?

Zajęli się każde swoją robotą.

Ewa odziedziczyła to mieszkanie po babci prawie rok temu i dopiero teraz zebrali się w sobie, by się nim zająć. Wcześniej jakoś nie było okazji, czasu, pieniędzy... Poza tym oboje z Andrzejem czuli się głupio, bo w zasadzie scheda po babce należała się Halinie, matce Ewy, obecnie emerytowanej nauczycielce. Matka jednak odmówiła przyjęcia spadku i uparła się, by przepisać mieszkanie na córkę. Córkę, z którą i tak od lat prawie nie utrzymywała kontaktów. Nie dlatego, że coś je poróżniło. Nic z tych rzeczy. Halina po prostu taka była: zimna, milcząca, nieczuła, wyobcowana. Cała rodzina od zawsze uważała ją za dziwaczkę. Dawniej Ewa – szczególnie gdy była nastolatką – próbowała usilnie zbliżyć się do matki. Potem jednak

zaakceptowała stan rzeczy i poniechała tych prób. Wychowywała ją babka. To ona była dla niej matką, ojcem, najbliższą osobą. Od wczesnego dzieciństwa. Halina nie miała bliższych więzi z nikim. Nawet z własną matką, czyli babką Ewy. Żyła samotnie na uboczu, bez rodziny, przyjaciół. Bez partnera. Ojca Ewa nigdy nie poznała. Nigdy się nią nie interesował, choć niby formalnie uznał ojcostwo i płacił na nią symboliczne alimenty aż do czasu, gdy dziewczyna ukończyła studia w wyższej szkole plastycznej. Ona także nigdy nie próbowała go poznać. Taka była umowa – jak poinformowała ją matka, gdy Ewa miała sześć lat. Dziewczynka zaakceptowała ten fakt i tak już zostało. Wkrótce po tym, gdy skończyła studia, ojciec – o ile w ogóle można go tak nazwać – zmarł, o czym dowiedziały się po dwóch latach. Przyczyną śmierci była podobno nagła choroba. Jaka? Ewa nie dociekała. Matka wypowiadała te słowa z cynicznym uśmiechem na ustach.

Więc gdy w końcu zdecydowała się przejąć odziedziczone mieszkanie przy Jaśkowej Dolinie we Wrzeszczu – tylko dlatego, że w nim się wychowała, choć nie było to może najradośniejsze dzieciństwo – upłynął niemal rok. Był to czas bicia się z myślami i skrupułami. Wreszcie jednak postanowili mieszkanie opróżnić, odmalować i sprzedać. Marzyli o małym domku za miastem. Po sprzedaży dwóch mieszkań byłoby to wreszcie realne...

– Ewa! – Okrzyk męża wyrwał ją z zamyślenia. – Możesz podejść?

– Co jest? Drzazga ci weszła?

Z wysiłkiem podniosła się z klęczek. Zawsze coś...

– Tu coś jest!

– Co?

Obrzuciła wzrokiem stos drobiazgów, leżących na podłodze obok komódki: jakieś stare ołówki, plastikowy długopis, szpulki nici, książeczka do nabożeństwa. Nic ciekawego.

– No, co jest? – powtórzyła. – Wywal to, tam masz karton...

Andrzej przerwał jej niecierpliwie:

– Tu coś jest przyklejone do wewnętrznej ścianki. Wygląda jak koperta... Czeka! Zaraz to wyciągnę...

– Przyklejone? – Wbrew sobie poczuła dreszcz. – Specjalnie?

– Na to wygląda. Możesz poświecić? Wolałbym tego nie uszkodzić. – Podał jej kieszonkową latarkę. – Mam!

Koperta była duża, szara, ze wszystkich stron obklejona taśmą, wyglądała na bardzo starą. Pośrodku miała wybrzuszenie.

– Zaczekaj. Przyniosę nóż z kuchni – powiedziała.

W środku znaleźli coś bardzo dziwnego...

* * *

Ewa z namaszczeniem oglądała pod światło misternie wykonany wisior – czy też może raczej medalion – z wielkim obłym bursztynem oprawnym w ażurowe srebro (chyba srebro?), na grubym łańcuszku o dużych oczkach. Bursztyn był niezwykle piękny, prawdziwy okaz: miejscami przejrzysty, miejscami mleczny, a w środku zatopiony został... cały świat! Jakieś rośliny, trawy, kwiaty układające się w fantastyczny baśniowy pejzaż. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego. Nawet w albumach. Srebro, choć z wierzchu lekko przybrudzone, nadal lśniło, zachwycając urodą finezyjnych wzorów. Na pierwszy rzut oka widać było, że to stary wyrób.

– Niezwykły – wyszeptała. – A jaki ciężki! Na odwrocie coś jest wygrawerowane... Ale nie odczytam. Zobacz, może tobie się uda? – Podała wisior mężowi.

Andrzej ostrożnie przetarł klejnot chusteczką i wytężył wzrok.

– Nie jestem pewny, takie zawijasy... ale... Czekaj... To chyba imię. Zaraz, zaraz... Tak... „Louise”. Na bank. A pod spodem mniejszymi literami... „Danzig ’44”.

– Luiza? – Wzruszyła ramionami. – Pierwsze słyszę. Nie mieliśmy takiej w rodzinie. Babcia miała na imię Maria.

– Może prababcia?

– Wykluczone. Rodzice babci to byli biedni rybacy! Nie nosili eleganckiej biżuterii. – Zaśmiała się. – Ani takich wymyślnych imion.

Andrzej rozłożył ręce.

– No to już nie wiem. Skądś go musieli wytrzasnąć, nie jest przecież kradziony. Może kupili? Zdaje mi się, że twój dziadek za życia biedny nie był... Pewnie stać go było, by sprawić żonie taki prezent.

Ewa rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

– Nie bądź złośliwy, dobrze?

– Nie jestem! Poddaję się. Otwórz lepiej tę drugą kopertę. Może tam znajdziesz wyjaśnienie.

Zawahalała się. Poczula nagle dziwny opór przed otwarciem tej koperty. Sama nie rozumiała dlaczego. Ale czemu ktoś miałby ukrywać jakieś listy? Nie bez powodu przecież. W dużej szarej kopercie – prócz wisiorka – znajdowała się druga, mniejsza koperta. Inna, bardziej „listowa”, kremowej barwy. Bez żadnego adresata. Po prostu czysta, nieco pożółkła, poplamiona zaciekami od wilgoci, zaklejona koperta.

– A jeśli...

– Co takiego?

– Nie wiem, do kogo to jest...

– Ewka, spokojnie! Nie wygłupiaj się. – Andrzej zarechotał. – Już do nikogo. Więc równie dobrze do ciebie. Zastanów się. Przecież widać, że ten list, czy coś tam, jest stary jak świat! Zresztą nie jest napisane do kogo. Ty odziedziczyłaś mieszkanie, więc i wszystko, co w nim się znajduje. Nie musisz zawsze być taka... akuratna.

Westchnęła.

– Dobrze. Otwieram.

Delikatnie, choć z bijącym sercem, odkleiła skrzydełko koperty. Klej i tak ledwo już trzymał.

Zamarła.

– No co jest? Czytaj głośno! – upomniał się Andrzej, widząc jej niewyraźną minę.

– Już – odchrząknęła. – Tylko nic z tego nie rozumiem... To pismo babci. Jestem tego prawie na sto procent pewna. Zresztą jest podpis. Ale i tak nie łapię...

– Czytaj. Może razem zrozumiemy.

– Tu pisze... Tu pisze tak:

Najdroższa Halinko!

To będzie szok dla Ciebie, kochanie, ale powinnaś to wiedzieć. Może kiedyś Ci się przyda. Nie mam odwagi powiedzieć Ci tego prosto w oczy. Ale kiedy mnie już nie będzie, znajdziesz ten list. Schowam go, bo teraz czasy są niebezpieczne. Ale na pewno go znajdziesz. Ufam, że mi wybaczysz.

Naprawdę nazywasz się Luiza Henrietta von Neuheit. Urodziłaś się 3 października 1944 roku. Z pochodzenia jesteś hrabianką, ale to już oczywiście w dzisiejszych czasach bez znaczenia. Dla mnie byłaś, jesteś i będziesz moją ukochaną córką. Tak jak byłaś nią dla swego Ojca, a mojego ukochanego Męża śp. Aleksandra. Zawsze traktowaliśmy Cię oboje jak rodzone i umiłowane dziecko.

Twoja na wieki

Mama

PS Jeśli zechcesz poznać moją historię, znajdziesz ją w książce. Będziesz wiedziała w której. W niej ukryję swoje wspomnienia, bo wiem, że nikt tam prócz Ciebie nie zajrzy. To także i Twoja historia. Wybacz matce, że nie mogłaś dowiedzieć się tego wszystkiego wcześniej. Naszyjnik należy do Ciebie. To jedyna pamiątka, jaka pozostała.

Maria Kuc

Gdańsk 3 października 1960 roku.

* * *

Rozmyślając, odruchowo zapaliła papierosa. Zaraz potem zdusiła go w popielniczce. Postanowili, że nie będą palić w domu. W końcu Kacper... Syn spał już wprawdzie, ale w każdej chwili mógł wyjść na przykład do ubikacji, poza tym dym... Osiedlowe mieszkanie nie było za duże: dwa pokoje z kuchnią plus wygoszpodarowana z części przedpokoju miniaturowa wnęka, służąca jej od czasu do czasu za pracownię. Mieściły się w niej tylko stolik, laptop i krzesło. Na balkon nie chciało jej się wychodzić, wiosna tego roku nie była zbyt ciepła, w dodatku w powietrzu wisiała wilgoć.

Może naprawdę szkoda pozbywać się mieszkania po babce... Raczej sprzedać to małe, a tamto – za pieniądze ze sprzedaży Zasy – porządnie wyremontować i zamieszkać, zamiast snuć mrzonki o budowaniu jakiegoś domku, kto ma jeszcze na to czas i siły...?

Ewa wyjęła z szuflady kopertę i naszyjnik. Był piękny, jednak wciąż jedyne, co w związku z tym znaleziskiem odczuwała, to zamęt w głowie. Co powinnam teraz zrobić? – wciąż zadawała sobie to pytanie. Andrzej był zdania, że musi powiedzieć o tym matce. Wiedziała, że ma rację. W końcu to ona jest adresatką tego listu, to do niej skierowana była informacja. I do niej należy naszyjnik. Jednak ładunek emocji zawarty w słowach babki – jak i sama wiadomość w nich ukryta – mógłby nieźle namieszać w życiu Haliny...

Jak zareaguje? Czy teraz to wszystko, czego się z Andrzejem dowiedzieli, ma jeszcze znaczenie? I co tak naprawdę oznacza? O co w tym chodzi? Jej matka nie jest osobą, za którą sama się uważa, za którą wszyscy ją uważają? Więc kim jest? Niemką? Hrabianką? Skąd...?!

Ewa słyszała, że Halina została po wojnie adoptowana. Choć te pogłoski nigdy nie były do końca jasne. Jak wszystko w tej rodzinie! – wściekła się nagle. Babka była cudowną, pełną ciepła i troski osobą, ale zawsze ze wszystkim się kryła. Niedomówienia, tajemnice, przesady. Babka wiecznie się czegoś bała. Co powiedzą sąsiedzi, urzędnicy, ksiądz, sam Pan Bóg. Taka natura. A może kwestia pokoleniowa? Piętno niskiego pochodzenia społecznego? Rodzaj służalczości...? W kwestii adopcji Haliny też nigdy nie powiedziała niczego wprost, jasno, do końca. Do tego stopnia, że Ewa nie wiedziała nawet, czy to prawda, czy tylko jakaś plotka, której nie rozumiała. A znając charakter i babki, i matki – wołała za wiele nie pytać. Teraz babci już nie zapyta, a matka... No właśnie. Co robić?

– Ewuniu, to nie tylko jej dotyczy. Jesteś jej córką, to także twoja historia – tłumaczył mąż. – Jeśli twoja matka jest Niemką, to i ty nią jesteś. Przynajmniej w części.

– Wiem. Choć dziwnie się z tym czuję.

– Masz jakieś opory? Narodowościowe uprzedzenia? Ty?! – Uśmiechnął się do niej znacząco.

Zirytowała się:

– Nie, skąd! Przestań, nie denerwuj mnie! Tylko... to jest tak, jakbym nagle dostała całkiem nową tożsamość. Strasznie głupie uczucie. Myślisz, że matka coś na ten temat wie?

– Nie dowiesz się, póki nie zapytasz. – Wzruszył ramionami. – Śmiało. Zadzwoń do niej i się umów.

– Wścieknie się...

– Na ciebie? Nie ma powodu. Wściekłyby się, gdybyś to przed nią ukryła. Wystarczy już, że ukrywała twoja babka...

– Przez prawie siedemdziesiąt lat...

– No właśnie. Dzwoni. Musisz jej to oddać. A przy okazji pogadać. Zapytać, co ona sama wie na temat swojego... waszego pochodzenia.

Roześmiała się nagle.

– A my nawet nie znamy niemieckiego! Ja przynajmniej ani słowa, ni w ząb. Halina chyba też nie. Choć nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Prawie niczego nie wiem o mojej matce.

– Tylko tyle, że jesteście hrabiankami. – Mrugnął. – Obie!

– Daj spokój. Mam to gdzieś.

Teraz Andrzej już spał – w przeciwieństwie do niej, artystki zatrudnionej na pół etatu w małej „koleżeńskiej” agencji reklamowej, mąż wstawał wcześniej rano do pracy w biurze korporacji – a ona dalej samotnie biła się z myślami. Nie zadzwoniła jeszcze do matki. Może lepiej w ogóle nie dzwonić? Może raczej pójdzie bez uprzedzenia. Może tak będzie łatwiej...?

Obliczyła szybko w myślach, kiedy ostatni raz się widziały. Kilka miesięcy temu! Potem może z raz albo dwa się dzwoniły, zawsze tylko w sprawach formalnych. Od śmierci babki nawet świąt nie spędzali już razem. Halina nawet wnukiem się nie interesowała. Zresztą z wzajemnością. Do tej pory jakoś to Ewy nie bolało. Przywykła. Uznawała ten stan za naturalny i oczywisty. Tak przecież było zawsze, odkąd sięgnęła pamięcią. Nie miała też o to do nikogo pretensji.

Teraz nagle zabolalo...

* * *

Wstała koło dziesiątej, męża i syna już nie było. Zaparzyła sobie kawy, na śniadanie zjadła jogurt. Dzisiaj miała wolne, nie musiała jechać do agencji ani na żadną sesję. Wystarczy, że później, wieczorem, popracuje trochę w domu, wykończy ostatni projekt, a jutro lub pojutrze przekaże go Dagmarze, swojej szefowej i chyba jedynej bliskiej przyjaciółce.

Zastanawiając się, co robić, raz jeszcze obejrzała medalion. Po obudzeniu się pomyślała, że może wszystko to tylko jej się przyśniło, a żadnego listu ani naszyjnika w ogóle nie ma. Ale były. Bursztyń zamigotał w promieniach wpadającego oknem słońca. W świetle dziennym był chyba jeszcze piękniejszy. Ewa zapakowała go z powrotem do szarej koperty – tak jak został znaleziony – razem z listem, a następnie do wewnętrznej kieszeni torby. Zadzwoić? Nie zadzwonić?

W końcu wystukała numer do matki.

– Halo... To ja. Ewa.

– Słyszę. – Głos Haliny brzmiał jak zwykle, bez śladu emocji.

– Czy masz czas? Chciałabym wpaść.

– Coś się stało?

Zawahała się.

– Nie, ale mam coś... coś ważnego. Chyba. Jesteś w domu? Mogę przyjechać za godzinę?

– Skoro musisz.

– To będę.

Ewa odłożyła słuchawkę. Nie miała daleko: z Zaspy na Żabiankę, tramwajem jakieś piętnaście minut. Oba osiedla leżały praktycznie wzdłuż jednej linii, dzieliło je jeszcze tylko trzecie, Przymorze. Być może także z tego powodu rzadko się widywały: tak bywa, gdy mamy kogoś w zasięgu ręki.

Pocieszam się – zreflektowała się. To nie to. Nie widzimy się, bo nie czujemy takiej potrzeby. Bliskości.

Spakowała resztę rzeczy do torby, włożyła płaszcz i poszła na przystanek.

* * *

– Wejdz i powieś płaszcz tutaj. – Halina nawet nie zatrzymała się w progu, tylko od razu skierowała do kuchni. – Kawy?

– Tak, poproszę. Kupiłam w waszej cukierni kilka drożdżówek...

Ewa weszła za nią i położyła pakunek na kuchennym blacie.

– To miło z twojej strony, bo ja nic nie mam do kawy – odparła matka. – Kawa gotowa, wyłóż te ciastka na ten talerz, jeśli możesz.

– Dobrze. Zostaniemy tu czy idziemy do pokoju?

– Do pokoju, oczywiście. U mnie nie jada się w kuchni.

Gdy już zasiadły przy niskim stoliku, Halina przysunęła popielniczkę i zapaliła papierosa.

– Przynajmniej u ciebie mogę sobie spokojnie zapalić. – Ewa się uśmiechnęła.

– A co, u ciebie ktoś ci broni?

– Niee... nikt nie broni, ale rozumiesz... jest jeszcze Kacper...

– Jeśli pozwalasz, żeby dziecko dyktowało ci warunki w twoim własnym domu, to twoja sprawa. – Halina wzruszyła ramionami.

– A odpowiedzialność za jego zdrowie? Ma być biernym palaczem?

– Za naszych czasów nikt się nie trząśł nad zdrowiem dzieci i jakoś zdrowsi od was jesteśmy.

Ewa zamilkła.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy. – Matka naląła kawy do filiżanek. – Bo przecież przysłaś tu po coś. Przecież nie na papieroska ani żeby sobie na mnie popatrzeć?

Fakt, że wciąż było na co patrzeć, skonstatowała Ewa w duchu. Matka – choć dobiegała siedemdziesiątki – była niezmiennie atrakcyjną kobietą. Córka z podziwem przyglądała się jej smukłej sylwetce oraz rasowej twarzy, po której nie znać było wieku. Dobrze zakonserwowana – pomyślała z sarkazmem. Nic dziwnego. Zero obowiązków, emeryturka, żyć nie umierać. Były do siebie podobne, jednak Ewa od zawsze czuła się jej gorszą kopią. Halina szczupła i wytworna, Ewa niższa, silniej zbudowana, szersza w ramionach i biodrach. Pofarbowane na platynowy blond włosy Haliny były równo i modnie przycięte, podczas gdy Ewa upinała je z tyłu w niedbały koński ogon. Włosy Ewy miały wciąż ten sam miodowy odcień, naturalny dla nich obu, póki Halina nie posiwała. Od tej pory je farbowała. Jej wąska twarz o wyrazistych kościach policzkowych, silnym podbródku i dużych niebieskich oczach była niemal pozbawiona zmarszczek, być może zresztą ukrywała je pod starannym makijażem. To Ewa miała kurze łapki wokół oczu i ust...

Matka była zawsze piękna – i zimna. Jak sople lodu. Istna Królowa Śniegu. Ewa uchodziła za ładną i miłą. Chociaż Andrzej uważał ją za cud urody i wdzięku, odkąd poznali się na studenckiej potańcówce... już prawie dwadzieścia lat temu. On do dziś pozostał tym samym barczystym jasnym szatynem, może tylko lekko posiwały mu skronie. Ewa zrobiła się szersza w biodrach. Choć chyba tylko ona jedna to widziała – po ciuchach. Mąż śmiał się i zaprzeczał, twierdząc, że figura każdemu zmienia się trochę wraz z latami. Jak zawsze: realista. A jednak te lata zrobiły swoje... Z każdym, tylko nie Królową. Śniegu – dodała sarkastycznie w myślach.

No i strój – pomyślała – skoro już jesteście przy ciuchach. U matki zawsze staranny i elegancki, nawet na co dzień w domu. Teraz też: szerokie spodnie w kant, lakierowane laczki na obcasie, żakiecik. Nie to co ona, w znoszonych dżinsach i swetrze. Nie miała czasu dbać o wygląd. Dom, praca, dziecko pochłaniały cały jej czas. A zresztą... nieprawda. Po prostu nie

lubiła się stroić. Nie przywiązywała wagi do wyglądu. Szkoda życia na to.

– Mamo... – zaczęła.

Halina się zachnęła.

– Doskonale wiesz, że nie musisz tak do mnie mówić – przerwała jej stanowczym tonem.

– Wystarczy: Halina. Jak zawsze. Nigdy nie czułam się twoją matką.

– Ale nią jesteś, prawda? – Ewa, do tej pory wpatrzona w swoją filiżankę, hardo uniosła podbródek, nagle poirytowana.

– Z formalnego punktu widzenia. Urodziłam cię. Lecz nie ja cię wychowałam. Nie zasługuję na to zaszczytne miano.

Ewa nie do końca wyczuwała, na ile był to sarkazm, a na ile poczucie winy.

Prawdopodobnie obie te rzeczy nakładały się na siebie.

– Dobrze więc. Niech będzie Halina – ustąpiła.

– No więc? Z czym przychodzisz?

Obie jak na komendę zapaliły drugiego papierosa. Młodsza z kobiet sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę. Położyła ją na stole, przesuwając w stronę starszej.

– Co to jest? – zapytała sucho tamta.

– Zajrzyj. Wczoraj robiliśmy porządki w mieszkaniu po babci. Chcieliśmy przygotować je do malowania. No i w starej komodzie znaleźliśmy to. Było ukryte, przyklejone do wewnętrznej ścianki. Wygląda na to, że... że to ty jesteś adresatką tej wiadomości.

Ewa poczuła coś na kształt mściwej satysfakcji. Wcale tego nie chciała. Jadąc tu, naprawdę liczyła na zbliżenie z matką, a przede wszystkim na jakieś wyjaśnienie sytuacji...

Halina powolnym ruchem otworzyła kopertę i wyjęła naszyjnik. Przyglądała mu się przez chwilę nic nierozumiejącym wzrokiem, po czym odłożyła na stolik, sięgając po list. Gdy go czytała, na jej pozbawionej emocji twarzy coś drgnęło. Ewa mogłaby również przysiąc, że pod warstwą ekskluzywnego pudru lekko zbladła.

– O co tu chodzi? – zapytała Halina, odkładając kopertę.

– O to samo chciałam zapytać ciebie. Powinnaś się chyba lepiej orientować.

Zamilkły.

Ewa nagle zdała sobie sprawę z tego, że żadna z nich nie sięgnęła po drożdżówkę. Sama też straciła apetyt, jednak zmusiła się, by nałożyć sobie jedną na talerzyk.

– No więc kompletnie nic z tego nie rozumiem – powiedziała Halina. – Jesteś pewna, że to do mnie? O mnie? Brzmi jak jakieś... szaleństwo. Pierwsze słyszę, bym była Niemką. Może twoja babka...

Ewa uniosła rękę, by zastopować ten coraz bardziej cyniczny monolog. Matka wyraźnie zaczęła się nakręcać.

– Co? – wtrąciła ostro. – Zwariowała? Jaja sobie robiła? To przecież jasne, że to o tobie! Zwraca się bezpośrednio do ciebie. Nie miała innej córki imieniem Halina! I zobacz datę. Pisała to, kiedy miałaś kilkanaście lat. Nie mam pojęcia, dlaczego ukrywała te rewelacje, ale...

– Może dlatego, że za moich czasów uczono nas nienawiści do Niemców? – dokończyła za nią Halina.

– I to cię najbardziej boli?

– Ciebie to też dotyczy.

– Mnie nie boli.

Ewa niemrawo dziabnęła widelcem w ciastku. Halina przyglądała się jej w milczeniu.

– Musimy to jakoś wyjaśnić – odezwała się w końcu znowu Ewa. – Przecież nie zostawimy tego bez wyjaśnienia! Chcę wiedzieć, skąd pochodzę. Kim tak naprawdę jestem!

– Jesteś, kim jesteś. – Halina wzruszyła ramionami, zapalając kolejnego papierosa. –
Wszyscy jesteście, kim jesteście. To zależy tylko od nas.

– Nieprawda. Nie do końca. A jeśli nawet, chcę wiedzieć, co się wydarzyło. I nie mów
mi, że sama nie jesteś ciekawa!

Matka otworzyła usta, jakby chciała zaprzeczyć, zawahała się jednak i zrezygnowała.
Przez chwilę paliła w milczeniu.

– Ale jak niby mamy to zrobić? Moja matka nie żyje, nic nam już nie powie.

– Mam nazwisko. I ten medalion. Nigdy go wcześniej nie widziałaś?

Halina pokręciła przecząco głową.

– Nie. Nigdy.

– Babcia tam napisała, że... no, że musi ukryć informację, bo ona może być
niebezpieczna. Dlaczego niebezpieczna? Zastanów się!

Wzrok matki powędrował gdzieś za okno. Ewa wręcz namacalnie odczuła dzwoniącą
ciszę, odmierzaną tykaniem ściennego zegara. Wydawało się, że Halina zamilkła na dobre.
Jednak po chwili odchrząknęła i odezwała się niepewnie:

– Nie wiem. Ale... coś mi się przypomniało...

– No? Mów. Co takiego?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie jestem pewna. Nie chcę czegoś pokręcić. Muszę to sobie
przemysśleć.

– Boże... – Ewa westchnęła rozczarowana. – A o co chodzi z tą książką?

– Jaką znowu książką?

– Tą z listu! Że tam znajdziesz dalsze informacje, czy coś w tym stylu. I że będziesz
wiedziała, o jaką książkę chodzi.

Starsza z kobiet pokręciła głową bezradnie, a po chwili w jej oczach pojawił się bunt.

– Ale nie wiem!

– Pomyśl...

– Nie wiem. Nie mam bladego pojęcia. Moi rodzice to byli prości ludzie. Nie mieli za
wiele książek. Przejrzyj je, na pewno zostały w mieszkaniu, możesz sama sprawdzić. Biblia,
katechizm, książeczka do nabożeństwa – prychnęła – no i dzieła Lenina zapewne, w końcu ojciec
był starym partyjniakiem. A matka przesadną bigotką. Dobrana para...

– Przestań!

Halina zerwała się z miejsca.

– Posłuchaj. Wiem, że byłam adoptowana, zaraz po wojnie, jako niemowlę. Jedno
z tysięcy wojennych sierot. Podobno. Bo formalnie uchodziłam za biologiczne dziecko swoich
rodziców. W tamtych czasach to było możliwe, komuniści mogli załatwić sobie wszystko, by
zgadzało się w papierach. Matka powiedziała mi o adopcji dopiero kiedy byłam nastolatką. I to
też w bardzo zawoalowany sposób. Nawet nie wiem, co jest prawdą, a co wymysłem. Niczego
z tych czasów nie pamiętam. Tyle wiem. Nie mam się nad czym zastanawiać, niczego więcej nie
wymyślę!

Ewa także wstała:

– Dobra. Poszperam w Internecie. Może na coś trafię. Ty mogłabyś...

– Tak, tak, będę myśleć.

– Słuchaj... nie mogłabyś opowiedzieć mi, co pamiętasz z dzieciństwa i młodości? Może
wspólnie do czegoś dojdziemy?

– Może. Ale nie dzisiaj. Idź już.

Ewa szybko spakowała swoje rzeczy do torby.

– Więc kiedy?

Kolejne wzruszenie ramion:

– Zadzwoń.

Włożyła płaszcz i odwróciła się w progu:

– Nie zapytasz nawet, jak Kacper?

– Jak Kacper?

Zmierzyły się wzrokiem. Wysła bez słowa. Usłyszała jeszcze tylko odgłos przekręcane go klucza.

* * *

Siedziała przy komputerze, kiedy usłyszała, że Andrzej wrócił nareszcie z pracy. Od razu zrobiło się raźniej. Z pokoju Kacpra dobiegała tylko głośna muzyka. Jak zwykle.

– Głodny? – zapytała, gdy podszedł i cmoknął ją w policzek. – Obiad już gotowy, trzeba tylko podgrzać...

– Podgrzeję sobie. Siedz. A co robisz?

Machnęła ręką zniechęcona.

– Eeee, nic takiego. Szperam sobie w necie. Myślałam, że coś znajdę, no wiesz... o tej niby to... niemieckiej rodzinie matki.

– I co?

– Nic. Są jakieś odnośniki na niemieckich stronach, ale nic konkretnego. Jakieś przypadkowe wzmianki, raczej bez związku.

– Przecież nie znasz niemieckiego. – Uśmiechnął się.

– Wiem, ale to widać, że bez związku. Można wynioskować. Nieważne. Czekaj, odgrzeję ci ten obiad, a sobie zrobię herbaty.

– Kacper w domu?

– Chyba słysząc?

Pokiwał głową rozbawiony. Poszli do kuchni. Gdy nalewała zupę na talerz, Andrzejowi przyszło coś do głowy:

– Ewuś, bo ty się źle do tego zabierasz. Sama dużo nie zdziałaś. Tu trzeba fachowca.

– To znaczy?... Ale jedz! Bo ci wystygnie.

– Kogoś, kto ma dostęp do różnych źródeł i wie, jak szukać. Znam jednego dziennikarza. Zajmuje się właśnie historią najnowszą, drugą wojną światową, różnymi takimi zagadkami. Starszy facet, ale pasjonat. Pogadam z nim. Może akurat go to zainteresuje.

– Tylko nie mów, że...

Spojrzał na nią zdumiony.

– A czemu nie? To przecież nie tajemnica! Ty też chcesz zacząć od ukrywania informacji?

Zaśmiała się niepewnie i upiła łyk herbaty.

– W zasadzie masz rację. Zrób jak uważasz.

Stuknęły drzwi, w progu kuchni na moment pojawił się Kacper. Ewa z zadowoleniem ogarnęła wzrokiem smukłą, wysportowaną sylwetkę ciemnowłosego nastolatka z nieco przydługimi, falującymi włosami. Przystojniak z niego wyrośnie.

– Wychodzę!

– Dokąd? – wyrwało jej się.

– Zawsze wszystko musisz wiedzieć? Do kumpla. Mam mu oddać zeszyt.

– Oj, dobrze, tak tylko pytam – spróbowała załagodzić sytuację. Ciągłe zapominała, że chłopak pomału dorasta i chce mieć już własne życie, mimo że dla nich na zawsze pozostanie małym synkiem i kropka. Obiecała sobie jednak, że będzie mądrą matką.

– A kiedy wrócisz? – dodał rzeczowo Andrzej.

– O, ojciec, cześć! Nie wiem, za godzinę? Coś koło tego. Nara!

– Nara... – bąknęła Ewa.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Andrzej kończył obiad, ona zamyślona popijała swoją

herbatę.

– Chodźmy na balkon zapalić – zaproponowała, gdy skończył jeść. – Młody poszedł, możemy sobie pozwolić.

Wiało, choć poprzez chmury przebijało późne popołudniowe słońce. Robiło się coraz cieplej.

– A Halina co powiedziała? – przypomniał sobie nagle mąż. – Też niczego nie kojarzy? Ewa westchnęła.

– W zasadzie nic. Ale myślę, że ona... coś ukrywa. Zresztą, sam wiesz, że zawsze ukrywały, co tylko mogły. Obie z babką. Takie spiskowe charaktery. Oczywiście próbowałam ją przycisnąć. Obiecała, że przypomni sobie różne rzeczy z dzieciństwa i da znać. Chcę, żeby mi wreszcie wszystko opowiedziała. Nawet jeśli nie wyjaśni to sprawy tego cholernego medalionu, to przynajmniej dowiem się czegoś... o niej.

Pokiwał głową, zaciągając się końcówką papierosa.

– Racja. A jak zareagowała na te sensacje?

– Nie wiem. – Zastanowiła się. – Tak jakby poruszyło ją to. Jak na nią, oczywiście. Wzruszyła ramionami. Nigdy nie mogła być pewna, co myśli albo czuje jej matka.

– Wracamy?

– Tak, zdrzemnę się chwilę, o ile nie masz nic przeciwko. Ty sobie też odpocznij – odparł.

– Akurat. Mam jeszcze trochę roboty. Muszę wreszcie skończyć ten projekt i odesłać do Dagi.

Zdusili niedopałki w starej puszcze po piwie, przymocowanej do balustrady, by nie odfrunęła.

* * *

Dopiero następnego dnia rano uświadomiła sobie, że zabrała z powrotem list i naszyjnik. W zasadzie powinna zostawić wszystko Halinie. Na zdrowy rozum – należały do niej. Szybko zadzwoniła do matki.

– Zapomniałam... Przepraszam. Powinłam oddać ci te rzeczy. Odruchowo je spakowałam – tłumaczyła się.

– Nie trzeba.

– Naszyjnik jest twój. Babcia tak napisała.

– Nie chcę go – padła szybka, zdecydowana odpowiedź. – Skoro jest mój, to mogę z nim zrobić, co zechcę. Daję go tobie. Noś go na szczęście.

– Ale...

– Bez ale. Nie chcę go i tyle.

– Nie będę go nosić.

– To nie noś. Sprzedaj. Schowaj. Oddaj do muzeum. Jest mi to obojętne. A list... dasz mi go przy okazji. Ale może ci się jeszcze przyda.

– Jasne. Kiedy mi opowiesz?

Cisza. Może z pół minuty ciszy. Ewa zastanawiała się już, czy matka się nie rozłączyła.

– Jak będę gotowa – odezwała się w końcu Halina. – Powiedziałam, że dam ci znać.

Zakończyły rozmowę bez zbędnych formalności.

Ewa raz jeszcze uniosła medalion ku słońcu. Bursztyn odbił światło i zaśnił tak, że w pokoju zrobiło się jakby dwa razy jaśniej.

Co ukrywasz? – zadała mu pytanie, chowając do szuflady biurka.

II ŚLEDZTWO

– To może zrobimy tak. – Starszy dziennikarz, Robert Przeplacki, jak się przedstawił, z gazety „Dziennik Pomorski”, potarł czubek nosa, zawieszając dłoń uzbrojoną w staroświecki długopis nad swoim zużytym i pomiętym notatnikiem w czarnej oprawie ze skaju. – Póki co nie mamy za wiele materiału. Choć temat rokuje. Pani łaskawie zostawi mi ksero listu oraz fotografie naszyjnika. Swoją drogą, świetne te zdjęcia, bardzo profesjonalne. Kto je robił? Bo będę musiał podać nazwisko fotografa, może także prosić o zgodę na publikację...

Ewa uśmiechnęła się skromnie.

– Nie będzie takiej potrzeby – wtrąciła. – Zdjęcia robiłam sama. Jestem fotografem. Proszę je publikować, najlepiej podpisane jakoś neutralnie... może inicjałami?

– Oczywiście. Piękne zdjęcia. Będę wiedział, do kogo się w razie potrzeby zgłaszać. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Czyli tak się umówmy. Wstępnie napiszę krótki tekst z prośbą o pomoc czytelników. Zamieścimy zdjęcia i kopię listu. A czy mogłaby pani jeszcze pstryknąć dla mnie ten mebel...? Ten, w którym znaleźli państwo kopertę. Dla zachęty. Rozumie pani, czytelnicy przepadają za takimi historiami... Naturalnie gwarantuję dyskrecję, rozumiem, że nie życzą sobie państwo upubliczniać danych swojej rodziny. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy kogoś, kto skojarzy podane nazwisko bądź rozpozna wytwórcę naszyjnika. Jeśli się do nas zgłosi, ruszymy dalej.

– Medalionu – dodała. – A zdjęcie komody oczywiście zrobię, może nawet jeszcze dziś.

– Medalionu. Nie za bardzo znam się na biżuterii. O, właśnie, komody! Wielkie dzięki. Co to ja chciałem jeszcze dodać... Naturalnie w międzyczasie nie będę zbijał bąków, tylko poszperam i spróbuję sam zdobyć tyle informacji, ile się da. Mam trochę kontaktów, które warto wykorzystać. Przejrzę też archiwa. W zamian chcę prawa do wykorzystania tej historii w serii artykułów. Zaplanowałem przynajmniej trzy: ten wstępny, następnie – po ustaleniu faktów – kluczowy, opisowy i na koniec... być może wywiad z panią lub z pani matką. A nawet z obiema paniami. O ile się panie zgodzicie.

– Oczywiście.

Mężczyzna wstał. Był drobnym człowiekiem, raczej mocno po sześćdziesiątce, może nieco roztargnionym, jednak młodzieńczym zarówno w ruchach, jak i wyglądzie. Miał siwe włosy związane w kucyk na karku, a na sobie kraciatą flanelową koszulę, sprane błękitne dżinsy oraz czarną motocyklową kurtkę ze sztucznej skóry.

– A może napije się pan jeszcze kawy? – zapytała z nadzieją. Budził sympatię. Wcale nie chciała, by wychodził. Przeciwnie, rozmowa z nim uspokajała ją. Czowała, że coś się zaczęło dziać. Andrzeja nie było, wróci dopiero za parę godzin. Kacpra też gdzieś poniosło po szkole. Tymczasem ona miała potrzebę działania, aktywności, dzielenia się emocjami.

– Niestety. – Zerknął na stary naręczny zegarek. Przysięgłaby, że jeszcze radziecki. No, może rosyjski. – Spieszę się. Jestem jeszcze umówiony na wernisaż. Ale będziemy w kontakcie. Mam wszystkie pani namiary, a oto moja wizytówka. – Podał jej niewielki kartonik. – Dziękuję za poczęstunek i zasuwał dalej do roboty.

Zaśmiał się przepraszająco. Wyciągnęła rękę, którą uściskał serdecznie. W przeciwieństwie do wielu facetów ze swego pokolenia, nie rzucał się, by ją cmokać w dłoń.

Nie znosiła serdecznie tego zwyczaju.

– Bardzo panu dziękuję, jestem wdzięczna, że...

– Ależ nie ma za co, szanowna pani! Temat mnie intryguje, to wzajemna korzyść.

Upowiedziałem pana Andrzeja, że zajmę się nim tylko wtedy, gdy uznam, że warto. No więc uznałem, że bardzo warto. Skontaktuję się z panią za parę dni – dodał jeszcze w drzwiach – zanim opublikuję apel w gazecie. Aaa! Gdyby udało się pani sfotografować komodę, to prosiłbym o podesłanie mi zdjęcia mailem. W miarę możliwości jak najszybciej. Adres jest na wizytówce. W porządku?

– Jak najbardziej w porządku! – Uśmiechnęła się, czekając w progu, aż nadjedzie winda, by zabrać gościa.

Zrezygnowała z pojechania do mieszkania po babce jeszcze tego samego dnia – dojazd zajęłby jej pewnie co najmniej z godzinę w czasie największych korków, a wkrótce pomału zacznie się ściemniać, światło do fotografowania nie byłoby dobre – postanowiła natomiast zrobić to nazajutrz z rana, zaraz po śniadaniu. No, może w południe, bez przesady. Była to sobota, luźny dzień, wydawało się, że nie ma nic do roboty. Niestety, gdy już w kurtce i z aparatem przyszykowanym w torbie fotograficznej zamierzała wyjść na przystanek tramwajowy, zadzwoniła Dagmara i zleciła jej natychmiastowe udanie się na jakiś festyn reklamowy Browarów Polkowskiego.

– Musisz tam jechać! – uparła się. – Miał to zrobić Jacek, ale zachorował. A firma planuje kampanię reklamową i zlecają ją właśnie nam, to gratka, rozumiesz? Życzą sobie zdjęć z festynu do folderu i na plakat. Dasz radę? Chwilę ci to zajmie, ale nie prowadzisz auta, więc przy okazji możesz napić się piwa i zjeść kielbasę! Dają za darmo.

– Gdzieś mam kielbasę – odparła Ewa – ale dobrze, jasne, że pojedę. Jak długo to trwa? I gdzie?

– Teraz! Chyba już się zaczął. Na Targu Węglowym, a gdzie... Potrwa pewnie kilka godzin, nie wiem, jak długo, ale miejmy to już z głowy, zdjęcia muszą się udać! Póki widno. Dzięki, stara!

– Sama jesteś stara. Ja młoda jestem. Okej, zaraz jadę. Pstryknę kilka ujęć, obrobię je potem w Photoshopie i zrzucę na FTP-a. Wieczorem, bo potem mam coś jeszcze do roboty. Może być?

Daga była zadowolona.

– Pewnie. I tak przed poniedziałkiem się za to nie zabierzemy. To leć. Buziaki, pa!

No to poleciała. Festyn obskoczyła prawie biegiem, w biegu napstrykała sporo zdjęć (będzie z czego wybierać), z niesmakiem wysłuchała kilku utworów disco polo na żywo, zignorowała poczęstunek, zresztą napierający zewsząd tłum skutecznie ją do niego zniechęcił, po czym – również biegiem – zawróciła na tramwaj, by w drodze powrotnej wysiąść przy Jaśkowej Dolinie. Czasem klęła, że nie mają dwóch samochodów. Ich starym rzęchem – jak myślała z czułością o czerwonym punto, będącym od dziesięciu lat w ich posiadaniu – dysponował Andrzej. Jemu był bardziej potrzebny. Ewa musiała póki co zadowolić się lokomocją publiczną. Zazwyczaj nie narzekała.

Tylko czasem.

Przechodząc obok centrum Manhattan, nabrała ochoty na małą kawę z ciastkiem, zrezygnowała jednak i poszła w górę zacienionej starymi drzewami ulicy, niezmiennie podziwiając odrestaurowane ostatnimi laty przedwojenne wille i pałacyki, obecnie służące

różnym celom: reprezentacyjnym lub mieszkaniowym. Część z nich pełniła teraz funkcje wielorodzinnych kamienic. W jednej z nich mieściło się mieszkanie babki – a właściwie, co uświadomiła sobie po raz kolejny, choć ciągle z niedowierzaniem – jej mieszkanie. Tam zaparzy sobie kawę, a ciastko... nie ma co zaprzętać sobie głowy słodyczami. Trzeba dbać o linię.

Otworzyła okna, by przewietrzyć nieco zawilgocone pokoje, i czekając, aż zagotuje się woda, sfotografowała w międzyczasie komodę: zamkniętą oraz z otwartymi drzwiczkami do przegródki, w której od środka przyklejona była koperta. Skorzystała z naturalnego światła, jednak nie wpadało tu ono zbyt hojnie, więc na wszelki wypadek pstryknęła też dwa ujęcia z lampą błyskową. Najwyżej dziennikarz sam wybierze sobie odpowiednie zdjęcia. Następnie rozsiadła się w kuchni z filiżanką kawy i papierosem. Jak tu cicho i spokojnie. Żadnych krzyków dzieciaków z podwórka, szum uliczny – mimo otwartych okien – też ledwie docierał. No i zieleń niemal na wyciągnięcie ręki. Nie to co blokowisko. Tyle że mieszkanie wymagało kapitalnego remontu, a ich nie za bardzo było na to stać.

Postanowiła przejrzeć książki po dziadkach. Faktycznie, nie było tego zbyt wiele. Nieduża półka, dość luźno zastawiona. Zgodnie z tym, co powiedziała matka, znalazła tam sfatygowane wydanie Biblii, dwie, chyba jeszcze starsze, książeczki do nabożeństwa, jedna z połączanymi brzegami, oprócz tego opasłe tomiszczą wodzów proletariatu – cała seria z lat pięćdziesiątych, oprawna w ciemnoczerwone płótno ze złotymi tłoczeniami. Niemal tak samo jak Biblia, tyle że format większy. Nienaruszone, niektóre miały jeszcze posklejane kartki, poźółkle, ale w idealnym stanie. Widać nikt nie czytywał ich do poduszki – pomyślała z sarkazmem.

Było też jeszcze kilka mocno podniszczonych powieści kieszonkowych: jakiś stary romans i ze dwa milicyjne kryminały. Leksykon z lat sześćdziesiątych. I to praktycznie wszystko. Przejrzała dokładnie każdą książkę po kolei. Nic w nich nie znalazła, oprócz starej widokówki z Zakopanego, od nie wiadomo kogo. Poza tym nie było nawet zakładki. A już z pewnością żadnych tajemniczych zapisków. No nic, westchnęła. Może jeszcze trzeba będzie przejrzeć szafy, pawlacze i piwnicę. Jakieś niepotrzebne książki, kalendarze albo zeszyty mogły i tam z czasem trafić.

Zaciągnęła się papierosem. Nie chciało jej się stąd wychodzić.

– Kacper u siebie? – Andrzej znacząco wskazał palcem zamknięte drzwi, zza których dobiegało coś w rodzaju rytmicznego łupania.

– A nie słychać?

– Hej, przycisz to trochę! – Gdy uchylił drzwi pokoju syna, potworny harmider uderzył w nich nieomal fizycznie. Ewa odruchowo zatkała uszy. Po chwili hałas przycichł. O ton. Po powtórnym zamknięciu drzwi odczuwało się nawet jakiś efekt...

– Jak on w tym może siedzieć? – zastanawiał się Andrzej.

Wzruszyła ramionami.

– A co tam robi? Poza słuchaniem... tego?

– Wyobraź sobie, czyta coś. Być może nawet jakiś podręcznik – dodał sarkastycznie.

Pokręciła głową z niedowierzaniem i poszła nastawić wodę na herbatę.

– A mówiłaś mu o tym? No wiesz, o całej tej historii: naszym odkryciu, liście, naszyjniku? – Mąż wszedł za nią do kuchni i wyjął filiżanki.

– Tak, wspominałam.

– I co on na to? W końcu jego to też dotyczy.

Ewa się zaśmiała.

– Czyżby? Powiedz mu to!

– Nie był zainteresowany?

– Nie mam pojęcia. Myślisz, że ja rozumiem ich mowę ciała? Mruknął coś tylko. Na naszyjnik ledwie rzucił okiem, listu nawet nie przeczytał, jednym uchem łaskawie wysłuchał, co mu tam marudzę i poszedł do siebie. Olał mnie, jednym słowem.

– Cóż. To chyba taki wiek. – Andrzej nasypał do herbaty cukru i usiadł za kuchennym stołem. – A jak tobie minął dzień?

– Byłam na festynie piwnym, robiłam tam zdjęcia do folderu Browarów Polkowskiego. Dobrze, że mi przypomniałeś! Jeszcze dziś powinnam je zacząć obrabiać, a nawet nie zrzuciłam ich jeszcze do komputera.

– Jutro masz na to cały dzień.

– Tak, ale nie wiem, czy zdążę. Jutro chciałabym jeszcze... A, bo ci zapomniałam powiedzieć. Wracając z tego festynu, wpadłam jeszcze na Jańską Dolinę. Zrobiłam zdjęcia komody, ten dziennikarz prosił.

– Robert?

– Tak. Sympatyczny facet. Fajnie, że go znalazłeś. Od razu mam wrażenie, że coś się ruszyło z miejsca.

– Godny zaufania przede wszystkim. Fachowiec starej daty. – Andrzej pokiwał głową z uznaniem. – Znam go od lat, wykładał u nas prawo, a właściwie historię prawa.

– Aha. Przejrzałam też wszystkie książki, bo pamiętasz, co pisała babcia w tym liście. Ale niczego nie znalazłam. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy podjechać tam jutro razem i sprawdzić jeszcze pawlacze i piwnicę. Może tam też są jakieś książki albo papiery? Sama jakoś nie miałam odwagi tam zejść. Te podziemia w starych domach są... brr...

– Myślisz, że naprawdę mogła coś takiego ukryć w książce?

– No przecież wyraźnie tak napisała...

Andrzej dolał sobie świeżej herbaty. Pytającym gestem wskazał też jej filiżankę, ale pokręciła głową przecząco.

– Chyba kawy sobie jeszcze zaparzę, skoro mam popracować – wyjaśniła. – To jak, pojedziesz ze mną jutro?

– Pewnie. A co mam niby do roboty w niedzielę. Może młodego namówimy?

Ewa zerknęła na męża z politowaniem.

– Akurat. Już zapowiadał, że jutro idzie na jakąś „imprezę”...

Piwnica okazała się pusta. Z wyjątkiem opróżnionych słoików i resztek koksu w rogu pomieszczenia – nie było w niej kompletnie nic. Również pawlacze nie spełniły oczekiwań: mieściły tylko starą pościel i ręczniki.

– Do wywalenia. – Ewa westchnęła.

– Czyli twojej babce coś się musiało pokręcić.

– Nie no... Nie przypuszczam. Babcia była kobietą praktyczną i twardo stąpającą po ziemi. Nie fantazjowałaby. Po prostu coś się musiało po drodze przydarzyć – odparła.

Andrzej przysunął sobie popielniczkę i zapalił.

– Ale co? Może pożyczyła komuś książkę?

– Razem ze swoim dziennikiem?

– Zapomniała? – podsunął.

– Nie żartuj. O takich rzeczach się nie zapomina. Nie... raczej...

Mąż przyjrzał się jej czujnie.

– Nie chcesz chyba zasugerować, że ktoś wykradł książkę?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

Andrzej roześmiał się, wstał i zaczął spacerować po obszernej kuchni.

– Daj spokój, spiskowe teorie! To nie film sensacyjny. Ale wiesz co... mam pomysł. Przecież babka mogła schować te zapiski wcale nie w swojej książce, tylko w książce córki. Czyli twojej matki. Haliny. Nie wiem, może w jakimś podręczniku albo w jednej z jej ulubionych powieści? W końcu te wspomnienia, notatnik, dziennik czy cokolwiek by to było, zostało skierowane właśnie do niej, prawda?

Ewa się zastanowiła.

– To jest pomysł, chociaż... Nie wiem. Przecież wtedy by to już dawno znalazła! Zwłaszcza gdyby było schowane w ulubionej powieści. Do takich akurat często się zagląda, wraca do nich...

– Niekoniecznie. To mogła być jakaś książka z dzieciństwa. Pamiątka. Każde dziecko taką ma, przynajmniej jedną. U mnie to była na przykład *Akademia pana Kleksa*. Kultowe wydanie, z ilustracjami Szancera. Nieczęsto do niej zaglądałem, ale zachowałem. Sama wiesz.

– Wiem, ja też do tej pory mam *Anię z Zielonego Wzgórza*. Wszystkie części. A co do Szancera, na półce stoją jeszcze baśnie Andersena. Choć Kacper miał w nosie nasze książki.

– No i chwała Bogu! – Andrzej mrugnął. – Dzięki temu się zachowały. Ale wiesz co, ty na serio zapytaj o to Halinę. Kto wie...

Ewa zduśliła papierosa w wypełnionej po brzegi popielniczce i opróżniła ją.

– Zapytam. Jasne, że zapytam. Zawsze to jakaś myśl – przyznała. – Zadzwonię do niej jeszcze dziś. Najwyżej mnie spławi. I tak miałam się z nią skontaktować. Obiecała, że opowie mi rodzinną historię... taką, jaką pamięta. A liczyć na to, że sama się zdecyduje...

– Wiem, że nie lubisz do niej dzwonić.

– Nie jest zbyt... wylewna.

Andrzej ruchem głowy wskazał stary żeliwny czajnik do gotowania wody.

– Lecimy już czy napijemy się jeszcze herbaty? Wstawić? – Gdy skinęła głową, zapalił gaz i postawił na nim naczynie. – Wylewna nie jest – kontynuował – ale ty też nie jesteś. No dobra, nie rób takiej miny... powiedzmy: nie za bardzo wylewna. Przy matce zawsze się spinasz. Ale musicie wreszcie nawiązać normalny kontakt, choćby dla dobra Kacpra. Rodzina jest ważna. Ta historia to akurat dobry pretekst.

– Rodzina... – Ewa prychnęła. – Teraz to ja już kompletnie nie wiem, kto jest rodziną, a kto nią nie jest.

– Ewka! MY jesteśmy rodziną. I ci, których kochamy.

Uniosła ręce.

– Dobra, dobra! Wiem. Tak sobie tylko palnęłam. Ale wydaje mi się, że ta historia to nie tylko dobry pretekst, jak to ująłeś. Coś mi mówi, że kryje się za nią dużo, dużo więcej...

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru odważyła się zadzwonić do matki.

– Mam pytanie – zaczęła bez wstępów, wiedząc, że Halina ich nie lubi. – Czy kiedy wyprowadzałaś się z domu, to znaczy, no rozumiesz... z domu rodzinnego, czyli od babci, to zabierałaś ze sobą jakieś swoje książki?

Matkę z początku замуrowało.

– Zwariowałaś? Myślisz, że pamiętam? To było sto lat temu!

– Aż taka stara nie jesteś. – Ewa spróbowała obrócić to w żart. – Przecież musisz pamiętać, co zabierałaś! Chodzi o książki, na pewno miałaś własne książki...

– Pewnie, że miałam. Ale nie pamiętam, co wzięłam. Nie przypominam sobie, żeby było tego wiele.

– A masz je do tej pory?

Halina westchnęła, zanim odpowiedziała:

– Na pewno mam, niczego nie wyrzucałam. Tobie przez cały czas chodzi po głowie... ten list, tak?

– Tak, to chyba nic dziwnego? Przeglądałaś je czasem? Te książki?

– Pewnie często. A co? Niczego nie znalazłam, jeśli o to ci chodzi.

– Doskonale wiesz, że o to. Czy mogłabyś je przejrzeć jeszcze raz? Dokładnie?

– Teraz, zaraz?

– Niekoniecznie! – zachnęła się. – Zrób to w wolnej chwili. I daj mi znać. Tobie też chyba powinno zależeć...

– Nie wiem. Niekoniecznie.

– O Jezu, przestań! Czy ja muszę żyć wśród wariatów? Twój wnuk jest do ciebie podobny.

– Nie daj Boże. To by była katastrofa. – Ewie zdawało się, że matka się uśmiechnęła. Może cynicznie, ale wreszcie. Dobrze i to.

– A nie zapomniałaś, mam nadzieję, że mamy się spotkać? Czekam na to, co ty zapamiętałaś z tamtych czasów. Obiecałaś.

– Powiedziałam, że zadzwonię, kiedy będę gotowa. Może i się starzeję, ale sklerozy jeszcze nie mam – odcięła się Halina.

– Okej. Dobrze. To... proszę, sprawdź w tych książkach i... czekam na wiadomość.

– To wszystko?

– Tak.

– Odezwę się.

Matka odłożyła słuchawkę.

* * *

W przejrzystym wnętrzu bursztynu nie tylko widziała tajemnicze krajobrazy – nagle zaczęły się one zmieniać, przekształcać. Nie rozpoznawała ich, zbyt szybko umykały, rozplywały się i z powrotem układały w jakiś nieokreślony porządek, by ulec kolejnej przemianie. Usłyszała niewyraźne głosy: nawoływania, płacz, narastający hałas, w tle coś jakby szum ulewnego deszczu. A może był to wiatr. Poczowała wibracje. Tak jakby medalion ją zahipnotyzował. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym głębiej wciągał ją do środka, gdzieś w głąb siebie – a może w głąb własnej podświadomości – stając się namacalną, autonomiczną rzeczywistością. Nagle poczuła strach. Chyba oszalałam – pomyślała, próbując otrząsnąć się z tego dziwnego stanu. Zmusiła się, by odłożyć naszyjnik, schować go głęboko do szuflady i zamknąć ją na klucz. Był piękny, lecz w swoim uroku coś krył. Świadek czegoś. Własną historię. Wiedziała, że nie da jej ona spokoju, dopóki jej nie pozna.

Magia przedmiotu – próbowała zracjonalizować własne doznania. Nie podzieli się nimi nawet z najbliższymi...

Są tylko jej.

* * *

Kilka dni później w gazecie – zarówno w jej wydaniu papierowym, jak i internetowym – pod artykułem Przeplackiego (dotyczącym innego tematu, choć też w pewnym sensie „historyczno-śledczego”) z krótkim wprowadzeniem oraz zdjęciem komody ukazał się tłustym drukiem apel z prośbą o zgłaszanie się ludzi, którym nie jest obce nazwisko i losy gdańskiej (tu następował znak zapytania) rodziny von Neuheit. Ewa poczuła się nieco rozczarowana faktem, że dziennikarz pominął jej wyjątkowo udane fotografie medalionu, ten jednak stwierdził, że z tym zdecydował się jeszcze poczekać.

– Zostawimy go sobie na później – obiecał. – Na tym etapie nie musimy ujawniać wszystkiego. Teraz spokojnie zaczekamy na odzew. Zawsze jakiś jest. A tymczasem ja sam pogrzebię w różnych źródłach i mam nadzieję, że wkrótce dam państwu znać o rezultatach. Będziemy w kontakcie.

Halina zadzwoniła od razu tego samego dnia.

– Kupiłam gazetę i przypadkiem zobaczyłam ogłoszenie – oznajmiła bez wstępów. – Nie wspomniałaś, że chcesz tę sprawę aż tak upubliczniać!

W jej głosie pobrzmiwała pretensja, a może tylko zdziwienie. Ewa jednak postanowiła się bronić:

– Mówiłam, że będę próbowała wyjaśniać, o co w tym wszystkim chodzi...

– Ale do tego stopnia?!

– Oj, nie przesadzaj. Przecież nawet nie wiadomo, że o nas chodzi. A może się wreszcie czegoś dowiemy. Ten dziennikarz obiecał, że będzie nas informował na bieżąco.

– Nas? Znaczy się: ciebie?

– Wszystko ci przekażę.

– Dobrze. – Matka zawahała się lekko. – Słuchaj... To umówmy się na przyszły tydzień. Pasuje ci? Opowiem ci, co pamiętam.

Tak jakby przestraszyła się, że sprawy zaszły za daleko bez jej udziału – pomyślała Ewa, rozbawiona.

* * *

Kilka dni później

– Wychodzisz? – Andrzej wyrzwał z łazienki z pianką do golenia na brodzie. Malowała się właśnie przed lustrem. Trochę perłowej szminki, trochę różu na policzki...
– Tak, muszę zajrzeć do agencji – odparła, przyglądając się krytycznie swemu odbiciu. – Mówiłam ci. Chcą ze mną skonsultować jakieś materiały...
– No, czasem wypada pokazać się w pracy nie tylko wirtualnie! – zażartował. – Nie zjesz śniadania?
Ewa zarzuciła płaszcz.
– Już jadłam. Spieszę się. Obudzisz Kacpra?
– Jasne! Leć.
Podszedł, by ją cmoknąć w policzek, jednak uchyliła się zwinnie.
– Zwariowałaś, gdzie mi z tą pianą, pół godziny robiłam makijaż! – Zaśmiała się. Kiedy już miała wychodzić, zadzwoniła jej komórka. Była pewna, że to Dagmara zamierza ją popędzać, jednak numer na wyświetlaczu był inny. Odebrała już na schodach.
– Przeplacki – przedstawił się szybko dziennikarz i od razu kontynuował: – Mam ciekawe wieści dla pani...
– O! Ktoś się zgłosił?
– Właśnie nie bardzo... – Zawahał się. – To dosyć dziwne, zwykle mamy jakiś odzew jeszcze tego samego dnia. A tu nic, przynajmniej na razie. Oprócz...
– Tak? – Z daleka zobaczyła tramwaj w połowie drogi do przystanku i puściła się biegiem. – Przepraszam, biegnę do tramwaju. Oprócz kogo? – dokończyła zdyszonym głosem.
– To wie pani co, może nie teraz. Wpadnę do państwa wieczorem, jeśli wolno. Bo to nam trochę zajmie, poza tym dobrze się składa, w zasadzie i tak nie jest to rozmowa na telefon...
– Oczywiście, bardzo proszę! – Dopadła pojazdu w ostatniej chwili i rozłączyła się, by wyjąć bilet z kieszeni.

Wieczorem nikt się jednak nie pojawił, a telefon Przeplackiego nie odpowiadał. Ewa czuła się rozczarowana. Tak liczyła na to, że czegoś się wreszcie dowie... Przez telefon dziennikarz wydawał się bardzo podekscytowany, a jego słowa brzmiały tajemniczo i obiecująco. Widocznie mu coś wypadło – pocieszał ją Andrzej, obiecując, że nazajutrz sam się z nim skontaktuje.

Dopiero następnego dnia dowiedzieli się, że Robert Przeplacki nie żyje. Na wysokości budynku Opery Bałtyckiej w Gdańsku spowodował wypadek samochodowy, w którym zginął na miejscu. Miał dwa promile alkoholu we krwi.

Stało się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy go oczekiwali. Bardzo możliwe, że właśnie do nich się wybierał...

III HALINA

Obie były spięte. Halina zaparzyła kawę i postawiła dzbanek wraz z filiżankami na stoliku, po czym wysypała na talerz maślane herbatniki. Tym razem przygotowała się do wizyty córki. I jak zwykle – wyglądała perfekcyjnie. Ewa zastanawiała się, jak ona to robi, że jej spódnica nigdy nie jest pognieciona, że nawet fryzura trzyma się, jakby była przyklejona, każdy kosmyk bez zarzutu, całość wymuskana, skończone dzieło sztuki, ideał nie kobieta. Ciekawe, ile poświęca na to czasu. Wyraźnie jednak miała opory przed przejściem do rzeczy, rozmawiały więc najpierw dość niezobowiązująco o różnych sprawach, między innymi o tragicznym wypadku, w którym zginął dziennikarz.

– Co za zbieg okoliczności... straszne... – Halina pokręciła głową.

– No właśnie. Czuję się tak, jakbym to ja ściągnęła na niego nieszczęście. Cholera.

Matka spojrzała na nią zdumiona.

– Zwariowałaś? Po prostu miał pecha!

Ewa nalała sobie kawy, zapaliła papierosa i głośno westchnęła.

– Wiem. Ale nic na to nie poradzę, że mam takie myśli.

– Był pijany. Jeśli już, to sam to na siebie ściągnął.

– Sama nie wiem. Andrzej twierdzi, że nie był alkoholikiem.

Halina zaśmiała się gorzko.

– A kto to może wiedzieć! O wielu alkoholikach nawet byś nie pomyślała, że nimi są. Nie mają tego wypisanego na czole. Potrafią się maskować... Skoro wsiadł po pijanemu do wozu... A swoją drogą, to on wtedy do was jechał? I najpierw sobie wypił? Dziwne, co? Może nie był zbyt wiarygodny... jako dziennikarz?

– Nie wiemy tego. Być może, że do nas jechał. Niewiarygodny? To był jeden z najlepszych dziennikarzy w Trójmieście! Starej daty, ale solidna firma. A teraz się już nigdy nie dowiemy, co odkrył w naszej sprawie. Sama będę musiała się w tym grzebać... To co, opowiesz? Od czegoś trzeba zacząć.

– Nie wiem, co ci to da, ale... skoro obiecałam... Wiesz, że mam swoje wady, ale zawsze dotrzymuję słowa. – Halina wstała i z papierosem w ręku podeszła do okna.

Zamilkły, wsłuchując się w odgłosy świata zewnętrznego: szmer deszczu za oknem, zgrzyt windy, pisk dochodzący z jakiejś rury gdzieś w trzewiach bloku, szczekanie psa, zawodzący warkot samochodu, który nie chce odpalić, płacz dziecka. Zwyczajne dźwięki zwyczajnego życia...

– Nie wiem, od czego zacząć. – Halina uśmiechnęła się nerwowo.

– Najlepiej od początku. Tak daleko, jak sięgasz pamięcią. – Ewa mrugnęła do niej.

Matka wyglądała na skupioną. W ułamku sekundy odmłodziła w smudze padającego z okna mlecznego światła, jak gdyby na powrót stała się młodą dziewczyną. Trwało to tylko przez chwilę, następnie wszystko powróciło do normy. Halina znów była sobą. Zaciągnęła się głęboko papierosem, zdecydowanym ruchem zasunęła firanę i przez chwilę jeszcze pomilczała, zanim rozpoczęła swą opowieść...

* * *

Niewiele zapamiętałam z wczesnego dzieciństwa, pewnie jak każde dziecko. Jakieś migawki, klimaty... Niewyraźne jak sen. Od razu się rozmywają, kiedy tylko próbuję je uchwycić i przytrzymać. Ale chyba miałam całkiem udane dzieciństwo. Nie było nam źle, choć czasy były ciężkie, jeszcze stalinowskie, bo ojciec – a może powinnam raczej mówić o nim: ojczym? – robił karierę w komunistycznej partii, odkąd tylko przybył do Gdańska wraz z Armią Czerwoną... by go „wyzwalać”... Dobrze, dobrze, daruję sobie sarkazm. Dla mnie był dobry. W każdym razie dopiero znacznie później zaczęłam się go wstydzić, może nawet dopiero po jego śmierci, kiedy rozumiałam już cokolwiek z otaczającej rzeczywistości. Matka z kolei była cichą, prostą i łagodną kobietą. Przez całe swoje życie, odkąd pamiętam. Tak cichą i łagodną, że aż mdliło. Do tego bogobojną, powiedziałabym nawet, że bigotką, aż śmiać się chce... Ale się dobrali! Lepiej chyba nie mogli. Nie wiem, jakim cudem on jej na to pozwalał, ale pozwalał i kiedy trzeba było – krył. Bo wiesz, wtedy latanie po kościołach nie było mile widziane, szczególnie w rodzinach partyjniaków, choć kościoły i tak się nieźle trzymały. W każdym razie matka chodziła tam cichcem, niemalże w przebraniu, i zawsze do innej parafii. Na przyjęcie pierwszej komunii wywiozła mnie gdzieś na wieś, to się jakoś tak odbywało w sekrecie, w czyimś domu – jak w konspiracji. To na marginesie, akurat utkwiło mi w pamięci: biała sukienka, wianek i tak dalej. Ona szczęśliwa, ja też się nieźle bawiłam. Ojca z nami nie było. No i wiecznie modliła się w domu: klęczenie poranne, zdrowaśki przy stole, *Anioł Pański*, klęczenie wieczorne, różaniec w łóżku i nie mam pojęcia, co jeszcze. A on nic! Nie uczestniczył w tych modłach, ale i nie przeszkadzał jej w nich. Zdaje się, że naprawdę się kochali, mimo tych różnic światopoglądowych. A może nie było żadnych różnic, wtedy ludzie dla kariery robili wszystko, co tam zresztą dla kariery... raczej żeby przeżyć.

Była ładna. Jako małej dziewczynce kojarzyła mi się z aniołem. Długie włosy, ciemnoblonde, falujące; zaczesywała je w koronę. Potem ojciec zabronił jej tego, więc zaczęła upinać sobie kok. Twierdził, że jako żona państwowego urzędnika musi dbać o siebie, a nie nosić się jak pierwsza lepsza wiejska baba. Choć ona przecież była wiejską babą, pochodziła z chłopskiej, rybackiej rodziny, biednej jak myszy kościelne. Zaszczytu awansu do „prawdziwej” klasy robotniczej dostała dzięki małżeństwu. Chociaż nigdy nie pracowała, nie przypominam sobie, by chodziła do jakiejś pracy, to znaczy owszem, chałupniczo, ale dopiero jak... kiedy umarł. Wracając do tych włosów w koronę, oczywiście posłuchała go potulnie, jak zawsze, ona chyba nigdy nie miała własnego zdania. Tak, kochałam ją. Jego zresztą też. Ale... nie wiem, może to sugestia, ale zawsze odczuwałam wobec nich jakąś obcość, mimo że nie wiedziałam jeszcze wtedy, że jestem adoptowana. Jakbyśmy byli z innej gliny ulepieni.

Zabrakło między nami czegoś – jakiejś nici porozumienia.

Ojca zapamiętałam jako silnego człowieka. W przeciwieństwie do matki skończył jakieś szkoły, tam we Lwowie, gdzie się urodził. Przed wojną. Mama dopiero pod jego naciskiem tak naprawdę nauczyła się pisać i czytać. Może przesadzam, ale gwoli sprawiedliwości przyznam, że nadrobiła zaległości całkiem skutecznie: później wiecznie czytywała romanse w kieszonkowych wydaniach. Poza Pismem Świętym, oczywiście. Podziwiałam ojca, lubiłam, jak nosił mnie na barana, zabierał na pochody pierwszomajowe, kupował chorągiewki, bawił się ze mną, uczył zbierać grzyby... Jednak ze stłuczonym kolanem biegałam do matki. Przytulała mnie i opatrywała rany. Ubierała i czesała, zaplatała warkocze, prowadziła do szkoły. Naprawdę

niewiele więcej pamiętam. Myślę, że czułam się wtedy bezpieczna.

Dopiero potem to się zmieniło...

Zaczął się jeszcze przed wypadkiem ojca. Tak mi się zdaje, choć pewności nie mam. Atmosfera w domu... podenerwowania, zagrożenia? Szepty rodziców, nagle urwane, kiedy wchodziłam do pomieszczenia, płacz matki. A potem ta tragedia. Wiesz, że zginął w wypadku, prawda? Ale pewnie nie wiesz, że coś dziwnego było z tym niby-wypadkiem. Ojciec wracał z jakiegoś spotkania partyjnego w terenie służbową wołgą. Sam prowadził, choć zazwyczaj jeździł z kierowcą. No i podobno był pijany w sztok, zginął na miejscu, znaleźli go nad ranem w rowie pod Oliwą. Sprawę szybko umorzono, pochowano go z pompą. Tymczasem... tymczasem matka przez całe życie utrzymywała, że nigdy nie wsiadłby za kółko po pijanemu. Tym bardziej, że nie musiał, miał z kim wracać. Nawet na trzeźwo nie rwał się za kierownicę. Od tego mieli kierowców. To były inne czasy, aut było mało, rzadko kto potrafił prowadzić, a co dopiero szarżować po pijanemu jak teraz. Ojciec nie był pijakiem. Owszem, pił od czasu do czasu, to znaczy dość często. Wtedy oni wszyscy chlali na potęgę. Ale ja akurat wierzę matce. Znała go najlepiej.

Miałam wtedy jakieś dziesięć lat, może jedenaście. Trochę już kojarzyłam. Zaraz potem zaczęły się u nas dziwne odwiedziny. Tak cyklicznie, z początku częściej, potem rzadziej, ale przez całe lata. Nachodzili nas obcy mężczyźni, najczęściej po nocach albo o świcie. Nie wiedziałyśmy, kim są. Może byli z milicji, może z bezpieki, może jakaś partyjna gwardia przyboczna... a może tylko zwykłe bandziory. Licho wie. Łomotali w drzwi, wrzeszczeli na matkę – ale czułam, że chodziło im o mnie lub także o mnie. Może sobie coś przeinterpretowałam. Nie wiem. Tak dziwnie mi się przyglądali... Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Bałam się, choć matka bała się jeszcze bardziej. Stała się jeszcze bardziej niepewna siebie i zastraszona niż wcześniej, a ja nie mogłam jej tego darować. Straciłam oparcie. Potrzebowałam kogoś silnego, jak ojciec, nie rozhisteryzowanej i sparaliżowanej strachem kobiety, którą sama musiałam uspokajać. Już wtedy chyba zaczęłam pomału tracić do niej zaufanie. Mimo że czułam – czuję – że robiła wszystko, by mnie chronić. Przed czym? Nie mam pojęcia. Nie pytaj. Już nigdy nie odzyskałyśmy spokoju.

W szkole, między rówieśnikami, czułam się źle. Nie dość, że byłam inna, nie potrafiłam bawić się tak jak one, cieszyć życiem, straciłam już całą beztroskę dzieciństwa... to w dodatku moja sytuacja w domu... No, rozumiesz. Miałam wrażenie, że wszyscy wiedzą o mnie więcej niż ja sama. Nauczyciele, dzieciaki, ich rodzice...

No i rosłam taka – wyizolowana, nigdzie nieprzynależna. Z latami to się pogłębiało.

Jeszcze gorzej było w domu. Zostałyśmy z matką same, tylko we dwie. W domu zrobiło się smutno i ponuro, ona się tylko wiecznie modliła. Możesz się śmiać, ale to było naprawdę przytłaczające. Odsuwałyśmy się od siebie coraz bardziej, nie rozumiałam jej, a ona mnie. Zresztą nie ułatwiałam jej tego. Byłam skrytą nastolatką. O tym, że zostałam adoptowana, poinformowała mnie dopiero, gdy miałam piętnaście lat. W pierwszym momencie przeżyłam szok. Jak każdy dzieciak chyba. Chciałam uciekać z domu i takie tam... Przeszło mi, kiedy zrozumiałam, że to mi w pewnym sensie na rękę. Zdradzę ci brutalną prawdę: ucieszyłam się, że nie jest moją biologiczną matką. Już nie musiałam walczyć o porozumienie. To dlatego była mi taka obca, dlatego nie potrafiłyśmy nawiązać ze sobą kontaktu – tak to sobie wytłumaczyłam. Była prostą kobietą, ja uważałam się za kogoś lepszego. Wstydziałam się jej. No i zacięłam się w sobie... Tym bardziej że z tą adopcją też coś kręciła. Nie powiem, żeby jakoś szczególnie interesowało mnie, kim naprawdę byli moi biologiczni rodzice. Sierot wojennych było mnóstwo, byłam jedną z nich. Ale ona... Nie chciała o tym rozmawiać. Uciekała wzrokiem, czułam, że coś chce przede mną ukryć. Zdradziła tylko, że w papierach mam „czysto” – występuję jako rodzona

córka, że ojciec załatwił to swoimi kanałami. W końcu przestałam dociekać. Pogodziłam się z losem, zdecydowałam, że odtąd będę liczyć tylko na siebie i zależeć tylko od siebie. Że żadne związki się nie liczą, tak naprawdę zawsze jesteśmy sami.

Teraz już myślę inaczej. Współczuję matce. Jednak fakt pozostanie faktem: nigdy – póki żyła – nie potrafiłam jej do końca przebaczyć. A teraz już na to za późno.

Nie powiem, że nigdy nie myślałam o moich prawdziwych rodzicach. Zdarzało mi się od czasu do czasu fantazjować, wyobrażać ich sobie. Ojca jako młodego, przystojnego... nie wiem... na przykład lekarza albo nauczyciela. Z miłą, inteligentną i śliczną żoną u boku... I oczywiście oboje z wózkami. A w wózku – ja: radosny, szczęśliwy, roześmiany bobas. Ale poprzestałam na fantazjach, wołałam nie znać prawdy. Dlatego teraz tym bardziej... jest to dla mnie trudne.

Jedźmy dalej.

W gimnazjum i liceum dawałam sobie radę. Uczyłam się nieźle, przyjaźni nie potrzebowałam, w konflikty się nie wdawałam. Uchodziłam za dziwaczkę, ale... byłam ładna. A to mi dawało przewagę. Teraz pewnie nie jest inaczej. Wygrałam nawet jakiś międzyszkolny konkurs piękności. Jednak dalej nie poszłam. Chłopcy mnie omijali. Tak jakby się mnie bali, pewnie byłam zimna i zbyt poważna na swój wiek. Woleli zadawać się z wesołymi dziewczynami, chichoczącymi po kątach. Nie bolało mnie to ani trochę. Nie czułam się dobrze wśród rówieśników. Nigdzie nie czułam się dobrze. Tylko sama ze sobą, z książką, z własnymi myślami. W tym czasie tajemnicze „wizyty” stały się rzadsze, choć się zdarzały. Matka oczywiście nie chciała mi zdradzić, o co tu chodzi. W szkole też były różne incydenty. Raz – pamiętam – wezwał mnie dyrektor i wypytywał o rodzinę. Pomijali mnie w imprezach szkolnych, tak jakbym była jakąś czarną owcą. Czułam się szykanowana. Innym razem zaczepił mnie na ulicy jakiś obcy facet i nagabywał. Kiedy się wyrывałam, wyszeptał mi do ucha, strzykając przy tym śliną: „Wiemy, kim jesteś, *Fraulein* zdro””. I popchnął z całej siły, aż zatoczyłam się... na latarnię. Miałam szesnaście lat. Płakałam. Zwierzyłam się matce, lecz ona kazała mi tylko nie myśleć o tym, nie zwracać uwagi: „Jesteś piękna, stajesz się kobietą, więc mężczyźni cię zaczepiają. Taki już nasz los” – powiedziała.

Nasz los?!

Znienawidziłam ją prawie za te słowa.

Kiedy tylko poszłam na studia, wyprowadziłam się z domu. Maturę zdałam celująco, egzamin jeszcze lepiej. A i tak nie dostałam się na wymarzony kierunek, którym była historia. Podobno zabrakło mi punktów. A przecież pochodzenie miałam teoretycznie wymarzone... dla komuny. W końcu przyjęli mnie na polonistykę, za drugim podejściem.

Miałam swoje pieniądze po ojcu, w tamtych czasach wszystko było tanie. Wynajęłam stancję u pewnej starszej samotnej pani, w dzień się uczyłam, wieczorami udzielałam korepetycji dzieciakom z podstawówki. Matka też mi pomagała, choć jej o to nie prosiłam. Sama żyła bardzo skromnie, nie zamierzałam jej dodatkowo obciążać. Jednak nalegała. Twierdziła, że jestem całym jej życiem. Nie wierzyłam jej, podejrzewałam, że po prostu czuje się wobec mnie winna.

Nadal się izolowałam. Nie miałam przyjaciół, chłopaka, nie chodziłam na studenckie potańcówki. Dopiero raz... zaszalałam. Tak, ale to było już po studiach. Pamiętam dobrze wszystko z tego okresu, nie tylko dlatego, że dla mnie był przełomowy, ale także dlatego, że był to ten sam rok, który zakończył się wypadkami grudniowymi: czasy się zmieniały. Straszna tragedia, trauma, ale... szło nowe.

Pracowałam jako początkująca nauczycielka w starszych klasach szkoły podstawowej. Już wtedy ośmioletniej, to było niedługo po reformie szkolnictwa. Miałam dosyć samej siebie i... coś mi strzeliło do głowy, weszłam do takiej jednej knajpy w Sopocie. Już dawno nieistniejącej.

Przypadkiem. Grał tam zespół – powiedzmy, rockowy, a może raczej rockandrollowy. I jeden z tych muzyków... poderwał mnie. A ja na to pozwoliłam. Nie podejrzewałam wtedy, że będzie to taka... taka znacząca decyzja w moim życiu. Upiłam się i przespałam z chłopakiem, w dodatku młodszym od siebie, tylko jeden raz – i od razu zaszłam w ciążę...

Wiem, trzeba było być idiotką, ale byłam nią.

Powołałam ciebie na ten świat. Nic nie wiedziałam wtedy o skrobankach. Przepraszam, że ci to mówię, ale prosiłaś o szczerość. Najpierw łudziłam się, że to nieprawda, potem ukrywałam ciążę, jak tylko mogłam. Na szczęście byłam szczupłą, łatwo ją było zamaskować. Mogli przecież wyrzucić mnie z pracy. Zaściankowość panowała w tym kraju zawsze, niezależnie od ustroju. Urodziłam w wakacje. Twój... ojciec... nie interesował się ani tobą, ani mną. Uważał się za wielkiego artystę, a tak naprawdę był... zwykłym lujem. Życie traktował jak zabawę, pił i hulał w najlepsze. Aż w końcu przehulał własne życie. Pewnie narkotyki też zażywał, ale o tym nie miałam wtedy pojęcia, bo o nich się nie mówiło, to był temat tabu. Więcej go zresztą nie widywałam. Żadne z nas tego nie chciało ani nie potrzebowało. Nie chciałam, żeby rzucił cień jeszcze i na twoje życie, przynajmniej tyle byłam ci winna.

Dziecko oddałam matce. Tak było lepiej dla wszystkich. Tylko dzięki temu miałaś normalne dzieciństwo. Nie myśl sobie, że będę cię prosić o wybaczenie. Zrobiłam dla ciebie, co mogłam najlepszego. Nie nadawałam się na matkę – ani wtedy, ani nigdy.

Na dobre zraziłam się do mężczyzn, wszelkich związków i powiązanych z nimi emocji. Nie są potrzebne do życia. Od tej pory oddałam się wyłącznie pracy. Może nie sercem, lecz umysłem. Byłam nielubianą nauczycielką. Nawet znieawidzoną. Dzieciaki bały się mnie jak diabeł święconej wody, nazywały mnie „Zmorą”. Ale byłam dobra w swoim zawodzie. Zaręczam ci, że każdy smarkacz, którego uczyłam polskiego, przeczytał wszystkie obowiązkowe lektury i nie robił błędów ortograficznych. Nie litowałam się nad nieukami i tępakami. Nie musiałam ich kochać ani być kochaną, miałam je nauczyć przedmiotu – i w tym stałam się perfekcyjna.

Nikt nigdy nie mógł zarzucić mi niedbalstwa. Może po latach któryś uczeń to docenił. Może. Nie żeby mi zależało, ale czasem dobrze, kiedy cię ktoś doceni. Ale ty to wiesz. Ciebie cenią. Pewnie nie uwierzysz, ale cieszę się z tego. Że tobie się udało. Że jesteś szczęśliwa. Nie mnie to zawdzięczasz, ale jednak... z mojej krwi powstałaś.

Jakakolwiek by ona nie była.

I mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedź. Dla twojego własnego lepszego samopoczucia. Bo mnie to na nic. Czy nie jestem ciekawa?... Może trochę.

Tamte... prześladowania... zakończyły się mniej więcej w tym samym czasie. Przynajmniej tak mi się zdaje, bo od matki niczego bym się przecież i tak nie dowiedziała. Mnie w każdym razie więcej nie dotknęły. Nie wiem, może rzeczywiście zmieniła się epoka, może prześladowcy mieli teraz ważniejsze sprawy na głowie, może się znudzili, może umarli? Zapewne nigdy się tego nie dowiem. Fakt, że nareszcie miałam od nich spokój. Choć spokoju ducha nie odzyskałam nigdy.

To tyle. Więcej grzechów nie pamiętam – roześmiała się.

* * *

Gdy Halina zamilkła, zapadła długa cisza. Ewa – wbrew sobie – czuła wzruszenie. Po raz pierwszy w życiu matka poruszyła w niej pozytywne emocje. Była wdzięczna za dopuszczenie do jej świata, za szczerość, nawet jeśli niosła ona gorzkość. Obie zapaliły papierosa – Ewa zwyczajnego, mocnego, Halina cieniutką cygaretkę. Żadna nie wiedziała, co teraz powiedzieć. W końcu młodsza zdecydowała się przerwać przedłużającą się ciszę.

– Dzięki – powiedziała nieco sztucznym tonem. – Nieźle mi namąciłaś tą historią... Będę to musiała przemyśleć. Oj, długo będę myśleć! O niczym nie wiedziałam, ty milczałaś, babcia milczała...

Halina wzruszyła ramionami.

– Cóż. Nie było powodu rozpamiętywać.

– Ale z tego wynika – kontynuowała Ewa – że naprawdę coś było na rzeczy! Bez powodu by was przecież nie straszili. Nawet w tamtych czasach.

– No wiesz, to były czasy, kiedy wszyscy mieli się bać. Szczególnie w epoce stalinowskiej. Zastraszenie społeczeństwa to najbardziej skuteczna metoda sprawowania rządów. Do czasu. Bo i tak im ostatecznie nie wyszło. Znieczulamy się w końcu na strach. Nienawidziłam komuny, choć jako dziecko naprawdę uwielbiałam ojca. A może zresztą dlatego tym bardziej jej nienawidziłam. Właśnie ze względu na tę butę, zniewalanie ludzi, upodlenie ich, pozbawienie ich podmiotowości. I tego, że on w tym uczestniczył. Ale tak samo już wtedy instynktownie nie znosiłam kleru. Pewnie przez matkę, przez tę jej dewocję. Choć nie tylko. Jako dziecko kacyka i bigotki byłam widocznie wyczulona na... pewne wspólne symptomy. Ludziom zdawało się, że walczą o wolność. Tymczasem w moim przekonaniu od początku była to tylko i wyłącznie walka o władzę. Dokładnie tę samą władzę. Walka o kość. Dopiero teraz okazuje się, że miałam rację. Kościół dąży do tego samego, co tamci. – Halina zabrała dzbanek i skierowała się do kuchni. – Zaparzę więcej kawy! – rzuciła po drodze.

Ewa podniosła się i poszła za nią. Stała w progu kuchni.

– Jesteś zgorzkniała. Nie wiem, czy można w ten sposób porównywać – zaprotestowała, wzburzona. Bardziej zresztą dla zasady niż z przekonania. A może z niepokoju.

– Zapewniam cię, że można. Im wszystkim chodzi tylko o władzę. Władzę nad ludźmi, rządy dusz, no i o forszę. Od wieków. Co mówię! Od tysiącleci.

Szybko napełniła ekspres kawą i włączyła przycisk. Urządzenie zaczęło cicho szumieć.

– To brzmi strasznie.

– Bo to jest straszne. Uwierz mi. Ja naprawdę przez to przeszłam. I wołałabym nie przeżywać tego ponownie. Dość mam uzurpatorów, którzy chcą mi narzucić, co mam myśleć i jak żyć.

Ponownie zamilkły.

– No, kawa gotowa. – Halina zdjęła dzbanek. – Zmieńmy już temat – zaproponowała, gdy z powrotem usiadły przy stole. – Zmęczyły mnie te wspomnienia. Mam dość. Powiedz lepiej... co u Kacpra?

Ewę zamurowało.

– Dobrze – powiedziała ostrożnie. – Chyba dobrze. Uczy się jako tako. Ma swoje zainteresowania, głównie sport i muzyka, jak u wszystkich nastolatków. Ale w sporcie naprawdę jest dobry. Odnosi sukcesy. Marzy o obozie sportowym w wakacje. Chyba się w końcu

złamiemy, choć to... strasznie drogie imprezy... – Westchnęła.

– Spokojnie. Dołożę wam.

– Nie trzeba! Z czego, z nauczycielskiej emerytury? Daj spokój.

Halina pogroziła jej palcem.

– Ty się o moją emeryturę nie kłopotcz. Daję sobie radę. Nadal udzielam korepetycji.

Jeszcze przez chwilę porozmawiały o życiu, aż w końcu Ewa postanowiła się zbierać.

Wstała.

– Halina... – zaczęła. Na końcu języka miała „mamo”, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. – A szukałaś już w tych książkach?

Matka pokiwała głową.

– Tak, przeszukałam wszystko, co mam na półkach. Od razu ci mówię, uprzedzając następne pytanie: niczego nie znalazłam. Żadnych tajemniczych zapisków.

– Cholera...!

– Nie mam pojęcia, o co chodziło mojej matce. Być może miała zamiar coś gdzieś schować, a później po prostu o tym zapomniała. Nie wiem, nie będę snuć domysłów, ale to najwyraźniej ślepa uliczka.

Pożegnały się z rezerwą, jak zwykle, chociaż Ewie zdawało się, że tym razem z mniejszym chłodem.

– Będiesz kontynuować poszukiwania? – zapytała Halina w drzwiach.

– Będę. Nie potrafiłabym inaczej.

– To... informuj mnie. Chcę być na bieżąco.

– Oczywiście. Powiedz mi jeszcze... – zawahała się – czy mój ojciec naprawdę był taki beznadziejny?

– Był kompletnym dupkiem. Ale to po nim zapewne odziedziczyłaś artystyczną wrażliwość. Zawsze coś.

Matka zamknęła drzwi w chwili, gdy podjechała winda.

CZĘŚĆ DRUGA

Noc była piękna, choć morze niespokojne. Fale biły o brzeg, pryskały pianą, błądy księżyc co rusz znikał, przesłaniany mglistymi woalami postrzępionych chmur, po czym z powrotem zalewał wodę srebrną poświatą, w blasku której wydawała się ona ciężka jak ołów. Morze szumiało, lecz nie był to groźny szum – raczej uspokajający, izolujący od ponurej codzienności. Przynajmniej tak odczuwała to para, która ukradkiem zakradła się na opuszczonej plażę. Ona ubrana w powiewającą na wietrze białą sukienkę, z ramionami okrytymi chustą. On w mundurze i płaszczu wojskowym.

Usiedli na piasku. Objął ją. Dziewczyna – czy raczej młoda kobieta – położyła głowę na jego ramieniu, jej włosy się rozsypały. Oboje mimowolnie wpatrywali się w horyzont, choć skupieni byli przede wszystkim na sobie. Woleliby wcale nie widzieć horyzontu, nie widzieć niczego, co się tam kryło.

Zapomnieć.

Chcieliby, przynajmniej w tym jednym momencie, tej nocy, aby skradziony rzeczywistości czas zamienił się w wieczność, szklaną bańkę zawieszoną w próżni.

Jednak cenne minuty upływały.

– Jesteś taka młoda – powiedział cicho.

Uniosła głowę:

– Ja...

– Tsss... Nic nie mów. Jesteś taka młoda. I śliczna.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową. Nie czuła się śliczna. Chciała po prostu... być.

Wtuliła się w niego całym ciałem. Drżała. Nie z zimna, lecz z emocji. Wyczuł to i objął ją jeszcze mocniej. Księżyc zaszedł, gdy zaczął całować jej kark i przymknięte powieki.

Westchnęła. Nie była już w stanie dłużej kryć wzruszenia. Wbrew wszystkiemu, na przekór rozumowi, czuła się szczęśliwa. Choć jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna, że nie ma – nie mają – do tego prawa.

Księżyc wypłynął na powierzchnię, odbijając się we wzburzonej wodzie, kiedy podnieśli się bez słów w poszukiwaniu bardziej ustronnego miejsca za wydumą. Uspokajający szum morza towarzyszył im, gdy mężczyzna rzucał swój płaszcz na piasek, a nad ich głowami rozstąpiło się niebo i tam gdzieś, wysoko, jak w granatowej przerębli, rozbłysły gwiazdy...

Tutaj nie było wojny. Przynajmniej na tę jedną noc.

IV ŚLEDZTWO

Miesiąc później

Telefon zadzwonił, gdy siedziała przy komputerze nad projektem plakatu dla browarów, który jej nie wychodził. Nie mogła się zdecydować, jakie zdjęcie ostatecznie wybrać, zrobiła więc kilka próbnych wersji – żadna jej się nie spodobała. Znużona i rozdrażniona, zła na cały świat, wrzasnęła do syna, słysząc, że kręci się po przedpokoju, a cholerny telefon dzwoni jak opętany:

– Kacper! Nie możesz odebrać telefonu, na litość boską?!

– Co? – usłyszała w odpowiedzi. – Przecież to twoja komórka! Zostawiłaś ją w kuchni. Masz. – Wszedł do kanciapy i podał jej wibrujący telefon. – Sama odbierz. Wychodzę do jednego ziomka.

Zanim zdążyła zareagować, trzasnęły drzwi. Wzruszyła ramionami i odebrała połączenie.

– Witam, czy rozmawiam z panią Ewą Pawelską? – Głos był męski, stonowany, uprzejmy; rozmówca starannie modulował wyrazy.

– Tak...?

– Moje nazwisko Jacek Kotwicki, jestem dziennikarzem, dzwonię z „Dziennika Pomorskiego” w sprawie... Może inaczej. Jestem... to znaczy byłem... kolegą z pracy oraz przyjacielem Roberta Przepłackiego. Pani z pewnością znane jest to nazwisko?

– Tak, oczywiście. – Odchrząknęła. – A pan... przepraszam... O co konkretnie chodzi? Mężczyzna przez chwilę się namyślał.

– Widzi pani, mam dla pani pewną propozycję. O ile oczywiście będzie pani zainteresowana. Chodzi o... tę samą sprawę.

– To znaczy? – Spłoszyła się.

– O tę sprawę, którą zajmował się przed swą śmiercią Robert, a która dotyczy pani osoby, czy też może raczej pani rodziny. Czy byłaby pani zainteresowana kontynuacją poszukiwań?

Ewa zamilkła, zbierając myśli.

– Rozumiem – podjęła w końcu ostrożnie – że pan zna szczegóły?

– Może nie wszystkie szczegóły, ale mniej więcej jestem zorientowany. Jeśli wyrazi pani zgodę na dalszą współpracę, moglibyśmy spotkać się... może na początek gdzieś na mieście?

Myślała gorączkowo, odruchowo zapalając papierosa, choć było to poważnym odstępstwem od ustalonych reguł. Trudno – pomyślała przelotnie – wywietrzę, prysnę odświeżaczem powietrza, nikt się nawet nie zorientuje. Dobrze, że Kacpra nie ma.

– Mógłby pan jeszcze raz powtórzyć swoje nazwisko?

– Jacek Kotwicki.

– Tak, właśnie... dziękuję. A gdzie i kiedy moglibyśmy się spotkać?

– Może jutro w południe? Na przykład w Galerii Bałtyckiej? Pijalnia czekolady?

– Dobrze. Znajdę. Pan mnie pozna?

– Powinienem. – Jego głos zabrzmiał raźniej. – Znalazłem pani zdjęcie na stronie

internetowej agencji reklamowej, w której pani pracuje.

– Świetnie, jest w miarę aktualne. – Roześmiała się. – Będę miała na sobie bordową kurtkę z polaru.

– Nie ma siły, żebyśmy panią przeoczył. W takim razie... Rozumiem, że jesteśmy umówieni?

– Tak. Do zobaczenia.

Rozłączyła się i zamyśliła. Od miesiąca w „sprawie medalionu” – jak nazwała ją sobie „roboczo” w myślach – nie działo się nic, nie licząc własnych bezowocnych poszukiwań w Internecie. Nazwisko lub nazwa „Neuheit” pojawiała się sporadycznie, wyłącznie w linkach niemieckojęzycznych, w nic jej zresztą niemówiącym kontekście. Zrozumiała już, że sama jest bezradna, ta historia przerasta możliwości zwykłej amatorki. Facet wydawał się miły i spadł jej jak z nieba. Doskonale się złożyło, że sprawa go zainteresowała, nie miałaby odwagi ponownie prosić o pomoc kogoś z prasy. Głupio się czuła, tak jakby osobiście sprowadziła nieszczęście na Przepłackiego. Andrzej strofował ją za te myśli, nie mogła się ich jednak pozbyć: same przychodziły, nieproszone, choć wiedziała, że to przesady. Sprawdziła tylko na stronie internetowej, czy dziennikarz Kotwicki naprawdę pracuje w „Dzienniku Pomorskim”. Znalazła – figurował w stopce redakcyjnej. Oczywiście poprosi go na miejscu o okazanie legitymacji, jednak praktycznie już była zdecydowana. Coś się wreszcie musi ruszyć. Komuś musi zaufać, komuś kompetentnemu. Kotwicki jest w tej chwili jej jedyną nadzieją.

* * *

Gdy tylko stanęła w progu, na jej widok podniósł się od stolika wysoki blondyn w dżinsach i bluzie moro. Uśmiechał się i uklonił, przeszła więc szybko przez salę, również z uśmiechem.

– To właśnie ja, Jacek Kotwicki, witam panią – odezwał się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – A oto moja legitymacja, jeśli zechciałaby pani zerknąć...

Poczuła ulgę, że nie musi go sama o to prosić. Mężczyzna był młody – młodszy od niej, jeszcze przed czterdziestką – i przystojny. A do tego sprawiał wrażenie człowieka prostodusznego i bezpretensjonalnego.

– Ewa Pawelska.

– Usiądźmy. Co dla pani zamówić?

– Tradycyjną poproszę.

– Coś do tego? Jakiś deser, lody?

– Nie, nie, dziękuję. Nie za dużo słodczy. – Uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć dwuznacznie. Ale nie przejęła się tym, nawet jeśli, to też dobrze.

Gdy już zasiedli nad swoimi filiżankami, Kotwicki zagaił:

– Może ja się na początek wytłumaczę. Z Robertem Przeplackim byliśmy... bardzo zaprzyjaźnieni. Pamiętam, że przed tym tragicznym wypadkiem wyjątkowo silnie angażował się w pani sprawę, nawet opowiadał mi o niej, choć nie zdradzał szczegółów. Był podekscytowany. Dlatego po jego śmierci, porządkując po nim dokumentację, postanowiłem sprawdzić, o co chodziło, tak z czystej ciekawości. Zrozumiałem tyle, że natknęli się państwo na pewien list z przeszłości oraz naszyjnik z bursztynem, orientuję się z grubsza, widziałem odpisy i zdjęcia. I że poszukujecie państwo przodków o niemieckobrzmiącym nazwisku. Czy to się mniej więcej zgadza?

Ewa umoczyła usta w czekoladzie.

– Zgadza się. Panowie razem pracowali, tak?

– Owszem, w tej samej redakcji. Ale... było to coś więcej. – Zawahał się. – Nie będę owijał w bawełnę: byliśmy partnerami.

– To znaczy: partnerami w pracy, tak? – W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– To też, chociaż ja zajmowałem się raczej sprawami bieżącymi, polityką i biznesem, a on siedział w tych swoich śledztwach historycznych. Historia i jej zagadki były jego żywiołem, pasjonowała go przeszłość. Powiedzmy tak: byliśmy przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi. Mieszkaliśmy razem. Dlatego dalsza rodzina Roberta – bo bliskiej nie miał – powierzyła mi jego rzeczy i papiery do uporządkowania. To w jego telefonie komórkowym odnalazłem numer do pani. Zdecydowałem się zadzwonić i poprosić panią o współpracę, bo...

– Tak?

– Bo w jego wypadku było coś podejrzanego. Jestem tego coraz bardziej pewien.

O mały włos nie upuściła filiżanki.

– Zaraz! Chwileczkę... – zaproponowała. – Chce pan powiedzieć, że łączy pan jego śmierć z... z moją sprawą?!

Kotwicki zamachał rękami.

– Proszę wybaczyć, źle to zabrzmiało. Prawdę powiedziawszy, nie wiem.

Najprawdopodobniej nie ma to żadnego związku z pani poszukiwaniami, ale... biorę pod uwagę

wszelkie możliwości. Fakty są takie, że nad tą właśnie sprawą pracował przed śmiercią, bardzo się w nią angażował. Mogę powiedzieć, że żył nią w swoich ostatnich dniach. Wiem, że coś odkrył – coś ważnego i niespodziewanego – w związku z tym naszymi. Ale był profesjonalistą, więc nawet mnie nie zdradził, o co chodziło, a ja nie zdążyłem pociągnąć go za język. Zginął w drodze na spotkanie z panią.

– Ale dlaczego uważa pan, że ten wypadek... że coś jest w nim podejrzanego? – zapytała. Odstawił swoją filiżankę, ponownie się zawahał.

– Odślonię się przed panią do końca. Znałem Roberta dobrze, od lat, znałem go jak nikt inny. Byliśmy w związku. Jestem...

– Tego się już domyśliłam – przerwała mu, zakłopotana. – Oczywiście to pańska prywatna sprawa, rozumiem. Ale nadal się zastanawiam, dlaczego podejrzewa pan...

– Stwierdzili, że Robert spowodował wypadek po pijanemu. Tymczasem on nie pił. W ogóle nie brał do ust alkoholu, od bardzo dawna. Przed laty miał problem z alkoholem. Był alkoholikiem, zaleczonym alkoholikiem. Miał wszyty Esperal. Bał się nawet łyka piwa. Ba, nawet czekoladki nasączona alkoholem nie brał do ust. – Kotwicki uśmiechnął się z czułością.

Ewa poczuła nagły dreszcz. Przypomniała sobie, co Halina opowiadała o wypadku swego ojca i o tym, co na ten temat mówiła babka.

– Czemu nie pójdzie pan z tym na policję?

– Byłem. – Wzruszył ramionami. – Wyśmiali mnie. Nie wprost, ale wyraźnie dali mi do zrozumienia, co myślą na ten temat. Śledztwo zostało umorzone bardzo szybko. Nie doszukali się znamion przestępstwa ani śladów działania osób trzecich. A moje domysły to konfabulacje. Z tym, że ja tak tego nie zostawię. Robert był dla mnie najważniejszym człowiekiem na świecie. Moim mistrzem i... rodziną.

– Rozumiem... – powtórzyła. – To może ja coś teraz panu opowiem. Historię mojej rodziny. To znaczy tyle, co o niej wiem. A wiem niewiele. Teraz już niczego nie jestem pewna.

Streściła Kotwickiemu opowieść Haliny, starając się nie zapomnieć o żadnym szczególe. Łącznie z tłumaczeniem niuansów zajęło jej to chyba z pół godziny. Niby niewiele tych informacji, a jednak. Najtrudniejsze było chyba objaśnianie zawłości dotyczących pokrewieństwa oraz skomplikowanych relacji w jej rodzinie. W międzyczasie zamówili jeszcze po jednej filiżance czekolady, zgodzili się, że każdy płaci za siebie i przeszli na ty.

– Chcesz powiedzieć, że twój... zaraz... dziadek, tak? Na razie zostawmy domysły, prawdziwy czy nieprawdziwy. Że twój dziadek zginął dokładnie tak samo jak Robert? – Kotwicki sprawiał wrażenie poruszonego.

Skinęła głową.

– Tak. Ale to było pół wieku temu...

– Ale to dziwne! Identyczne okoliczności. I twoja babka, czyli jego żona, też była przekonana, że to nie był wypadek?

– Właśnie. Powtarzała to do końca życia. Zmarła przed rokiem. Matka mówiła mi, że babcia z uporem maniaka twierdziła, że dziadek nie pił. Nie to, żeby był abstynentem, ale nie był też pijakiem... Oj, przepraszam! – zreflektowała się nagle, że popełniła gafę.

– Nie szkodzi, daj spokój. – Jacek machnął ręką. – Takie rzeczy są bardzo ważne! Te odczucia najbliższych.

– Babka mówiła jeszcze, że dziadek nigdy w życiu nie wsiadłby za kółko sam i po alkoholu. Nie był dobrym kierowcą, nie czuł się pewnie za kierownicą.

Umilkli. Ewie marzył się już papieros.

– Czy mógłbym pogadać z twoją matką? – zapytał Kotwicki.

Zmieszała się.

– Wiesz... Nie wiem, czy to ma sens. Ona nic ci więcej nie powie. Zresztą jestem pewna, że więcej po prostu nie wie.

– Rozumiem, że to już starsza pani?

Słyszac to określenie, Ewa nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Starsza pani? – parsknęła. – Nigdy bym jej tak nie nazwała. Zbliża się do siedemdziesiątki, ale ona tak naprawdę jest bez wieku. Nie wygląda na swoje lata. Jest aktywna, sprawna fizycznie, zdrowa, zadbana. Ale... nie wiem, jak to ująć... moja matka to dziwna kobieta. Powiedzmy: nietowarzyska i zamknięta w sobie. Nie lubi ludzi.

– Cóż, trudno jej się dziwić po takich przejściach.

– Możliwe.

– Nie macie ze sobą najlepszych kontaktów? Ups... Przepraszam, jeśli cię uraziłem. To nie moja sprawa.

– W porządku, nie uraziłeś. Szczerość za szczerość, skoro mamy zostać współnikami. – Uśmiechnęła się. – Masz rację, nie mamy najlepszych kontaktów. Ale jeśli będzie trzeba, zorganizuję spotkanie.

– Nie, nie... na razie nie ma takiej potrzeby. Więc jak? Jesteśmy umówieni? To kiedy zaczynamy?

– Jak najszybciej! Wiesz już wszystko, co trzeba.

– Okej, zacznę od razu. To moja wizytówka, są na niej wszystkie namiary do mnie, telefony, adresy, e-mail. – Podał jej niewielki kartonik. – Kontakt do ciebie mam. Zadzwoń jutro, jak już sprecyzuję sobie plan działania. Ale już dziś zacznę szperać.

– No to...

– Może wypijemy jeszcze po jednej czekoladzie? Za sukces?

– O nie! Wyjdźmy już stąd, muszę zapalić, bo pękne!

Rozstali się chwilę później. Ewa poszła do swojego samochodu, który zostawiła po drugiej stronie ulicy, przy Słowackiego. Jak to dobrze, że Andrzej zgodził się tego dnia pojechać do pracy taksówką. Po drodze na parking zdążyła odebrać dwa telefony: pierwszy od męża, z pytaniem, gdzie się, kurczę, podziewa; drugi od Dagmary, która zakomunikowała, że podesłała na jej skrzynkę materiały do ulotki reklamowej. Zanim ruszyła, komórka zadzwoniła jeszcze raz:

– To ja. Jacek. – Usłyszała w słuchawce głos Kotwickiego. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczny. Dziękuję, że się zgodziłaś. Jedź ostrożnie!

– Ależ to ja ci dziękuję, Jacku! Ty też. Do usłyszenia.

Od razu poczuła się lepiej. Z ulgą zapaliła papierosa. Nareszcie. I co by nie było, przynajmniej nie będzie siedzieć z założonymi rękoma. Dowie się, kim naprawdę jest – choćby po trupach. Cholera! Wysiadła szybko z samochodu i odpukała w pień drzewa. Z całą pewnością niemalowane.

– Jak się udała randka? – Andrzej wychylił się z kuchni, opasany przykrótkim fartuszkim w kratkę i z chochlą w dłoni. Mrugnął do niej, uśmiechając się szeroko.

Odwiesiła kurtkę i podeszła do męża, wtulając się w niego z wciąż tym samym uczuciem tkliwości.

– A co, zazdrosny?

– No ba, a jak myślisz?

– Ładna mi randka. – Westchnęła. – Facet jest gejem. Stracony dla kobiet, choć przystojny. Co pichcisz?

– Sos do makaronu. Pomidorowy.

– A makaron ugotowałaś?

Andrzej cmoknął ją lekko w policzek i wrócił do garów.

– Ugotowałam i nawet nie rozgotowałam! – pochwalił się. – Możecie zaraz siadać do stołu. Kacper!

Nastolatek wychylił nos ze swego pokoju, z którego jak zawsze dobiegały dźwięki basów.

– Co jest do żarcia?

– Spaghetti.

– No – mruknął. – Nareszcie coś porządnego. Wolę, jak ojciec gotuje. A nie ciągle to mięcho, kartofle i surówka...

Ewa wzruszyła ramionami, nakrywając w kuchni. Sos pachniał apetycznie. Andrzej nałożył każdemu kopsiastą porcję, posypując ją startym serem.

– Opowiadaj – zażądał.

– Ej, niby kto? Ja nie mam wam nic do powiedzenia. – Kacper posypał sobie danie dużą ilością pieprzu kajeńskiego. – Oprócz tego, że wszyscy z naszego klubu jadą na ten obóz. A wy jak zwykle żalujecie kasiory.

Ewa zerknęła na Andrzeja.

– Synuś, nie marudź. Jeszcze jest czas. Zobaczymy, jak wyjdzie. Nie możemy niczego obiecać, ale nie powiedzieliśmy „nie”. Zadzwoń tam. Babcia powiedziała, że w razie czego dołoży się do twoich wakacji...

– Babcia Halina?

– A masz inną babcię?

Rodzice Andrzeja od dawna nie żyli, oboje zginęli w wypadku lotniczym dawno temu, jeszcze na początku ich małżeństwa. Kacper napchał sobie do ust okazałą porcję makaronu.

– Wreszcie na coś się przyda – wybełkotał niewyraźnie.

– Dość tego, smarku! – wkurzył się ojciec. – Po pierwsze, odrobina szacunku. Po drugie, nie mówiłem do ciebie, tylko do matki. Ty i tak nigdy nam niczego nie opowiadasz. Wszystkiego dowiadujemy się od innych. I to nie zawsze są same miłe rzeczy!

Chłopak zmarszczył nos.

– Okej, skończyłem, idę sobie. Muszę pożyczyć zeszyt od Bartka. – Odsunął krzesło. – A na szacunek to trzeba sobie zasłużyć! – dobiegło ich jeszcze z przedpokoju. Syn narzucił kurtkę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Robi się coraz trudniejszy. – Ewa westchnęła, kręcąc głową. – Będą z nim jeszcze większe kłopoty.

– Taki wiek. Nie martw się, nie jest aż tak źle. To dobry dzieciak, tylko zamknięty w sobie. Gdybyś wiedziała, jakie problemy z dziećmi mają inni ludzie... W pracy słyszałem już różne opowieści. W dzisiejszych czasach młódzież jest inna, trudna. – Andrzej nałożył sobie drugą porcję spaghetti.

Ewa uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Zawsze taka była. Tylko już nie pamiętasz.

– To teraz wreszcie opowiadaj. Jak się udało spotkanie? Doszliście do czegoś? Gość chce się podjąć poszukiwań?

Z zapalem pokiwała głową, nastawiając wodę na herbatę.

– Tak, umówiliśmy się na kontakt. To bardzo sympatyczny, młody facet. Obiecał, że zacznie od zaraz. Bardzo go ta sprawa zainteresowała. Wiesz, on był... Wiedziałaś, że Robert Przepłacki był gejem?

– Szczerze mówiąc, nie... Choć jak teraz sobie przypominam, chodziły pewne pogłoski,

dawno temu, jeszcze na studiach. Ale on zawsze krył się ze swoim życiem prywatnym, a co dopiero z preferencjami. Potem nie miałem już z nim takiego częstego kontaktu. Plotek nie słucham. A czy to ważne?

– Nie, skąd, tak tylko zapytałam, z ciekawości. Sprawiał wrażenie męskiego faceta.

– Bo taki był. – Andrzej się zamyślił. – Robert był twardzielem. Za komuny niejedno w życiu przeszedł. A ten młody?

– Nie aż taki znów młody, w okolicach czterdziestki. Normalny. Bardzo kulturalny, fajny chłopak. Rzeczowy. I wiesz... mam wrażenie, że on nie odpuści. Uważa, że Przeplacki nie zginął przypadkiem.

– Żartujesz? – Mąż sięgał właśnie po szklankę z herbatą. Wyraźnie poruszony, rozlał trochę na spodeczek.

– Nie żartuję. Coś w tym wszystkim jest dziwnego.

Streściła szybko, o czym rozmawiali z Kotwickim.

– Czekam teraz na telefon od Jacka. Ma zadzwonić, jak tylko ułoży plan działania.

Wezmę urlop w pracy, żeby się w to włączyć na poważnie, w końcu cały czas jestem do dyspozycji, też mi się coś należy. Muszę tylko najpierw uporać się z tym, co mi wisi w komputerze. Daga podesłała mi jakieś materiały.

– Ty nie musisz brać urlopu, pracujesz na zlecenia – sprostował.

– No więc właśnie. Tym bardziej. Wezmę sobie po prostu wolne. Dagmara mnie zastąpi w razie czego. Tyle że finansowo będzie nam trudniej...

– Damy sobie radę. Tylko proszę cię, nie angażuj się za bardzo. Jeśli ten cały Kotwicki ma rację, to...

– Będę ostrożna. Obiecuję.

Kotwicki zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru.

– Wynotowałem sobie wszystko i wiem już mniej więcej, od czego zaczniemy. Jutro od rana zacznę szperać.

– Nie beze mnie! Proszę cię. Chcę być na bieżąco – wtrąciła.

– Jasne. Ale po archiwach nie będę cię ciągać. O wszystkim cię poinformuję i omówimy strategię.

– Gdzie się spotkamy?

Zawahał się.

– Właśnie nie wiem. W redakcji nie ma za bardzo warunków. Ale dobrze by było, gdybyśmy mieli jakąś... kwaterę dowodzenia. – Zaśmiał się. – Tylko gdzie? W knajpie?

– To byśmy zbankrutowali – odparła. – Mam jedno miejsce. Gdzie ty mieszkasz?

– U mnie...

– Nie u ciebie, tylko u mnie. To znaczy w mieszkaniu po mojej babce. Stoi puste, możemy urządzić tam sobie coś w rodzaju biura. Tam się będziemy spotykać. Przy okazji pomożesz mi jeszcze raz przejrzeć książki i szpargały babki. Może tobie uda się trafić na jakiś ślad.

– Świetnie, gdzie to jest?

– Na Jaśkowej Dolinie.

– No to mam niedaleko. Mieszkam na Hallera, ale to wynajęta kanciapa, mała, zagracona klita, pokój z kibelem. Dlatego nie zapraszam. Przez ostatnie dwa lata mieszkaliśmy tam razem z Robertem. Teraz zostałem już tylko sam z jego kotem.

– Nie ma problemu. U mnie jest dużo miejsca.

Podawała mu adres.

– Trafisz bez problemu – dodała. – Więc kiedy się spotykamy?
– Jutro. Jak zrobię rozeznanie w archiwach. Zadzwońię.
– Okej, to do jutra. Już się nie mogę doczekać!
– Do zobaczenia. Może zabierzesz męża? Każda pomoc się przyda.
– Raczej nie wypali. Pracuje. Ale oczywiście będzie pomagał w miarę możliwości. Znał dobrze pana Roberta. Czekam na telefon i spotkamy się na miejscu. Pa!

Wyjęła ze schowka medalion. Za każdym razem miała wrażenie, że tajemniczy klejnot coś mówi. Że może w końcu zdradzi swoją tajemnicę. Bursztyn mrugnął krwawo odbitym światłem, po czym zgasł, gdy nim poruszyła. Przyjrzała się wygrawerowanemu napisowi: „Louise. Danzig`44”.

W końcu mi powiesz – pomyślała. – W końcu znajdę do ciebie drogę.

Zaraz potem schowała naszyjnik i zatelefonowała do współpracownicy, prosząc ją o zastępstwo na jakiś czas. Na razie nieokreślony. Wy tłumaczyła się sprawami rodzinnymi. W końcu nawet nie skłamała – były to jak najbardziej „sprawy rodzinne”. Dagmara nie oponowała, poprosiła tylko, żeby Ewa zakończyła najpierw rozpoczęte projekty. Od przyszłego tygodnia – zgodziły się. Do końca tygodnia Ewa odda zakończone prace, a Daga zastąpi ją przy następnych. I tak zbliża się sezon urlopowy, zleceń będzie mniej, jak co roku. Zwykle z tego powodu nie przepadały za okresem wakacyjnym, tym razem był on jednak Ewie na rękę.

– Tylko jedna prośba, Ewuniu – poprosiła przyjaciółka. – Bądź pod telefonem, bo nigdy nie wiadomo, co wypali. Czasem mogę cię potrzebować. Gdybyś była w potrzebie, daj znać, dostaniesz zaliczkę. W końcu wam się nie przelewa. No i nie szalej za bardzo – zawiesiła głos.

Ewa się roześmiała.

– Oczywiście. Dzięki, Daga, jesteś kochana. Jakby co, będę pod ręką.

– Wiesz, że muszę cię pilnować. Jesteś wariatką.

– Dobra, dobra. Pilnuj sobie, tylko o nic mnie nie wpytuj. Przynajmniej na razie. Potem ci wszystko opowiem.

– Tajemnicza jesteś! Ale nie chodzi o żaden romans?

– Nie o mój w każdym razie...

V DRUGA STRONA

Muszę się rozluźnić, zrelaksować. Odprężyć.

Zamykam na klucz wyciszone drzwi. Nikogo do siebie nie dopuszczam, nawet jej. Won. Wszyscy won. Nalewam kawy do filiżanki – do małej zgrabnej filiżanki z porcelanowego serwisu, ze złoceniami. Lubię takie gadzety, dają mi poczucie stabilności. Kawa też nie może być byle jaka. Ma być mocna, gęsta jak syrop, czarna jak śmierć. Tak, jak śmierć. Jak nagła, czarna, zasrana śmierć. Każdego kiedyś dopadnie. Ale póki co – żyjemy. Do tego kieliszek koniaku. Czy odczuwam zadowolenie? Ukojenie? Nie, kurwa. Muszę pomyśleć, muszę to wszystko przemyśleć...

Najpierw ten stary cap. Pedał cholerny. To przez niego wypłynęła ta kretyńska stara sprawa. Cholerny, uparty, wścibski stary dureń. Gdyby nie był taki dociekliwy, pożyłby jeszcze pewnie przez jakiś czas. No i ta dziwka. Nie wiem, co zrobić z dziwką, żeby nie odważyła się zrobić tego po raz drugi. Na razie się boi, ale nigdy nie wiadomo. Z kretynkami nigdy nic nie wiadomo. Wciąż im wszystkiego mało.

Zawiodła moje zaufanie. Ośmieliła się działać za moimi plecami. Muszę jej odebrać ten cholerny naszyjnik... ale tak, by niczego nie zaczęła podejrzewać... ani dopytywać.

Mój własny, kurwa, pieprzony naszyjnik! Dostała go – i to był błąd, zasadniczy błąd. Ten szmeln powinien zostać zniszczony już dawno temu, starty w proch, wdeptany w glebę. Nie powinien istnieć. Cholerne chciwce... żeby połakomić się na taki szajs... Tępe chamy. Muszę go odebrać i unicestwić, przetopić, cholera. Ale ta głupia cipa będzie wypytywać, węszyć, o, z pewnością będzie!

Może to raczej ona powinna zniknąć...

A z pedałem nie tak miało być. Nie to, że go żałuję, płakać nie będę. Ma, na co zasłużył. Ale nie miał zdychać, przynajmniej nie tak od razu. Miał dostać nauczkę. Nikt nie przewidział, że przeholujemy ze starym i że od razu skutecznie gruchnie w latarnię. Może zawału dostał. Gdyby ktoś mnie z tym powiązał, gdyby chuj beknął komuś, że chce się ze mną spotkać... po nitce do kłębka, kurwa. Mogły być z tego kłopoty, na szczęście nasze gliny są tępe i źle opłacane. Inaczej trzeba by było uruchomić inne kanały, a tego wcale nie pożądamy... za dużo zachodu.

Tylko jak to się stało, że ta stara sprawa wypłynęła? Jak to w ogóle możliwe, kurwa? Trzeba sprawdzić tę rodzinę, trzeba się nią na nowo zainteresować. Mają być pod kontrolą, tak jak dawniej. Nie mogę przecież dopuścić, żeby teraz wszystko się rozpiardoliło. Właśnie teraz, po tylu latach, co za ironia losu!

Od przeszłości się nie odetnę, a rodzina rzecz święta.

Jeszcze jeden koniaczek. Na zdrowie – do lustra. Nie dopuszczę do katastrofy. Nie stać mnie na katastrofy. Poradzę sobie z każdym gównem, z każdym zasranym gównem. Choćby po trupach. Ci ludzie to zwykle wszy, komu zależy na wszach.

Spokój. Całkowity spokój.

Jeszcze odrobina koniaczku? Bardzo proszę – no to do lustra, na zdrowie. Został jeszcze ten gówniarz, kochaś starego, jego ciota. Gnój może nie odpuścić. Do glin już biegła, na szczęście ci są pod kontrolą. Jego też trzeba pilnować. Gotów sprawić niespodziankę.

I muszę rzucać tym mięsem, tymi wszystkimi jebami, kurwami i chujami, bo inaczej co?

Strzelać do wszystkiego, co się rusza i stanie na mojej drodze? Kul zabraknie.

Że też akurat teraz. Potrzebne mi kłopoty... Mało ich, kurwa, jeszcze mam? Do lustra.

Bo potem...

VI ŚLEDZTWO

Kiedy nieco zdyszana – szła bardzo szybko od tramwaju – dotarła na Jańskową Dolinę, Jacek czekał już pod kamienicą i dokarmił podwórkowe koty resztkami kanapki z kiełbasą.

Poczuła się zawstydzona.

– Przepraszam cię, tramwaj mi uciekł, a drugi... – zaczęła, ale Kotwicki machnął ręką.

– Daj spokój, przyjechałem za wcześnie! Ale to nic, przynajmniej zawarłem tu pierwsze miłe znajomości. – Uśmiechnął się, rozdzielając wypasionym kocurom ostatnie kęsy.

– One i tak są grube! Pewnie wszyscy je tu karmią. – Zaśmiała się.

– Daj Boże. Tak powinno być.

– Chodźmy na górę.

Zaprowadziła go schodami na pierwsze piętro, po drodze pokazując zejście do piwnicy. Wygrzebała z kieszeni pęk kluczy i otworzyła drzwi do mieszkania.

– Proszę. Sąsiadów tu raczej niewielu. Sporo mieszkań stoi pustych, ludzie wykupili je, ale po śmierci byłych lokatorów jakoś nie wprowadzili się na stałe, może chcieli na wynajem, ale... mało chętnych, pewnie za drogo, to zazwyczaj duże metraże. A szkoda, taka piękna okolica. Cisza, zieleń... Poza tym jest tu jeszcze kilkoro staruszków. I jedno biuro na parterze. Proszę, wejdźmy... Rozgość się, a ja zaraz zaparzę herbaty. Wszystko, co trzeba, tu mam. Napijesz się, prawda?

– Chętnie. – Jacek rozejrzał się. – Piękne mieszkanie. Tylko wymagałoby remontu.

A czemu wy się tu nie wprowadzicie?

Ewa nastawiła wodę na starej kuchence gazowej i wyjęła kubki z szafki.

– Ech... nie wiem właściwie. – Skrzywiła się. – Może właśnie z powodu tego remontu?

Wiesz, nie bardzo nas stać, a to duże koszty. Chciałabym, ale... mieszkamy w bloku, brzydko tam i ciasno, jednak człowiek się przyzwyczaja, no i ma zapewnione wygody. Na razie nie zdecydowaliśmy jeszcze, co chcemy zrobić z tym mieszkaniem: sprzedać je czy zamieszkać. Marzył nam się domek gdzieś na wsi. Z ogródkiem. Ale żeby to było realne, i tak musielibyśmy najpierw doprowadzić mieszkanie do jako takiego ładu, inaczej poszłoby za bezcen, no i tu się kółko zamyka – dokończyła ze smutnym uśmiechem. – Może zostanie dla syna, za parę lat będzie dorosły, pewnie chętnie się od nas wyniesie. Siadaj, proszę!

Postawiła na stole parujące kubki, dokładając do nich paczkę pierniczków w czekoladzie.

– Częstuj się. Nic lepszego nie mam. Ale te są pyszne!

– Kocham pierniczki. To co, zabieramy się do roboty?

– To może przejdziemy do pokoju? Zrobimy sobie z jednego biuro. Najlepiej z tego od podwórza, jest całkowicie wyciszony...

Jacek powstrzymał jej zapał, śmiejąc się cicho.

– Ale tu jest fajnie! Możemy przecież na razie posiedzieć sobie w kuchni? Lubię duże kuchnie, tak tu swojsko, domowo. Ja nie mam kuchni, tylko wnękę do gotowania, z kuchenką dwupalnikową i dzbankiem elektrycznym. Tutaj też da się gadać.

Przyjrzała mu się z sympatią. Też najbardziej lubiła tutaj siedzieć. Właśnie w tej kuchni toczyło się życie, gdy żyła babcia, a ona tu mieszkała jako dziecko i młoda dziewczyna.

– Racja – przyznała. – To mów, co robimy dalej. Wzięłam specjalnie wolne z pracy, żeby

być do dyspozycji. A może... już coś znalazłeś ciekawego?

– Jeszcze nic konkretnego. – Kotwicki westchnął. – Ale zrobiłem wstępne rozeznanie, jestem umówiony w archiwum miejskim i w Stowarzyszeniu Bursztynników w Polsce, którego zarząd, szczęśliwie dla nas, mieści się w Gdańsku. Napisałem też do Stowarzyszenia Rzeczników Jubilerskich, nawet dostałem już wstępną odpowiedź, teraz muszę przedstawić naszą prośbę w sprawie naszyjnika... czy też medalionu...

Ewa szeroko otworzyła oczy.

– No proszę, co fachowiec, to fachowiec. Mnie by to nie przyszło do głowy! Nawet nie wiedziałam o istnieniu takich organizacji. Super. Będziesz potrzebował zdjęć medalionu? No, bo bez tego...

– Mam te, które dałaś Robertowi. Są tam całkiem czytelne zbliżenia grawerunku i sygnatury, ale jeśli masz ich więcej, to poproszę. Będzie z czego wybierać. Swoją drogą, świetne zdjęcia. Wiem, wiem: jesteś fotografem. – Uśmiechnął się, chrupiąc pierniczka.

– Dzięki. Oczywiście, podeślę ci mailem wszystko, co mam. A co dalej?

Ewa wstała, by dolać do kubków herbaty, póki woda jeszcze nie wystygła.

– To będzie zależało od tego, czego się na początek dowiemy. Chciałbym jeszcze, jeśli pozwolisz, pogrzebać w przeszłości waszej rodziny. Ciekawi mnie szczególnie ten wypadek twojego dziadka. I kto ewentualnie mógł maczać w tym palce. Spróbuję poszukać najpierw w archiwum policji w Gdańsku, ale oni, zdaje się, posiadają dokumenty wytworzone dopiero od pięćdziesiątego piątego roku, wcześniejsze są chyba w IPN-ie. Pamiętasz, kiedy to się wydarzyło?

– Wypadek dziadka? – upewniła się.

– Tak.

– Zaczekaj... – Zastanowiła się. – Matka miała chyba jedenaście albo dwanaście lat. Mogę to jeszcze sprawdzić... ale to musiało się wydarzyć w jakimś pięćdziesiątym piątym albo szóstym roku.

– No, dla nas dobrze by się składało, bo wystarczyłoby lokalne archiwum policyjne. – Dziennikarz się ożywił.

– Tak by na pewno było szybciej. – Ewa pokiwała głową. – I bez jeżdżenia.

– Cieszę się, że nie masz nic przeciwko...

– Skąd! – zaoponowała. – To przecież w moim interesie. A raczej w naszym rodzinnym – poprawiła się.

Kotwicki sięgnął po herbatę.

– No więc zaczynamy od podstaw. Mamy medalion, list z komody i to, co zapamiętała twoja mama. Od tego wyjdziemy. Wiem, że szukałaś informacji w Internecie. Też sobie poszperałem, ale na nic sensownego nie trafiłem.

– Ani ja.

– No właśnie. Najwyraźniej są to sprawy całkowicie zapomniane. Nawet nazwisko tych twoich tajemniczych przodków się nie pojawia. Tylko w kontekście miejscowości i to wyłącznie w niemieckich źródłach... A właśnie. To jedyny konkretny trop, jaki udało mi się znaleźć. Z tym, że nie wiem jeszcze, czy to nie jedynie przypadek. Miejscowość tłumaczy się jako: Nowina albo Nowiny. Taka wieś istnieje w okolicach Gdańska. Być może ma to związek. Nazwy miejsc po wojnie często tłumaczono z niemieckiego na polski dosłownie. Sprawdźmy to, ale później, jak już będziemy wiedzieli coś więcej.

– Jasne. Czuję się oszołomiona. – Ewa znów uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Dziennikarz zerknął na zegarek i szybko się zerwał.

– Rany, muszę uciekać! Powinienem jeszcze zajrzeć do redakcji, a tymczasem kot siedzi

głodny. Idziesz też? Odwiozę cię...

– Nie, nie. Dzięki. Ogarnę tu jeszcze i wrócę tramwajem. Dorobię ci klucz, chcesz? Będziesz mógł tu wpadać w każdej chwili i... może... przeszukać tę rupieciarnię? Może tobie uda się trafić na te zapiski?

– Nie ma sprawy. Jeśli tylko ty sobie tego życzysz. I jeśli twoja rodzina się nie zbuntuje.

– Nie mam tu nic do ukrycia, osobiste rzeczy dawno zabraliśmy, cennych nie było.

Zresztą później i tak wymienimy zamki, a może nawet całe drzwi.

– Okej. – Roześmiali się oboje, a Kotwicki poszedł po kurtkę. – To lecę... Aha, coś jeszcze! – Zatrzymał się w progu. – Ważne: o tym wszystkim, co robimy, cicho sza. Nie rozgłaszamy tego, trzymamy w tajemnicy. Im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej.

Oczywiście, najbliższa rodzina tak, to zrozumiała. Ale ani słowa do obcych.

Ewa uważnie spojrzała mu w oczy.

– Myślisz, że...

– Na wszelki wypadek – uciął. – Jeśli mam rację z... wiesz z czym... to komuś możemy cholernie przeszkadzać. Lepiej być ostrożnym. Dopóki nie wiemy, o co tu chodzi. I uważaj na siebie. Na wszelki wypadek! – podkreślił.

* * *

Śledztwo powoli posuwało się naprzód. Ewa w zasadzie nie bardzo wiedziała, co robi Jacek, po prostu kontaktowali się codziennie, a dziennikarz składał jej na bieżąco raporty ze swojego dochodzenia. Za punkt wyjścia uznał naszyjnik i od niego zaczął. Stosunkowo szybko otrzymał odpowiedzi, zarówno ze Stowarzyszenia Bursztywników, jak i od rzeczoznawców jubilerskich. Jedni i drudzy uznali wyrób za oryginalny i zapewne wykonany na specjalne jednostkowe zamówienie według indywidualnego projektu. Najwyraźniej nie należał on do żadnej znanej serii. Sygnatura wytwórcy należała z kolei do jednego z cenionych gdańskich jubilerów okresu przedwojennego, czynnego aż do końca wojny, który następnie kontynuował swą działalność w Niemczech – do swej śmierci w końcu lat pięćdziesiątych. Od tamtego czasu firma przestała istnieć, choć sporo jej wyrobów się zachowało. Żaden jednak nie przypomina przedstawionego naszyjnika. Wysoka próba, precyzyjny grawerunek oraz sam bursztyń – unikatowy – wskazują na to, że medalion nawet wówczas nie należał do tanich precjozów. Musiał słono kosztować. Dopiero od rzeczoznawców dowiedzieli się, że metal, który brali za srebro, był w istocie białym złotem. Pierwszy lepszy klient go nie zamówił, nawet w czasie wojny, a w dzisiejszych czasach jego wartość znacznie wzrosła...

Kwestia ceny nie interesowała Jacka, podobnie zresztą jak Ewy.

– Mogłabyś się nieźle wzbogacić – zażartował dziennikarz. – Ale wiem, że go nie sprzedasz. Z innej gliny jesteś ulepiona.

– Ty byś sprzedał?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pewnie na twoim miejscu – nie.

– Moja matka by sprzedała. Bez sentymentów. Dlatego dobrze, że oddała go mnie! – Zaśmiała się.

– Wracając do sprawy, dostanę listę stałych klientów gdańskich jubilerów i bursztywników z tamtego okresu. Coś się podobno zachowało. Może znajdziemy na niej twoich przodków, choć już teraz można stwierdzić, że wszystko wskazuje na to, że twoja babka miała rację. Z tymi hrabiami. Chyba już czas zacząć solidne poszukiwania w archiwach.

Ewa zaproponowała Jackowi, by przeniósł się tymczasowo na Jaśkową Dolinę. On jednak nie do końca się zgodził. U siebie zostawił kota, którego uwielbiał. Ponadto wiekowy już kocur od jedenastu lat był wiernym towarzyszem Roberta Przełackiego. Zwierzek nie zniósłby kolejnych zmian w swoim życiu, i tak wpadł w depresję po śmierci opiekuna. Jacek siedział więc za dnia, po pracy, w mieszkaniu na Jaśkowej, a na noc wracał do kota. Ewa scedowała na niego najbardziej upierdliwe zadanie – przeszukanie papierów pozostawionych po babce. Makulatury było sporo, jednak liczyła, że wprawne oko dziennikarza łatwiej wychwyci coś ważnego. Oczywiście pomagała jak mogła, dojeżdżając, choć na sam widok tych stert czuła się bezradna. Przy okazji zrobili w nich jednak porządek, a ewidentne śmieci zostały spalone w piecu.

Nie dało się jednak ukryć, że rezultaty rozczarowały ich oboje.

– Chyba trzeba machnąć na to ręką. Nic ciekawego tu nie ma – stwierdził w końcu Jacek. – Przeszukam jeszcze piwnicę, a ty w międzyczasie naciskaj na matkę. Niech jeszcze raz przejrzy te książki, ale uważnie, może coś jest gdzieś podklejone. Trzeba szukać nawet pod oprawą, szczególnie gdy da się wyczuć jakieś zgrubienia czy nierówności. Dajmy sobie jeszcze dzień,

dwa, a potem przierzucimy się na archiwa. Będziesz chciała jechać ze mną? Czy mam sam je obskoczyć?

– Będę chciała. Jeszcze nigdy nie byłam w archiwum, a i tak nie mam nic lepszego do roboty. Chętnie ci pomogę, co dwie pary oczu, to nie jedna. W końcu specjalnie po to wzięłam sobie urlop, muszę jeszcze tylko zdać projekt i zwrócić materiały. Zrobię to jutro. Potem jestem wolna. Chcę w tym uczestniczyć.

– Okej – zgodził się z jej argumentami.

* * *

Kotwicki wyszedł wcześniej z redakcji. Naczelnicy nie robił problemów – wiedział, że Jacek pracuje nieoficjalnie nad sprawą Roberta Przeplackiego, i po cichu liczył, że jeśli będą rezultaty, to z pewnością przyniesie ona gazecie wymierną korzyść. Historyczno-genealogiczne dochodzenia Roberta zawsze cieszyły się dużym powodzeniem. A w rezultaty wierzył: Kotwicki był dobrym dziennikarzem. Młodym, lecz już doświadczonym, a do tego z talentem. A to naprawdę rzadkość.

Jacek pojechał prosto na Jańskową Dolinę, zatrzymując się tylko przy sklepie spożywczym. Nakarmił podwórkowe koty i udał się na górę. Lubił tu przebywać: mieszkanie emanowało kojącym nerwy spokojem. Zaparzył sobie kubek herbaty, zjadł kanapkę. Odrobinę zachciało mu się spać, odgonił jednak napływające falami zmęczenie. Ma co robić. Tutaj, w mieszkaniu, przejrzeni już wszystko, pozostała jeszcze piwnica. Co prawda Ewa wraz z mężem już ją podobno przeszukali, ale pobieżnie, a w dodatku wtedy jeszcze nie do końca wiedzieli, co właściwie chcą znaleźć. Prawdę mówiąc, to on sam tego nie wie. Wierzył jednak w swój dziennikarski nos.

Ciężko wstał z krzesła, rozprostował kości i wyszedł na klatkę schodową. Była ciemna. Pstryknął włącznik światła, żarówka się jednak nie zapaliła. Cholera – zaklął w duchu – dopiero co się świeciło. Żeby choć było tu jakieś okno... przecież zabić się można!

Zawrócił po latarkę i uzbrojony w nią zszedł po schodach. Wiedział, że piwnica jest oświetlona, słabo, ale wystarczy, na szczęście ma dobry wzrok. Chyba że awaria objęła i ten poziom. Otworzył drzwi, sięgnął do kontaktu...

– Dzięki, Ewciu. – Dagmara nastawiła wodę na kawę. – Spisałaś się na medal. Jak zwykle zresztą. – Uśmiechnęła się, wyciągając z szafki filiżanki. – Fajnie, że masz chwilę, nudzę się tu sama jak mops. No, ale ktoś musi to ogarniać. Nie, nie! Nie robię ci wyrzutów. Po prostu zaczyna się martwy sezon, wszyscy wybyli, tylko ja zostałam jak ta dupa wołowa. Ale tobie należy się wolne. A wybieracie się gdzieś na urlop w końcu?

Daga jak zwykle imponowała energią. Ewa nie знаła drugiej kobiety tak pełnej naturalnej żywotności. Pulchna blondyna zarażała optymizmem, nawet wtedy, kiedy człowiek najchętniej zakopałby się w mysiej dziurze. Ale tego dnia i Ewa nie grzeszyła akurat złym nastrojem. Nareszcie miała misję, związaną nie tylko z pracą i domem. I ta misja zaczynała dobrze rokować...

– Wiesz... nie bardzo – przyznała niechętnie. Myśl o urlopie natychmiast skojarzyła jej się z Kacprem, co z miejsca przyprawiło ją o wyrzuty sumienia. – Po pierwsze, nie wiadomo, czy Andrzejowi uda się wziąć urlop w wakacje. Po drugie... ech... co mam ci gadać. Nie stać nas na to. Przede wszystkim chcielibyśmy wyprawić gdzieś Kacpra. Marzy o obozie sportowym, bo wszyscy jego koledzy na coś takiego jadą. Ale sprawdzałam, to są horrendalne koszty! Poza naszym zasięgiem, choć nawet moja matka obiecała, że się dołoży...

– No dobra, ale przecież Andrzej pracuje w korporacji? – Dagmara się zdziwiła. – Sorry, jeśli...

Ewa się skrzywiła.

– Daj spokój. On tam nie jest nikim ważnym, zwykłym szeregowym gryziopiórkiem. Zarabia może i nie najgorzej, ale uwierz: to żadne kokosy. A my przecież spłacamy kredyt.

– No tak...

Dagmara postawiła przed Ewą filiżankę i pudełko z kostkami cukru, po czym poprawiła fryzurę przed lustrem. Nagle zatrzymała się w pół gestu.

– Ale słuchaj, ja coś chyba dla was mam... Oczywiście oprócz obiecanej zaliczki. – Mrugnęła. – Całkiem zapomniałam! Mówisz, że gdzie młody chciałby wyjechać? Na obóz sportowy?

– No.

Przyjaciółka podeszła do swego biurka i poszperała w papierach.

– Tu jest. – Podała Ewie kolorową broszurkę. – Zakręć się koło tego.

– Ale co to jest? Nie wzięłam okularów, a bez nich ślepa jestem.

– Zobacz sobie. Możesz zabrać do domu, mam tu tego więcej, to nasza ulotka. Do poprawienia, dopiero dostarczono, akurat spadła jak z nieba! W skrócie: miasto wraz ze sponsorami organizują obóz sportowy dla młodzieży. W zasadzie prawie całkowicie je finansują, trzeba tylko dołożyć jakąś niewielką kwotę. Naprawdę symboliczną. Dla młodych sportowców z osiągnięciami. A twój ma osiągnięcia, przecież wiem. Dobrze się temu nie przyglądałam, nie mam dzieci, ale pamiętam, że była tam mowa o obozach sportowych i tych... no... obozach przetrwania. Modne ostatnio. Kasę na to wykłada biuro do spraw sportu, wspomagane przez różne firmy, między innymi tych od jogurtów i serków, nasze browary, no i ktoś tam jeszcze. Coś od odzieży sportowej, zdaje się. Warto się zainteresować! Może wyślij swojego beniaminka na taki obóz przetrwania? – Roześmiała się.

– No już! – Ewa jej zawtórowała. – Jemu to niepotrzebne, on i tak wszystko przetrwa, taki charakter, nie wiem, w kogo się wdał. Ale ten obóz dla młodych sportowców... kuszące!

– No pewnie, nie zastanawiaj się, korzystaj. Bądź dobrą matką.

– Staram się. Dzięki, Daga. Jesteś niezawodna. – Dopiła kawę. – Polecę już. Mam się jeszcze z kimś spotkać, a dopiero zauważyłam godzinę...

– Spotkać? Nooo, kochana... Na randki biegasz, kiedy mąż w robocie? – Oczy szefowej zabłyśły.

– A idź, głupia. To spotkanie... rodzinne.

– Okej, przecież nie dopytuję! I tak w końcu mi wszystko opowiesz. Powodzenia.

Gdy tylko wyszła z biura, ponownie sięgnęła po telefon. Jacek nie dzwonił, choć tak się umawiali. Telefonowała już wcześniej sama, ale nie odbierał. Wybrała numer. Wolny sygnał, potem poczta głosowa. Postanowiła nie przejmować się tym, tylko od razu jechać na Jaśkową. Pewnie siedzi w piwnicy i zapomniał zabrać komórki – domyślała się. Nie miała daleko: agencja mieściła się przy Słowackiego we Wrzeszczu. Do przystanku miała parę minut. Aparat rozśpiewał się, gdy akurat podjechał tramwaj. Kasując bilet, zerknęła na wyświetlacz. No wreszcie: Kotwicki!

– No cześć, jestem w tramwaju – powiedziała szybko. – Jadę do ciebie. Dzwoniłam, ale...

– Słuchaj, nie wiem, czy to dobry pomysł. – Głos dziennikarza brzmiał dziwnie nerwowo.

– Może lepiej wracaj do domu? Właśnie... dostałem w łeb.

– Co?!

– Dostałem w łeb, schodząc do piwnicy. A wcześniej ktoś uszkodził oświetlenie na klatce schodowej, ciemno było jak w dupie, myślałem, że awaria, ale potem się okazało, że ktoś włamał się do skrzynki i wyłączył korek. Najwyraźniej nie chciał być widoczny. Chwilę leżałem nieprzytomny, aż mnie jakaś starsza pani poratowała. Nie wiem, może to przypadek, jakis młodociany złodziejasek, ale...

– Byłeś na pogotowiu? Na policji?

– Na pogotowiu? Daj spokój, guza mam tylko, nic mi nie jest. Do glin dzwoniłem. Od razu mnie sobie skojarzyli, w związku ze sprawą Roberta. Mówiłem ci, że wtedy też u nich byłem.

– No i co? – Znalazła wolne miejsce i usiadła.

– No i wyraźnie mają mnie za wariata z manią prześladowczą. Pytali, czy coś zginęło. I co tam robiłem. Powiedziałem, że pomagam wam w remoncie, pewnie będą się jeszcze z tobą kontaktować, bo to ty musisz złożyć skargę. Co tam mieliście?

– Nic, stare gazety, książki, jakieś przetwory jeszcze z czasów babci...

– Żadnych rowerów, takich rzeczy?

– Nie.

– No właśnie. Powiedzieli, że mogą przyjechać zabezpieczyć ślady, ale nadziei nie robią. Mówią, że mnóstwo jest włamań do piwnic, rzadko kiedy udaje się złapać złodzieja, a że przy okazji oberwałem... no cóż. Widocznie znalazłem się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu. Normalka. W piwnicy ktoś buszował, i to w pośpiechu, wszystko porozwalane po całej podłodze. Próbuję to jakoś uporządkować, mam nadzieję, że już mnie nikt nie stuknie. Ale nawet jeśli zginęły jakieś papiery, to i tak nie dojdziemy...

– Nikogo nie widziałeś?

– Tylko ciemność.

– Jadę! Siedz tam, zamknij drzwi i nie ruszaj się stamtąd!

Policjanci rzeczywiście przyjechali, i to nawet dość szybko – widocznie ktoś tam wpadł na to, że mają do czynienia z prasą, a tej lepiej sobie nie lekceważyć. Uśmiechali się miło, a nawet jeśli z lekkim pobłażaniem, to i tak nie można się było do niczego przyczepić. Spisali protokół, obiecując, że odezwą się natychmiast, gdyby złoczyńca wpadł im w ręce. No i odjechali, pytając jeszcze grzecznie, czy poszkodowany na pewno nie potrzebuje pomocy medycznej. Ewa odpowiedziała równie grzecznie, że poszkodowanego osobiście zawiezie do lekarza – co zresztą, mimo oporu z jego strony, natychmiast uczyniła. Uraz został opatrzony, wstrząsu mózgu nie stwierdzono. Bandzior najwyraźniej walił w pośpiechu – o ile w ogóle był jakiś bandzior, bo jeden z policjantów niedwuznacznie sugerował, że być może Jacek w ciemnościach sam uderzył głową w nisko zawieszony gzyms nad drzwiami do piwnicy.

Zdegustowani wrócili na Jaśkową, by dokończyć porządkowanie pechowego składziku. Nie znaleźli żadnych ukrytych dokumentów, przewalowali za to całe zdarzenie od początku do końca i od końca do początku. Wreszcie – już późnym wieczorem – Jacek odwiózł Ewę do domu i wrócił do swego kota. Ewa długo wahała się, czy opowiedzieć o wszystkim mężowi, w końcu jednak zdecydowała się milczeć.

Rozmawiali wyłącznie o obozie sportowym Kacpra.

VII DRUGA STRONA

Gnojki zaczynają sprawiać kłopoty. Węszyć, dociekać, niuchać. Nadzieja, że sprawa sama z siebie przyschnie, była raczej złudna. Nie wolno ryzykować, trzeba przeciwdziałać. Chcieliśmy ich uprzedzić, ale pechowo nie wyszło. Taki burdel mają w tej swojej zasranej piwnicy, że nawet moi ludzie się pogubili. Do tego nikt nie spodziewał się tam tego jebanego pedała. Nie o tej porze. Chłopaki spierdoliły obserwację, o robocie nie mówiąc. Debile. Oczywiście nie ujdzie im to na sucho. Ale to detal. Gnoja trzeba zneutralizować. Zabić? Następny fiut, który zginie w wypadku? Więc może raczej kupić...?

Każdego da się kupić.

Idiotka sama z siebie do niczego nie dojdzie. W razie czego wystarczy postraszyć. Szlag by to trafił, normalna pinda wystroiłaby się w te kurewską błyskotkę i brylowała w niej po salonach albo sprzedawała by to zasrane gówno w cholerę – w końcu cenne jest, jak dla takich gołodupców – a za kasę nakupowałyby sobie jakichś kiecek czy futer albo chałupę wyremontowała. Ale nie ta. Ta musi szperać. Cnotka parszywa. Nędzny wycieruch. Poradzę sobie z nią, nie ma sprawy, jest w końcu głupia jak gęś. Sprawię, że zesra się ze strachu. Wystarczy. Choć w marzeniach widzę już, jak kroję babsko na kawałki. Bardzo drobne kawałki. I rzucam psom na pożarcie. Lubię moje psy. Dobrze mi służą.

I zawsze są głodne.

Czuję, że zaczynają mi puszczać nerwy. Spokój, tylko spokój! Nie wolno wpadać w panikę. To niebezpieczne. Mam coś, o czym wszyscy razem oni nie mają zielonego pojęcia. Dopóki to mam, jest bezpiecznie. Chyba. Byle tylko ta kurwa nie spróbowała zrobić mnie drugi raz.

Ale do tego nie dopuszczę. Kurwę mam w garści.

Teraz tylko dwie sprawy: po pierwsze, gówniarz. I po drugie – nie pozwolić na to, by się za dużo dowiedzieli o przeszłości. Uda się. Musi się udać. Zawsze mi się udaje.

Udawało się przez kilkadziesiąt lat, to i teraz się uda.

Zrobię sobie jeszcze kawy. Czarnej jak odbył śmierci. Bo sama śmierć to za mało. Za dobrze ją znam – jest szara. Gównianie szara i gównianie powszednia. Nie ma w niej nic szlachetnego. Dobrze... Do tego koniaczek. Trzeba nakładać te maski, grać, trzymać fason, wyrabiać w sobie odpowiednie nawyki, choć mam ochotę na wódkę, piwo i tłuste mięso. Spoglądam w lustro. To ja. To ja, kurwa, rządzą! To ja dyktuję warunki. Tak było, jest i tak będzie.

Moje dziedzictwo.

Lubię rządzić. Wami lubię rządzić, ciemna maso. Lubię grać. Gra mnie podnieca. I to mi doskonale wychodzi. Wygrywam. Możecie mi skoczyć, pionki, barany, jełopy pierdolone...

Złość.

Czuję, jak narasta we mnie pieprzona, dzika, gotująca się złość. Furia. Niemal słyszę jej syk, jej bulgotanie. Paruje ze mnie. Jakby wrzała gdzieś głęboko, w środku mojej głowy. Muszę to zahamować. Wiem, że nie powinno tak być. Wiem, że ta złość może mnie kiedyś zgubić. Jeśli tylko stracę nad nią kontrolę. Ale taki wał! Niedoczekanie wasze. Nie stracę.

Tylko spokój.

Potrzebny mi tylko pieprzony spokój.

Panować nad emocjami.

Spokój.

Uśmiech. Szczęzę się do lustra, wszystkie zęby na wierzchu. Świeżo wstawione.

Imponujące. Po prostu piękne! Można się w nich przejrzeć. Białe i błyszczące jak u tych półgłówków z reklamy pasty do zębów i nitek dentystycznych.

Światła, dużo światła. Oklaski. Tłumy baranów mizdrzących się do lepszego świata.

Wielbiące. Pokorne. Czołobitne.

Tego chcę. A jeśli chcę – dostanę. Wszystko można kupić. Mieć. Posiadać. Tylko trzeba chcieć. I nieważne, ile trzeba zapłacić. Ani kto zapłaci. Zapłaci największy frajer.

Panuję nad sytuacją. Nie dam się wyruchać, taki wał, frajerzy.

Nie teraz, gdy...

VIII ŚLEDZTWO

– Muszę ci powiedzieć – wyjaśnił Jacek, gdy usiedli w samochodzie – że obcykałem już kilka źródeł jeszcze zanim się z tobą umówiłem. Wiesz, że nie potrafię znieść bezczynności, a to są rzeczy, które mogłem sam sprawdzić w necie. Zajrzałem więc do biblioteki cyfrowej i pobuszałem w starych gazetach. Przewertowałem chyba wszystko, co ukazywało się w przedwojennym Gdańsku po niemiecku i po polsku, w poszukiwaniu jakichkolwiek wzmianek o twoim przodku, albo raczej przodkach. Wiele nie znalazłem, ale moja cierpliwość wreszcie została nagrodzona! Mam dwie rzeczy: pierwsza to nawet dość obszerna wzmianka prasowa w „Theaterzeitung des Stadttheaters Danzig”, jeszcze z czasów Wolnego Miasta, dokładniej z końca lat trzydziestych, o balu dobroczynnym na rzecz Stadttheater, gdańskiego teatru, na którym twój prawdopodobnie dziad, popraw mnie, jeśli się mylę...

Ewa przerwała mu poruszona:

– Może być dziad! Sama przecież nie wiem. Serio, znalazłeś go...? Naprawdę istniał?!

– Istniał i w dodatku naprawdę był hrabią. Coś im tam scedował i był na tym balu fetowany wraz ze swą świeżo poślubioną małżonką. Jest nawet zdjęcie, niezbyt wyraźne, ale widać na nim, że oboje byli młodzi, postawni, elegancko odziani, zgodnie ze wszelkimi standardami mody lat trzydziestych, no i raczej przystojni...

– Chcę zobaczyć!

– Oczywiście, nawet zrobiłem ci wydruki, potem ci je dam, mam w plecaku. Ale to nie wszystko! Jeszcze coś ciekawego udało mi się wyszukać, ale już z czasów wojny, z czterdziestego trzeciego roku. W „Danziger Vorposten”, to była taka gadzinówka z oficjalną propagandą hitlerowską. Jest tam co prawda tylko bardzo lapidarna notka o powołaniu hrabiego von Neuheit do chlubnej i szaczonej służby wojskowej w obronie Rzeszy. Został przydzielony, oczywiście w stopniu oficerskim, do Luftwaffe i wylądował w ośrodku badawczym torped lotniczych w Gdyni – niemiecka nazwa Torpedowaffenplatz Hexengrund – w ówczesnym Babim Dole, czyli w dzisiejszych Babich Dołach, gdzie do teraz jest czynne lotnisko wojskowe. Może kojarzysz tę starą gdyńską torpedownię? Zachowała się do dziś...

– Kurczę. Kojarzę. Straszy na morzu, ruina taka, prawda?

– No, owszem, wygląda trochę upiornie. Ale czemu „kurczę”?

– Daj spokój – prychnęła. – Był hitlerowcem?

Kotwicki wzruszył ramionami i zapuścił silnik.

– A niby jaki miał wybór? Był Niemcem. Niemieckim arystokratą – odparł beznamiętnie.

Ewa nic na to nie odpowiedziała. Milcząc, spoglądała za okno, przetrawiając uzyskane informacje.

– I to wszystko, co znalazłeś? – zapytała w końcu.

– No. W zasadzie tak. Zobaczymy teraz, co mają w archiwum. Pozwoliłem sobie wczoraj uprzedzić znajomą, czeka na nas. Dlatego jedziemy już po zamknięciu. Obiecała wyszukać, co się da. Inaczej stracilibyśmy tam wiele godzin.

– Jesteś niemożliwy! – Zaśmiała się. – I co, coś znalazła?

– Tego nie wiem. Potem się już nie kontaktowałem, potwierdziła tylko esemesem, że aktualne i że czeka. Za chwilę się przekonamy...

Archiwum Państwowe w Gdańsku mieści się w obszernym gmachu przy ulicy Wałowej, w pobliżu stoczni, i może się poszczycić bogatymi tradycjami. Jego historia sięga początków dwudziestego wieku: rozpoczęło działalność dokładnie pierwszego kwietnia 1901 roku i w zmiennych kolejach losu przetrwało do dziś – i to w tym samym budynku, choć odbudowanym (i niestety częściowo zeszpeconym) po wojnie. Oryginalny spłonął wraz z ogromną częścią pozostawionych w nim akt. Pod koniec 1944 roku władze gdańskiego archiwum podjęły wprawdzie akcję zabezpieczania najcenniejszych zbiorów przed zbliżającym się od wschodu frontem, udało się jednak ocalić tylko ich część. Te, które zostały wywiezione oraz zabezpieczone poza Gdańskiem, w większości przetrwały. Reszta poszła z dymem, dosłownie i w przenośni.

W środku było cicho i idealnie czysto. Pachniało... historią. Przynajmniej Ewa w ten sposób to odczuwała. Poruszała się więc onieśmielona, w nabożnym skupieniu – jak w świątyni. Kotwicki sprawiał wrażenie o wiele bardziej pewnego siebie. Oczekująca na nich elegancko ubrana kobieta w nieokreślonym wieku, z gładko zaczesanymi siwymi włosami – sprawiająca wrażenie osoby bardzo kompetentnej – wprowadziła ich do niewielkiego biura.

– Może tutaj się rozgościmy, usiądźcie państwo. Zanim przejdziemy do rzeczy... napijecie się kawy, herbaty? – zaproponowała.

Oboje podziękowali, woleli jak najszybciej zapoznać się z wynikami poszukiwań. Urzędniczka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Widzę, że się niecierpliwicie, więc od razu przejdę do meritum. Pana Jacka znam od lat, bardzo cenię, więc wierzcie mi państwo, zrobiłam co mogłam, by trafić na poszukiwane przez was nazwisko. Niestety, archiwalia z tamtej epoki są niekompletne, część spaliła się pod koniec wojny, a część została zniszczona lub wywieziona. Owszem, mamy tu zasoby pochodzące z dawnych archiwów kościelnych, szczególnie z kościołów ewangelickich, bo o takich w tym przypadku zapewne mowa, jednak niestety okazało się, że tych dokumentów akurat nie posiadamy. Tak więc żadnych metryk ani innych aktów notarialnych nie byłam w stanie znaleźć...

– Nic kompletnie? – wyrwało się Ewie.

Widząc rozczarowanie na jej twarzy, kobieta zwróciła się wprost do niej z uśmiechem:

– Nie, to nie znaczy, że nic. Na coś się jednak natknęłam. Wprawdzie tylko na trzy dokumenty, za to wiele mówiące. Jeden bardzo stary, i ten zostawimy sobie na koniec. A teraz dwa dalsze. Oba to zapisy z księgi wieczystej. Pierwszy pochodzi jeszcze z końca dziewiętnastego wieku i zawiera wpis do hipoteki nieruchomości majątku Neuheit na nazwisko Eric von Neuheit hrabia. Drugi to akt dzierżawy, pochodzący z czasów drugiej wojny, z roku czterdziestego pierwszego. Maximilian von Neuheit, hrabia, oddaje w dzierżawę działkę o powierzchni dwa tysiące metrów kwadratowych na rzecz... i tu niestety nieczytelne nazwisko... Volck? Kolck? Trudno coś odcyfrować. Dokument musiał zamoknąć, atrament się rozmazał. W każdym razie aktu dokonano pod budowę banku rolnego w miejscowości Neuheit pod Gdańskiem. A na koniec jeszcze gratka: potwierdzenie otrzymania dziedzicznego tytułu grafa, czyli hrabiowskiego, nadanego przez króla pruskiego Fryderyka w 1786 dla ówczesnego właściciela majątku Neuheit. Bardzo proszę, zrobiłam dla państwa po dwie kopie każdego z tych dokumentów. – Podała obojgu wydruki w foliowych koszulkach. – Oczywiście są w języku niemieckim.

Ewa poczuła, jak coś w rodzaju wzruszenia podchodzi jej do gardła. Namacalny dowód istnienia hipotetycznego do tej pory przodka! O ile oczywiście babka nie poniosła fantazja w kwestii pokrewieństwa – dodała szybko w myślach. W każdym razie... naprawdę istniał! Nie

był tylko wytworem szalonego umysłu. Prawdę mówiąc, do tej pory powątpiewała. A teraz prawie że doścignęła jego ducha. Niemal go przyłapała. Wciąż jeszcze się wymykał, lecz pomalą zaczynał materializować się w jej umyśle.

– Czy moglibyśmy... zobaczyć oryginały? – odważyła się zapytać.

– Niestety. – Kobieta bezradnie rozłożyła ręce. – Materiały archiwalne wytworzone przed czterdziestym piątym rokiem udostępniamy jedynie w postaci mikrofilmów i skanów. Ale kopie są bardzo dobre. Proszę zerknąć, wszystko pani odczyta.

– Trudno. Dziękuję. Rzeczywiście czytelne. – Rozpromieniła się, wyjmując wydruki. – Jak prawdziwe... To znaczy, przepraszam, chciałam powiedzieć... Dziwne uczucie – dokończyła zakłopotana.

– Jeśli mogę w czymś jeszcze pomóc, to jestem do dyspozycji.

– Chyba wszystko już pani dla nas zrobiła, pani Jadziu – wtrącił się Kotwicki. – Nie wiem, jak wyrazić swoją wdzięczność...

– Panie Jacku, wszystko dla wiedzy! – Urzędniczka roześmiała się perliście. – Pan wie, że ja mam stary dług wdzięczności wobec pana Roberta. Pomógł mi podczas mojej własnej pracy badawczej, dawno temu, ale była to ważna pomoc. A ciekawe, bo on tuż przed swą śmiercią pytał mnie o to samo. Wiedzieliście o tym?

– Robert Przepłacki?

– Owszem.

– Domyślaliśmy się, zajmował się tą samą sprawą. Cóż, pani Jadziu, bardzo dziękujemy.

Będziemy się zbierać.

– Odprowadzę państwa, bo już wszystko pozamykane.

Podnieśli się.

– Jak stare macie tu dokumenty? – zapytała jeszcze Ewa.

– Najstarszy dokument w naszym archiwum to akt lokacyjny wydany przez księcia pomorskiego Sambora dla klasztoru cystersów w Oliwie z 1178 roku – wyjaśniła urzędniczka, prowadząc ich do wyjścia. – A dalej... wiele by wymieniać. Pozostało nam trochę cennych zasobów. Wśród najcenniejszych dokumentów można wyróżnić akty i nadania książąt pomorskich oraz królów polskich: Władysława Łokietka, Władysława Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta III Wazy, Władysława IV, Jana III Sobieskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego. A także komturów oraz wielkich mistrzów krzyżackich, między innymi Winrycha von Kniprode i Henryka von Plauen. Z pieczęciami i autografami. Jak również cesarza Napoleona Bonaparte. To już z późniejszego okresu, prawie młode! – Zaśmiała się. – Ale też przecież niezwykle cenne.

– Jestem pod wrażeniem. – Ewa westchnęła. – Nie miałam pojęcia, że takie rzeczy mamy w Gdańsku...

– Mamy ich znacznie więcej, choć pewnie najbardziej interesujące są one dla historyków. Obecnie zasób naszego archiwum liczy sobie około dwanaście tysięcy czterysta pięć metrów bieżących dokumentacji, na co składają się milion osiemdziesiąt tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt trzy jednostki archiwalne. Nie wiem, jak wiele to państwu mówi... –

Uśmiechnęła się z dumą i dodała: – Ale i tak brzmi imponująco, prawda? Nawet dla mnie, choć pracuję tu już od blisko czterdziestu lat, te stare papiery to całe moje życie. Cyfry powyższe mają zresztą tendencję wzrostową, ponieważ corocznie z różnych instytucji z Gdańska oraz z terenu całego regionu przejmowane są wciąż nowe archiwalia.

– Naprawdę imponujące. Zazdroszczę pani.

– A pani nie lubi swojej pracy?

– Bardzo lubię. Jestem graficzką.

– Więc nie ma czego zazdrościć. Trzeba kochać to, co się robi.

Dotarli już do drzwi. Pożegnali się uprzejmie, lecz pani Jadzia zatrzymała ich jeszcze w progu:

– Zapomniałam! Archiwum Państwowe w Gdańsku w ramach akcji „Archiwa Rodzinne” uruchamia właśnie bezpłatny punkt konsultacyjny dla wszystkich zainteresowanych genealogią oraz historią własnej rodziny. Będziemy udzielać porad, jak zadbać o dokumenty, jak je konserwować, porządkować. Może to panią zainteresuje?

– Z pewnością pomyślę – obiecała Ewa.

– Serdecznie zapraszamy.

– Jedziemy na Jaśkową? – zapytał Jacek przy samochodzie.

– Wiesz, nie. Jak chcesz, to jedź, a mnie wysadź gdzieś w centrum Wrzeszcza, blisko jakiegoś przystanku tramwajowego. Chcę z tym podjechać do matki. Powinna to sama zobaczyć...

Skinął głową.

– Masz rację. I wypytaj ją o te książki! A ja podjadę, trzeba wymienić wreszcie ten zamek, umówię się ze ślusarzem. Jak włamali się do piwnicy, to mogą spróbować i do mieszkania.

– No to niech się włamują. – Wzruszyła ramionami. – Nie obłowią się. Przecież tam nic nie ma.

– Niby racja, ale to nic przyjemnego. Poza tym zamierzamy przecież trzymać tam nasze notatki i inne rzeczy związane ze śledztwem. A wymiana zamka na solidniejszy to w końcu drobiazg, zajmę się tym. Czeka, schowaj od razu te wydruki z gazet, masz tam przecież zdjęcie! Pokażesz od razu matce. To co, jedziemy?

* * *

Ewa obejrzała wydrukowane zdjęcie jeszcze w samochodzie. Młody smukły blondyn we fraku niewątpliwie był przystojny. Ale nie to spowodowało piknięcie w jej sercu. Twarz – na starej fotografii gazetowej niezbyt wysokiej jakości, a dodatkowo na wydruku z drukarki laserowej – nie była wprawdzie zbyt wyraźna, jednak sylwetka, postawa, uśmiech, zarys czaszki... to wszystko wydawało jej się znajome. Stojąca obok drobna kobieta, z dłonią opartą na poręczy schodów, na których oboje zostali ustawieni do zdjęcia, w obcisłej sukni z szarfą i dużym kapeluszu, spod którego można była dojrzeć raczej ciemne włosy – także sprawiała ujmujące wrażenie. Choć on się swobodnie uśmiechał do obiektywu, ona pozostawała poważna, dumna, a może po prostu powściągliwa. Oboje stanowili piękną parę. Ludzie z klasą i zadowoleni z siebie. Sympatyczni, mimo wysokiego statusu społecznego.

– I ja mam być niby córką tego nazisty? – usłyszała pytanie Haliny, wypowiedziane ni to z oburzeniem, ni z niedowierzaniem.

Zanim zdążyła pomyśleć, wyrwało jej się:

– Jesteś do niego podobna jak dwie krople wody.

Matka przyjrzała się jej z politowaniem.

– Przecież go prawie nie widać – skonstatowała.

– Widać dość. Ty sama siebie nie widzisz, człowiek nigdy nie wie, jak wygląda. Ale ja to widzę.

Halina zaśmiała się pod nosem, lecz ten dźwięk bardziej przypominał zakłopotane kaszłnięcie niż szczerzy śmiech. Obie zapaliły papierosa. Starsza jeszcze raz sięgnęła po wydruk, przyjrzała mu się uważnie, po czym wzruszyła ramionami.

– Niemiec jak Niemiec. Typowo aryjski typ. Nie wiem, gdzie ty tu widzisz jakieś rodzinne podobieństwo. Nawiasem mówiąc, jesteś podobna do mnie. A ja jakoś nie dostrzegam, żebyś była podobna do tego szkopa.

– Bo nie chcesz dostrzec. Poza tym ja jestem tylko trochę do ciebie podobna. Nie aż tak bardzo. Nie zamierzam ci schlebiać, ale jesteś o wiele atrakcyjniejsza ode mnie. We mnie nie ma tej klasy. Miałam przecież ojca degenerata...

Teraz matka roześmiała się w głos.

– Klasy! Też coś. Klasę należy w sobie wypracować. No dobrze, skończmy już ten temat, choć nadal uważam, że brniesz w jakieś mity. Ale niech ci będzie. Kawy? Może koniaczku? – zapytała.

Ewa zawahała się, wreszcie pokiwała głową.

– Kawy z koniaczkiem. Jestem bez samochodu, mogę sobie pozwolić.

Po chwili siedziały już nad parującymi filiżankami. Halina wzięła do ręki pozostałe skany.

– Nie bardzo rozumiem po niemiecku, ale podpisy widzę. Czyli nie uganasz się już za cieniem? – zauważyła sarkastycznie.

Córka nie odpowiedziała.

– A to cóż?

– Potwierdzenie nadania tytułu szlacheckiego. Z osiemnastego wieku.

– No, no. Myślisz, że powinnam ubiegać się o ten tytuł? – Zachichotała złośliwie. – A może ty? W końcu też jesteś z linii prostej...

– Halina, na litość boską! – uniosła się Ewa. – Przestań mnie denerwować! Naprawdę cię to nie interesuje?! Wszystko masz w nosie? Nagle dowiadujesz się, że jesteś kimś zupełnie innym, niż przez całe życie sądziłaś, i masz to gdzieś?!

– A ty nie masz?

– Nie! Nie mam.

– No i dobrze. – Matka pokiwała głową. – Więc szukaj. Tylko przestań się narażać. Bo z tego, co opowiedziałaś, wynika, że komuś depczecie po piętach. Nie mam pojęcia, co to za historia, ale w dzieciństwie i młodości najadłam się już dość strachu. Teraz chcę dożyć swoich dni w spokoju.

– Ty nas wszystkich przeżyjesz – odcięła się córka.

– Obyś nie wypowiedziała tego w złą godzinę. – Halina spoważniała. – Ale, jak widzisz, w tej chwili martwię się bardziej o ciebie niż o siebie.

– Nie musisz.

Ewa obserwowała, jak matka zrezygnowanym gestem odkłada na stół wydruki. Czuła się rozczarowana. Sądziła, że tym razem zdoła poruszyć coś w matce. Jakieś autentyczne emocje. Jakieś wzruszenia. Zedrzyć z niej tę maskę cynizmu i obojętności.

Nie udało się.

– Jeszcze koniaczku? – usłyszała.

– Nie, dzięki. Przejrzałaś już te książki, tak jak cię prosiłam?

– Ze sto razy. Nic w nich nie ma. Chodź, sama zobaczysz. W końcu nie ma ich aż tak dużo.

Przeszły do mniejszego pokoju, gdzie matka miała swoją biblioteczkę. Stare książki stały na jednej półce.

– Obejrzyj je, wszystkie są tutaj. – Halina wskazała gestem. – Mówię ci, że nic w nich nie ma.

Ewa starannie przejrzała po kolei każdą z nich. Zwykle zacytane tomy. Pożółkłe kartki, wyblakłe notatki ołówkiem na marginesach, szczególnie w podręcznikach akademickich, dawno przez nikogo nieużywanych. Pismo matki, normalne dopiski pilnej studentki. Od czasu do czasu zakreślone fragmenty tekstu. Żadnych zgrubień na okładkach czy pod obwolutami. Ani też na grzbietach – co sugerował Kotwicki.

– Jesteś pewna, że to są wszystkie? – zapytała z rezygnacją.

– Wszystkie, jakie stamtąd zabrałam. Chyba że coś przepadło gdzieś, kiedyś, po drodze.

W życiu tak bywa. W końcu czasem pożyczają się książki. Myślisz, że wszystko pamiętam? A może każesz mi teraz biegać po dawnych znajomych sprzed pięćdziesięciu lat i przekopywać ich półki? Mam szukać też ich dzieci? Wnuków? A może i na cmentarz zajść i wyciągać ludzi z trumien?

– Przestań!

– Zrobię jeszcze kawy.

Ewa się zamyśliła.

– Mamo... Halina... Czy zostały jakieś zdjęcia babci z młodości? Bo w jej mieszkaniu nie natknęłam się na żadne rodzinne albumy, z wyjątkiem tych dwóch fotografii dziadka wiszących na ścianie. Babci nie ma. Nie ma nawet ślubnego zdjęcia.

– Bo nie było takich. Moja matka nie przechowywała zdjęć, to były ciężkie czasy. Za jej wczesnej młodości kto by tam fotografował zasmarkane dzieci biednych rybaków! Chyba że jakiś etnograf... Pierwsze zdjęcia, jakie w ogóle miała, to z czasów małżeństwa. Jedyne albumy, jakie posiadali, zabrałam. Jest tam nawet ich ślubna fotografia, choć bez welonów i wianków. Nie zapominaj, że twój dziadek, a mój przyszywany ojciec, był zatwardziałym komunistą. Po jego

śmierci też prawie się nie fotografowała. Nie lubiła tego. Czekał, przyniosę te zdjęcia...

Album był stary, oprawiony w bordową skórę, do połowy wypełniony, a zdjęcia wyblakłe, szare, umieszczone w staroświeckich fotonaróżnikach. Najwięcej ujęć małej, a następnie nastoletniej Haliny. Zawsze była śliczna – pomyślała Ewa. Dziecko z bajki. Jak elf, który przypadkiem zszedł pomiędzy zwykłych śmiertelników.

Dziadka rozpoznała od razu, znała go już ze ściennych portretów: krępy i łysiejący, pomimo stosunkowo jeszcze młodego wieku. Zuchwałe spojrzenie, ciemny wąsik. Za to wciąż nie mogła się nadziwić, że nigdy dotąd nie oglądała zdjęć babki z czasów jej młodości. Że nigdy do tej pory nie przyszło jej to do głowy! Teraz ujrzała dość pulchną młodą osobę z jasnymi włosami upiętymi w koronę. Dołeczek w brodzie, pyzate policzki, wielkie, łagodne oczy. Lekko zadarty nos. Bardzo kobieca. Kojący uśmiech, trochę smutny, jakby zrezygnowany. I ukryta w nim życiowa mądrość. Musiała wiele przejść. Było w niej coś wzruszającego: zarazem bezradność... i siła.

– Była ładna – powiedziała na głos.

Halina pokiwała głową.

– Na swój sposób – dodała.

– Nie na swój sposób. Po prostu była ładna, miała coś w sobie.

– Każdy ma coś w sobie. A czego się spodziewałaś? Znów coś ci przyszło do głowy?

– Nie, nic. Chciałam po prostu zobaczyć, porównać, nie wiem... chciałam tylko zobaczyć babcię. I tyle.

– Sentymenty się obudziły? – zakpiła matka.

Ewa podniosła się i przeciągnęła, sięgając po torebkę.

– Tak. Coś, czego ty pewnie nigdy nie zrozumiesz – odparła.

Nie zdążyła jeszcze dojść do przystanku, gdy Halina zadzwoniła na jej komórkę.

Odebrała zniecierpliwiona:

– Tak? Nie masz jeszcze dość swoich żarcików?

– Przepraszam. Nie chciałam cię urazić – usłyszała w odpowiedzi. Głos matki nie był skruszony, lecz wyraźnie ugodowy. – Zapomniałam ci tylko powiedzieć, że zrobiłam przelew na wakacje Kacpra. Pięćset złotych, więcej nie dam rady. Tylko nie myśl, że to przekupstwo! Naprawdę zapomniałam. Wyślijcie go na ten wymarzony obóz...

– Dzięki, to dla nas naprawdę dużo. – Zmiękła, poczuła się głupio. – W sam raz się przyda. Oczywiście, że go wyślemy. Mam już nawet jeden wypatrzony, wypełniłam formularz, czekamy tylko na potwierdzenie. Młody cieszy się na to jak na lato!

– A ja się cieszę, że choć tak mogę was wesprzeć.

– Halina... zaczekaj jeszcze... Czemu zakładasz, że twój... no... że nasz przodek był nazistą?

– Sama mówiłaś, że służył w Luftwaffe.

– A miał jakiś wybór? Przecież doskonale wiesz, że nikogo nie pytali wtedy o zdanie! Był Niemcem. Niemieckim obywatelem, arystokratą w dodatku – powtórzyła bezwiednie niemal dosłownie to, co powiedział jej Kotwicki. – Oficerem. Trwała wojna, obowiązywała powszechna mobilizacja. Pamiętam, jak się oburzałaś o „dziadka z Wehrmachtu”, że politycy wykorzystywali taki argument...

Przerwała, czując, że w idiotyczny sposób wałkuje temat. Za chwilę nadjedzie tramwaj, nie będą się przecież wyklócać w tłumie pasażerów. Niepotrzebnie prowokuje matkę.

Halina jednak odpowiedziała spokojnie, jakby z namysłem:

– W zasadzie masz rację. Co mnie to w sumie obchodzi? Mam swoje życie, nie

odpowiadam za nikogo, zwłaszcza za przodków, o ile to w ogóle prawda, a nie jakieś kosmiczne nieporozumienie. Ale jednak... trochę dziwnie się z tym czuję, wiesz? Domniemany tatuś w Luftwaffe, ojczym w partii komunistycznej, po prostu wymarzone koligacje! – W słuchawce rozległ się jej szyderczy śmiech.

Ewa westchnęła.

– Nikt nie odpowiada za czasy, w jakich przyszło mu żyć. Co najwyżej za świństwa, które sam popełnił.

– Skąd wiesz, że nasz hrabia ich nie popełnił? – podchwyciła matka.

– Nie wiem. Ale zamierzam się dowiedzieć. Słuchaj, tramwaj przyjechał, kończę, bo dużo ludzi! Zdzwonimy się, pa!

Po powrocie do domu dowiedziała się od Andrzeja, że przysłała odpowiedź z biura organizatorów obozu. Kandydatura Kacpra została przyjęta, jak również dwóch jego kolegów z klubu. Chłopak nie posiada się więc ze szczęścia i już zaczął odliczać dni do wyjazdu.

– Jeszcze trzy tygodnie, szybko zleci – zauważyła z zadowoleniem. – Oby tylko zdał do następnej klasy! Matka właśnie przekazała pieniądze dla Małego: całe pięć stów.

– To w sam raz – ucieszył się Andrzej. – Musimy dopłacić trzysta, tłumaczą, że to na dodatkowe atrakcje, zwiedzanie, przewodników i takie tam. A dwieście dostanie na drobne wydatki. No i mam jeszcze niespodziankę: pod koniec czerwca dostanę dwa tygodnie urlopu. Akurat skończy się obóz Kacpra, więc zabiorę go po drodze i skoczmy razem w góry. Wiem, że ty nie możesz, więc nawet nie pytam...

Ewa zmierzwiła mu włosy.

– Raczej nie, ale jeszcze o tym pogadamy. Na razie i ja coś mam. Coś bardzo ciekawego! Zróbmy herbatę i zaraz ci wszystko opowiem. I pokażę. – Zamachała w powietrzu wydrukami. – Wreszcie mamy jakiś trop!

* * *

Podzielili się obowiązkami. Jacek zajął się poszukiwaniem kontaktów i informacji na terenie Niemiec: wypatrywał ludzi, którzy dawniej mieszkali w Wolnym Mieście Gdańsku i być może jeszcze coś z tamtych lat pamiętają, ewentualnie ich żyjących krewnych. Podjął się także korespondencji z przedstawicielami niemieckich organizacji kombatanckich. Czekał na odpowiedzi, przeszukiwał także źródła dostępne w Polsce, aby dotrzeć do nazwisk i miejscowości, które mogłyby naprowadzić ich na jakiś kolejny trop. Ewa otrzymała zadanie uporządkowania gromadzonej na bieżąco dokumentacji. Spędzała więc czas na zbieraniu, kopiowaniu i selekcjonowaniu materiałów uzyskanych od samego początku śledztwa, a więc poczynając od listu babki ukrytego w komodzie oraz fotografii naszyjnika, poprzez wycinki z gazet i kopie dokumentów z archiwum, na korespondencji i sporządzaniu notatek kończąc. Na bieżąco zapisywała także pomysły i czynności, które zaplanowali sobie na przyszłość. Założyła teczki, a część materiałów kopiowała i przechowywała w komputerze. Zdarzało się, że nocowała na Jaśkowej, bo było już zbyt późno na powrót do domu. Na szczęście Andrzej z Kacprem doskonale potrafili radzić sobie bez niej.

Rozdarta pomiędzy dochodzeniem i rodziną, błogosławiła Dagmarę za odciążenie od obowiązków zawodowych. Spotykały się tylko od czasu do czasu, prywatnie, na kawie „gorącej jak piekło i czarnej jak śmierć” – według słów przyjaciółki, która tylko taką piła. W przeciwieństwie do Ewy, akceptującej wstydliwie lurę z mlekiem, a nawet cappuccino, co Daga uważała za osobistą zniewagę.

Sporo czasu zajmowało jej też przygotowanie Kacpra do wyjazdu na obóz. Lista rzeczy do zabrania, bieganie po sklepach w poszukiwaniu brakujących części ekwipunku (bo organizatorzy mieli swoje wymagania, a Kacper swoje), załatwienie formalności... to wszystko zajmowało jej czas i szarpało nerwy. Nie dość, że kołomyja z zakończeniem roku szkolnego – na szczęście obyło się bez większych niespodzianek – to jeszcze to. Z poczuciem winy przyłapała się na tym, że marzy, by syn już wreszcie wyjechał. Jeszcze tylko tydzień, kilka dni. Spakowanie plecaka i przynajmniej z tej strony będzie spokój. Dzieciak w dobrych rękach, ona skupi się na swoich sprawach – wszyscy powinni być zadowoleni.

Tylko Andrzej ostatnio ją martwił. Owszem, włączał się w przygotowania do wyjazdu młodego, ale do żony odnosił się z dziwną rezerwą. Miał pretensje, że tyle czasu spędza poza domem z jakimś „obcym facetem”, jak się wyraził, i nie pomógł nawet fakt, że Ewa ich ze sobą zapoznała, zapraszając Jacka na kolację. Przeciwnie, mąż stał się jakby jeszcze bardziej drażliwy.

– Czy ty musisz się tak w to wszystko angażować? Przecież to Kotwicki jest dziennikarzem, nie ty! Nie myśl, że robi to dla nas. Chce po prostu mieć dobry reportaż! Więc niech się sam o to postara, do cholery! – wypalił któregoś wieczoru, gdy późno wróciła z Jaśkowej.

– Ale przecież to jest moja, nasza sprawa! – odparowała. – O co ci chodzi? To ja chcę się w to włączać, nikt mnie do tego nie zmusza! Jacek bardzo nam pomaga, ma w tym swój cel, rozumiem to doskonale, ale nie mam zamiaru tracić kontroli nad czymś, co mnie bezpośrednio dotyczy!

– Jakoś Robert Przeplacki radził sobie sam.

Ręce jej opadły. Czowała, że zaczyna kotłować się w niej niepohamowana złość, a wtedy stawała się nieobliczalna.

– Wolę nie przypominać ci, jak sobie poradził i jak to się dla niego skończyło – wycedziła ze świadomością, że przegina.

– No właśnie! I chcesz tak samo skończyć?

– A co, wolisz, żebym naraziła na to kolejnego niewinnego człowieka?!

– Bardzo się o niego martwisz...

Zamurowało ją.

– Przepraszam, czy ty jesteś zazdrosny?!

Andrzej skrzywił się, jednak lekko spuścił z tonu:

– No wiesz, wolę dmuchać na zimne. Całkiem przystojny ten twój Jacuś. Tyle że znacznie od ciebie młodszy... Muszę przyznać, że zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem.

– A co sobie niby wyobrażałeś, że chodzi wymalowany i na szpilkach? Puknij się! Twoje złośliwości są zbędne – dodała urażona. – Po pierwsze, tylko razem pracujemy. Nie latam na randki, jeśli to chciałeś powiedzieć. Po drugie, Jacek jest gejem. Mówiłam ci. Nie ukrywa tego. I dobrze o tym wiesz, szczególnie że był partnerem twojego przyjaciela Roberta!

Wzruszył ramionami.

– To o niczym nie świadczy. Podobno oni wszyscy najczęściej są bi.

– Bi?! Co ty masz na myśli?

– Biseksualni.

– Kretyn!

Skończyło się na tym, że wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami, a następnego dnia nie rozmawiali ze sobą do wieczora. Zwierzyła się Dagmarze, która uznała, że to fantastycznie – zazdrosny mąż po tylu latach małżeństwa, cudowna sprawa. Rzeczywiście, pomyślała Ewa. Cudowna...

– Poza tym Andrzej ma swoje racje. Skup się lepiej teraz na Kacprze, bo w końcu z gołym tyłkiem pojedzie – doradziła przyjaciółka. – Kupiłeś mu już ten dres? Bo widziałam we Wrzeszczu rewelacyjne...

– Zamówiłam przez Internet – odparła. – Sam sobie wybrał. Ma dojść na dniach.

– Zdąży?

– Zdąży, a jak nie, to coś znajdę.

Najgorzej było w przeddzień podróży. Nerwy zaczynały jej wysiadać. Dopiero po odwiezieniu Kacpra na miejsce zbiórki, gdy już uściskała syna i pomachała mu na pożegnanie, kiedy autokar już ruszył – poczuła, że zaczyna tęsknić. Ale zwymyślała się po cichu od głupich bab i znacznie spokojniejsza wróciła do domu. Musiała się wyspać. Miała za sobą nieprzespaną noc, a Andrzej był w pracy: teraz jej nikt nie przeszkodzi. Napiła się jeszcze herbaty i położyła na kanapie. Od razu zapadła w sen.

Obudził ją dzwonek telefonu. Ostry, wibrujący. Alarmujący. A przynajmniej taki jej się wydawał po nagłym wyrwaniu ze snu, gdy ogłupiała zastanawiała się, jaka to pora dnia.

– Tak, słucham...? – Przetarła oczy. Na wyświetlaczu dojrzała numer komórki Kotwickiego.

– Musimy się spotkać! To pilne!

– Teraz?

– Od razu! Zbieraj się, czekam na ciebie pod Manhattanem.

– Ale i tak miałam przyjechać na Jaśkową...

– Ewa, ruszaj się! Czekam!

Oprzytomniała.

– Coś się stało?

- Tak, coś się stało. Coś poważnego. Inaczej bym cię nie niepokoił. Będziesz zaraz?
- Już jadę.

* * *

Kotwicki czekał przed wejściem do Manhattanu, paląc papierosa. Od razu rzuciło się w oczy, że jest zdenerwowany. Nie tracili czasu na powitania, od razu weszli do kawiarni.

– Bez wstępów, w twojej kamienicy popełniono morderstwo. Została zabita kobieta, znaleziono ją rano.

– Ale... kto?! – wyjąkała Ewa, zbyt wstrząśnięta na to, by jasno formułować myśli.

– Kto zabił czy kto został zabity?

– Jedno i drugie!

– Kto zabił, tego nie wiadomo. A ofiarą jest jedna z twoich sąsiadek. Choć nie do końca, bo zdaje się, że to córka sąsiadki. Staruszka trafiła wczoraj do szpitala, a w jej mieszkaniu miała nocować córka. I to tę córkę znalazła martwą na klatce inna sąsiadka, kiedy szła do kościoła na szóstą. Z rozbitą głową. Więcej w zasadzie na razie nie wiem, sam się dowiedziałem dopiero w redakcji. Jest tam teraz mój kolega, to on się zajmuje doniesieniami kryminalnymi. W każdym razie z oświadczenia dla prasy wynika, że policja stawia na motyw rabunkowy. Prawdopodobnie kobieta usłyszała coś i wyszła – być może jeszcze w nocy – na klatkę. No i oberwała. Zginęła na miejscu.

– Boże... mogli tak samo ciebie... wtedy...

Jacek od razu jej przerwał:

– No właśnie, do tego zmierzam. Uważam, że to nie przypadek. Pewnie policja też to sobie skojarzy. Nie chcę cię straszyć, ale ta kobieta... mogła z wyglądu przypominać ciebie. W podobnym wieku, też blondynka, długie włosy. Na waszej klatce schodowej zawsze panuje półmrok. Napastnik mógł założyć, że to ty...

Wpatrywała się w niego wzrokiem bez wyrazu.

– Ale... dlaczego?! Po co ktoś miałby mnie zabijać?

– Nie wiem, może usiłowali włamać się do twojego mieszkania. Tak jak wcześniej do piwnicy. To dziwne, Ewa, ale wygląda na to, że komuś bardzo zależy, żebyśmy nie doszli do prawdy. Co mogło wydarzyć się w twojej rodzinie pod koniec wojny?! Co takiego, co do tej pory ma dla kogoś znaczenie...? Myślałaś o tym?

Pokręciła głową i upiła łyk kawy.

– Skąd mam wiedzieć...? To brzmi jak... to jakiś obłąd!

– Cudów nie ma. Najpierw Robert, potem to włamanie, teraz to... Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Ta kobieta, niezależnie od tego, czy została wzięta za ciebie, czy nie, najwyraźniej usłyszała coś i spłoszyła sprawców. Uderzyli ją czymś w głowę, a potem zrzucili ze schodów na podest pod wami. Mieszkanie jej matki znajdowało się niżej. Wszystko wskazuje na to, że szła na górę, tam została zaatakowana. Na waszym piętrze jest tylko to jedno mieszkanie. Co jest wyżej?

Ewa potarła dłonią skronie. Kręciło się jej w głowie.

– Dwa mieszkania – odparła. – Niezamieszkałe od lat. Nie ma tam czego kraść, stoją puste.

– No widzisz. Policja podejrzewa co prawda, że to o nie mogło chodzić bandytom.

O pustostany. Ale śledztwo dopiero się zaczyna. Myślę, że powinniśmy przygotować się na to, że oboje zostaniemy przesłuchani. Prawdopodobnie zresztą będą rozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami kamienicy, tak podejrzewam. I teraz pytanie: co im zdradzamy?

– Trzeba chyba powiedzieć prawdę.
– Tak, tylko już raz im powiedziałem. Wzięli mnie za wariata. Teraz też uważają, że to sprawka jakiejś szajki włamywaczy. I że ta kobieta zginęła przypadkiem. Nie potraktują nas poważnie.
– Trudno. Myślę, że nie możemy niczego ukrywać. Jeśli masz rację, to znaczy, że z jakiegoś szalonego powodu jesteśmy zagrożeni. Trzeba powiedzieć wszystko.
– Dobrze. Ty decydujesz. Zaczekamy na wezwanie i opowiemy wszystko. Może przy okazji wrócą do sprawy śmierci Roberta. Choć... nie wierzę w to. Swoją drogą, jeśli zamierzali włamać się do waszego mieszkania, to mieli pecha, że akurat zdążyliśmy wymienić zamki na antywłamaniowe. Drugi raz raczej nie spróbują. Jedna w tym korzyść, że przynajmniej teraz będzie bezpieczniej. Gliny się tam kręcą i jeszcze przez jakiś czas tak będzie.
Zamilkli, dopijając kawę. Ewa nawet nie czuła jej smaku. Raczej metaliczny zapach krwi.
– O co tu może chodzić? – odezwała się w końcu bezradnie.
– Gdybym to wiedział... – Dziennikarz wzruszył ramionami. – Przecież nie o ten medalion. Jest cenny, ale nie aż tak, żeby dla niego zabijać.
Ewa zgodziła się z nim:
– No właśnie. Jedziemy tam? – zmieniła temat.
– Nie. – Pokręcił głową. – Dziś nie i raczej jutro też nie. Za duże zamieszanie, lepiej się w to nie pchać. Tam jest teraz pełno glin, odgrodzili teren, wypytyują ludzi, zabezpieczają ślady. Oczekajmy parę dni.
– Ale przecież nie mamy się chyba czego obawiać? Nikogo nie zamordowaliśmy!
Spojrzał na nią spod oka i uśmiechnął się cynicznie.
– Jesteś pewna? Nie tego, że nikogo nie zamordowałaś, ale tego, że nie mamy się czego obawiać? Kiedy tylko połączą wszystkie fakty, gotowi są nas wziąć za pierwszych podejrzanych! Jesteśmy wmieszani po uszy.
– To co robimy?
Ponownie wzruszył ramionami.
– Robimy swoje. Szukamy. Tylko na razie nie pokazujemy się na Jaśkowej. Niech minie pierwsza gorączka.
– Cholera. – Podrapała się nerwowo w głowę. – Andrzej będzie wściekły...
Jacek przyjrzał się jej w zdumieniu.
– Zwariowałaś? O co ma być na ciebie wściekły?
– E... – Machnęła ręką. – Nie znasz go. Nieważne. Jestem skołowana, niewyspana, dziś wyprawiałam syna na obóz. A teraz jeszcze to. Chyba gadam od rzeczy.
– Nie przejmuj się teraz głupotami – uciał. – Raczej uważaj na siebie. Mówię poważnie. Nie chodź w ustronne miejsca, zamykaj się w domu na klucz, nie otwieraj obcym pod żadnym pretekstem. Zapomniałem ci jeszcze o czymś powiedzieć... No dobrze, jak szczerść to szczerść: raczej celowo nie powiedziałem, nie chciałem cię straszyć. Zlekceważyłem incydent, głupek ze mnie. Dwa dni temu dostałem na moją redakcyjną skrzynkę anonim. Z Hotmaila. Takie niby to kretyńskie pogrożki. Ale na sto procent związane z naszą sprawą. Mail brzmiał mniej więcej tak, zresztą bardzo inteligentnie! – parsknął. – „Nie bądź taki wścibski, pismaku, przestań wtykać nos w nie swoje sprawy, bo ci ten bursztyn dupą wyjdzie”.
– Matko...
– Brzmi nieźle, co? Dowcipny gość.
– I nie zgłosiłeś tego na policję?
– Ewa, przecież wiesz. Nie chciałem się więcej błąźnić, a to wszystko naprawdę jest skomplikowane. Ale zachowałem tego maila, w razie czego wspomnę o nim podczas

przesłuchania. I tak nie zidentyfikują nadawcy, takie rzeczy wysyła się zwykle z anonimowego konta, które zaraz potem się likwiduje. A jeśli był zapobiegliwy, to nawet z własnego komputera nie wysyłał, tylko z jakiejś kawiarenki internetowej. Szukaj wiatru w polu.

– Ale powiesz o tym?

– Glinom? Powiem.

Znów pokręciła głową.

– Porobiło się... – Westchnęła.

– Czym przyjechałaś? Tramwajem? Zaraz odwiozę cię do domu. Odpoczywaj. Odezwę się, jak tylko się czegoś dowiem.

– A ty? Co teraz?

– Nie bój się, ja nie rezygnuję! Nie po tym, co przydarzyło się Robertowi. Będę dalej siedział nad kontaktami z Niemcami. A ty... jeśli będziesz w stanie, wypytaj matkę o dom dziecka, z którego ją zaadoptowano. Może coś wie.

– Była niemowlakiem.

– Nie mówię, że coś pamięta, bo nie może pamiętać. Ale może przybrani rodzice coś jej powiedzieli. Zapytaj. Jak nie, to będziemy sprawdzali archiwa z powojennych sierocińców. Gdzieś przecież musi być nazwisko, jakieś dane o dziecku...

* * *

Od razu po powrocie do domu włączyła radio i otworzyła przeglądarkę internetową. Lokalna stacja radiowa podała dość obszerny komunikat:

Dzisiaj w godzinach rannych na klatce schodowej gdańskiej kamienicy znaleziono ciało około pięćdziesięcioletniej kobiety. Wstępne oględziny ciała denatki oraz ślady zebrane na miejscu zdarzenia wskazują, że mogło dojść do przestępstwa. Policja dopuszcza motyw rabunkowy, choć na tym etapie śledztwa brane są pod uwagę różne hipotezy. Ofiara pochodzi z Torunia, do Gdańska przyjechała, by zaopiekować się chorą matką. Osiemdziesięcioletnia matka denatki przebywa w szpitalu pod opieką lekarzy i krewnych. Ma zapewnioną pomoc psychologa. Pomocy psychologa wymaga również znajdująca się w stanie silnego szoku osoba, która jako pierwsza znalazła ciało.

Śledztwo policyjne jest w toku. Policja apeluje do świadków (z nagrania włącza się głos oficera policji):

Poszukujemy ewentualnych świadków zdarzenia. Jeśli ktoś w godzinach nocnych lub porannych zaobserwował w pobliżu miejsca zdarzenia, na ulicy Jaśkowa Dolina we Wrzeszczu, podejrzenie wyglądające osoby lub grupy, lub zauważył coś niepokojącego, nietypowego, prosimy o kontakt pod numerem alarmowym 112 lub...

Ściszyła radio. Zaraz się zacznie. W Internecie znalazła tę samą notkę, tylko krótszą. Wkrótce zapewne będą się rozpisywać szerzej. Nic nie budzi takich emocji jak zbrodnia – pomyślała. Chyba że polityka.

Jako pierwszy zadzwonił Andrzej:

– Ewka, żyjesz?!

– Już słyszałeś?

– Tak, przed chwilą! Chwała Bogu, że to nie ty! Zdenerwowałem się! Choć mowa była o kilka lat starszej kobiecie... No, ale to detal! Co tam się dzieje na tej Jaśkowej?!

– Nie krzycz tak. Jak mogłam to być ja, skoro to się wydarzyło w nocy albo o świcie?

Pomyśl. Byłam wtedy obok ciebie w łóżku!

– No tak, nie pomyślałem. Wiesz coś więcej?

– Nic poza tym, co mówili w radiu. Ktoś załatwił córkę sąsiadki, tej staruszki spod dwójki chyba.

– Zamordowano ją? Dlaczego? Może to wypadek?

– Nie wiem, podobno ktoś ją zabił. Nie wiem dlaczego. Może nakryła włamywaczy.

– Ale nie znowu do nas?

– Nie, nie. Jeśli to byli włamywacze, to nigdzie nie zdążyli się włamać. Prawdopodobnie ich spłoszyła.

– I zapłaciła za to życiem... Tragedia!

– No, tragedia...

– Jesteś w domu? Nie było cię tam na miejscu?

– Nie, tak, to znaczy... tak, jestem w domu.

– To dobrze, trzymaj się, skarbie, postaram się wrócić dziś wcześniej.

Ledwie zdążyła odłożyć aparat, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem na

wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Dagi.

- Ewa, co się dzieje? Podobno w radiu mówili...
- Tak, zgadza się, w naszej kamienicy znaleźli zwłoki. Nie moje.
- Uff... O mało zawału nie dostałam!
- Nie każdy oddycha z ulgą. Rodzina tej biednej kobiety pewnie cierpi.
- No tak, oczywiście...
- Od razu ci mówię, że nic więcej nie wiem. Sama dowiedziałam się przed chwilą z radia.
- To skąd wiesz, że na pewno chodzi o waszą kamienicę? – przytomnie zauważyła

Dagmara.

- Od jednej sąsiadki – skłamała. – Zadzwoiłam do niej i mi powiedziała.
- Okej. Najważniejsze, że tobie nic się nie stało, bo już się przestraszyłam. Kacper

wyjechał?

- Tak, dzisiaj.
- No, to teraz odpoczniesz. Zadzwoń, jakby co...
- Jasne. Daga, muszę kończyć, bo dzwoni stacjonarny!
- No to pa, kochana!
- Pa.

Wyłączyła komórkę i pobiegła do drugiego telefonu. To była Halina.

- No, czyli żyjesz – zaczęła bez wstępów.
- Żyję. Słyszałaś już, tak?
- Tak. Przeczytałam w Internecie, bo zadzwoniła znajoma, że podawali w radiu. Co tam

się wyprawia w tej kamienicy?

- Nie mam zielonego pojęcia. Podobno jacyś włamywacze, których ta kobieta spłoszyła.
- Ale czy to ma związek z nami?

– Nie, nie sądzę. To na pewno przypadek – pospieszyła z zapewnieniem. Dziwne, że nawet w takiej sytuacji pragnęła chronić matkę. Choć ona jest przecież twarda jak skała, o wiele twardsza od niej samej. – Straszne, ale nie widzę związku. W każdym razie do nas się nie włamali.

- Ciekawe. No nic, dobrze, że jesteś bezpieczna. Mały pojechał?
- Tak, dzisiaj.
- Mam nadzieję, że będzie się dobrze bawił.
- Na pewno. Halina... czy ty wiesz, z jakiego domu dziecka cię adoptowali?

Chwila milczenia.

- A co to znowu za zmiana tematu?
- Wiesz?

– Z jakiego bidula, chciałaś powiedzieć. W tamtych czasach nie było domów dziecka, były sierocińce. Nie wiem z jakiego. Nigdy o to nie pytałam, a rodzice o tym nie mówili. Na pewno z gdańskiego, nie mam pojęcia, czy był jeden, czy więcej.

– Cholera... szkoda.

– A po co ci ta informacja?

– Badamy wszelkie tropy. Może gdzieś pozostał jakiś ślad twojego istnienia... pod pierwotnym nazwiskiem.

- Nie wiem. Może.
- Trudno, spróbujemy inaczej.
- Może zachowały się jakieś spisy wychowanków? Archiwalia?
- Być może, będę to sprawdzać. Dzięki.
- Jeśli coś znajdziesz, to daj mi znać, dobrze?

– Zaczęło cię to interesować?
– Nie bardzo, ale nie lubię, kiedy coś, co mnie dotyczy, rozgrywa się za moimi plecami.
– Spokojnie. Będę w kontakcie. Przy okazji, ten dziennikarz, mój współpracownik, chciałby cię poznać. Mogłabym go kiedyś przyprowadzić?
– A po co?
– Żeby pogadać. Tak po prostu.
– Zobaczymy. – Halina się zawahała. – Ale uprzedź mnie w razie czego.
– Jasne. No to na razie. Pa, mamó... – Zawiesiła głos w oczekiwaniu na kubek zimnej wody, jednak Halina tym razem nie zareagowała. Może po prostu nie dosłyszała.
– Do usłyszenia – rzuciła tylko na pożegnanie, a po chwili dodała jeszcze: – Dbaj o siebie.

Na szczęście nikt już więcej nie zadzwonił. Mogła wreszcie coś zjeść i się wyspać. Choć jedno i drugie przyszło jej z trudem.

Mniej więcej po godzinie telefon domowy odezwał się jeszcze raz. Z wysiłkiem, zlorzeczając pod nosem, zwlokła się z kanapy i odebrała. Jednak jej poświęcenie okazało się daremne – nikt się nie odezwał. Cisza w słuchawce sprawiła, że wściekłość się w niej zagotowała. Rzuciła aparatem i położyła się ponownie, obiecując sobie więcej nie wstawać, choćby się paliło. Tym razem zasnęła niemal od razu.

Obudził ją dopiero Andrzej, kiedy wrócił z pracy.

* * *

Policja dała o sobie znać szybciej, niżby przypuszczali, bo już następnego dnia. Jeden telefon w południe, a praktycznie w chwilę potem – dzwonek do drzwi. Zjawiła się para funkcjonariuszy: starszy szpakowaty oficer w cywilu oraz znacznie młodsza policjantka w mundurze. Przedstawili się, wylegitymowali, a potem od razu uprzedzili, że to nie przesłuchanie, tylko zwykła rozmowa. Odzywał się wyłącznie mężczyzna, lekko nadpobudliwy niski facet z rozbieganymi oczami. Kobieta przysłuchiwała się w milczeniu.

– Zadamy pani tylko kilka rutynowych pytań – uprzedził policjant. – Przepytujemy wszystkich mieszkańców kamienicy przy Jaśkowej Dolinie, w której doszło do...

– Tak. Wiem – odparła. – Rozumiem. Może kawy?

– Nie, nie, dziękujemy, nie zajmujemy pani dużo czasu. Przejdźmy od razu do rzeczy.

Po czym rzeczywiście nastąpiło kilka bardzo rzeczowych pytań: czy tamtej nocy lub o poranku przebywała w kamienicy, gdzie w takim razie była, do kogo należy mieszkanie w wyżej wymienionej kamienicy, czy znała Mariolę Stępniewską lub jej matkę (Ewa domyśliła się, że chodzi o ofiarę, ponieważ kojarzyła nazwisko sąsiadki), jakie relacje łączą ją z poszkodowanym na terenie kamienicy dziennikarzem Jackiem Kotwickim, co takiego trzymała w piwnicy, w której niedawno doszło do włamania. Ewa odpowiedziała na zadane pytania. Po czym się zawahała.

– Panie... Przepraszam, zapomniałam, nigdy nie zapamiętuję stopni...

– Komisarzu.

– Panie komisarzu, jeśli można, chciałabym państwu coś opowiedzieć. Nie wiem, czy to ma związek, ale..

Policjant rzucił okiem na ścienny zegar.

– Jeśli może mieć związek ze sprawą, to bardzo proszę.

W miarę dokładnie, choć usiłując się streszczać – wyczuła zniecierpliwienie – opowiedziała wszystko, co wydarzyło się od momentu znalezienia w komodzie listu wraz z naszyjnikiem. Oficer słuchał, nie patrząc na nią, od czasu do czasu coś sobie tylko notował. Policjantka dalej milczała, w przeciwieństwie do kolegi wpatrując się w nią wzrokiem bez wyrazu.

– Taaak... – Mężczyzna westchnął, gdy skończyła opowiadać. – Bardzo ciekawa historia, jednak nie sądzimy, żeby wiązała się z naszą sprawą. Ale oczywiście odnotowaliśmy i będziemy ją mieć na uwadze, bo nigdy nie wiadomo, co wyjdzie w śledztwie. A teraz – podniósł się – pozwoli pani, że się pożegnamy. Dziękuję za pomoc.

Zdumiona Ewa również się podniosła.

– To już wszystko? – wyrwało jej się. – Nie muszę niczego podpisywać?

– W tej chwili nie. Pani osoba właściwie nie ma nic wspólnego ze zdarzeniem. Nie była pani obecna w rzeczonym czasie na miejscu zdarzenia, nie ma pani związków z osobami poszkodowanymi, nie było do pani włamania, z wyjątkiem tego do piwnicy, ale tę sprawę badamy odrębnie. Gdyby w śledztwie wypłynęło coś nowego, co miałoby związek z pani osobą, otrzyma pani wezwanie na komisariat w celu formalnego przesłuchania. Na razie to wszystko. Do widzenia.

W przedpokoju zawahał się i odwrócił.

– Jeśli można... ale to już poza dochodzeniem... gdzie trzyma pani ten...

– Medalion?

– Właśnie.

– W skrytce bankowej – skłamała, by nie wdawać się w dyskusję.

Skinął głową.

– To bardzo słusznie. Jeśli można coś pani doradzić... prywatnie, najzupełniej prywatnie.

Na co pani to prywatne śledztwo? Po co rozgrzebywać stare br... stare sprawy? Kusić los? Niech pani to lepiej zostawi, by na powrót pokryło się kurzem, i cieszy się własnym życiem. Taka moja rada. Szkoda czasu na babranie się w przeszłości.

Wpatrywał się w nią uważnie, z lekkim uśmiechem. Zamurowało ją.

– Ale przecież... to genealogia! Mnóstwo ludzi się nią zajmuje! Ta stara historia dotyczy mojej rodziny!

– Pod warunkiem, że pani babcia nie miała zbyt wybujałej wyobraźni. Może chciała dowartościować córkę. Albo siebie?

– Panie komisarzu... – Straciła cierpliwość. – Bardzo przepraszam, ale chyba zabrnęliśmy za daleko. Moja babka nie była mitomanką. To była prosta, uczciwa kobieta. Nie wymyślała sobie bajek.

– Okej, w porządku. Nie chciałem pani urazić. Pani opowieść zrobiła na mnie wrażenie. To tylko takie moje wnioski. Ale rozumie pani... czasem historia budzi demony. Nie warto wyciągać trupów z szafy.

– Trupów? – podchwyciła.

– No przecież oni już wszyscy od dawna są martwi! – Roześmiał się. – Minęło... ile? Prawie siedemdziesiąt lat. Szmata czasu.

– Więc nikomu już nie zaszkodzą. Komu mogą po tylu latach przeszkadzać moje badania?

– A tego to ja już nie wiem. Czasem i martwi potrafią zaszkodzić, proszę mi wierzyć. W grę wchodzi na przykład... cenna biżuteria, jak rozumiem. Proszę jej dobrze pilnować. Jeszcze raz dziękujemy – odparł, z powrotem zmieniając ton na urzędowy. – Do widzenia pani. Wyszli.

Ewa zamknęła drzwi i przez dłuższą chwilę stała oparta o nie, nadal nie mogąc wyjść ze zdumienia. Ta „rozmowa”, zwłaszcza ostatnia jej część, była dziwna. A może tylko jej tak się wydawało? Może jest przewrażliwiona?

W końcu ruszyła się, jeszcze w przedpokoju wystukując numer Kotwickiego. Odebrał po kilku sygnałach.

– Byli u mnie! – wykrzyknęła do słuchawki. – Policja!

– Serio? Bo u mnie też. Wyszli dosłownie przed chwilą. To raczej nie zbieg okoliczności. Nie chcieli, żebyśmy się porozumiewali. I co?

– Sama nie wiem. Dziwne to wszystko...

– Mogę się domyślać – odrzekł.

Okazało się, że w przypadku Jacka było podobnie. Do redakcji przyszło dwóch gliniarzy, ale tylko jeden wszedł na górę. Drugi czekał na dole – być może zabezpieczał tyły, a może po prostu nie chcieli robić zamieszania w miejscu pracy. Rozmowa odbyła się w sekretariacie redakcji, skąd bardzo grzecznie wyproszono na ten czas sekretarkę. Dla Jacka gliniarz także był grzeczny. Nawet bardzo. Zgodnie z zapowiedzią zajął mu tylko chwilę, zadał parę formalnych pytań – gdzie przebywał w danym czasie, co go łączy z Ewą Pawelską, skąd zna rodzinę Pawelskich i Kuców, co trzymano w piwnicy, czy potrafi stwierdzić, czy coś z niej zginęło po incydencie z włamaniem, czy spotykał się z mieszkańcami kamienicy, i w zasadzie to wszystko – po czym „rozmowa” została praktycznie zakończona.

- No ale... nie powiedziałaś mu?
- Nie było szans, od razu mnie przystopował, twierdząc, że to go nie interesuje. Do sprawy Roberta także nie zamierzają wracać, powiedział wyraźnie, że śledztwo jest zamknięte, to był zwykły wypadek, i w ogóle... same przypadki – prychnął sarkastycznie. – Mówiłem ci. Gapił się na mnie jak na wariata. Tak samo jak wcześniej.
- A mnie ten mój wyraźnie ostrzegał...
- I to jest niepokojące – uznał Kotwicki. – Bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że tak po prostu bezinteresownie udzielał ci porad.
- Ani mnie.
- No nic, takie są gliny, robią tylko to, co muszą, resztę mają w dupie. Najwyraźniej nie chcą sobie komplikować śledztwa. Olejmy to i róbmy swoje. Tylko faktycznie – ostrożniej. Bo że kogoś wkurwiamy, to na bank. Sorry za wyrażenie.
- Myślisz, że będą nas jeszcze wzywać?
- Wątpię. Zobaczymy. To co, spotykamy się jutro na Jaśkowej? Jesteś gotowa?
- Pewnie. Najgorzej tkwić w miejscu.
- To po południu? – zaproponował.
- Będę około czternastej. Przywiozę nasze teczki. Teraz chyba będą tam bezpieczne.

* * *

– No więc z mojej strony sytuacja wygląda tak – zaczął relację Kotwicki, gdy już zasiedli oboje przy kuchennym stole w swoim zaimprovizowanym biurze na Jaśkowej Dolinie. – W Niemczech żadna rodzina nie pozostała. Nie masz tam bezpośrednich krewnych. Znalazłem tylko parę osób, których rodzice czy dziadkowie pochodzą z Danzig, czyli z Gdańska, choć oni cały czas posługują się niemiecką nazwą. I część z tych osób mogliście kojarzyć z rodzinnych opowieści nazwisko von Neuheit. Że byli tacy, że mieli majątek. Ale nic więcej nie wiedzą. Jeden z tych dziadków mówił, że nawet jego ojciec z matką wiele razy zastanawiali się, co też mogło stać się z rodziną hrabiego i z nim samym. Byli przekonani, że wyemigrowali gdzieś, może poza Europę, stać ich było na to. Takie same dane otrzymałem od kombatantów: w Niemczech nigdy się nie pojawili, ale nie otrzymali też nigdy żadnych raportów o ich śmierci. Więc zapewne gdzieś żyją. Oczywiście nie oni sami, to już raczej niemożliwe, ale...

– No nie wiem, moja babcia umarła dopiero niedawno – wtrąciła Ewa.

– No tak, ale oni raczej byli starsi. Zobacz po tych zdjęciach w gazecie. Musieli mieć koło trzydziestki, teraz mieliby ponad sto lat. Mało prawdopodobne. Ale byli jeszcze dość młodzi, mogli spłodzić wiele dzieci...

Znowu mu przerwała:

– No właśnie, to absurd. Gdyby uciekli, jak inni Niemcy, dokądkolwiek, to przecież nie zostawiliby małej córeczki!

– Zaczekaj. Na razie zakładamy, że twoja matka nie jest ich córką. Tak jak oni to zakładają. Według oficjalnych źródeł Louise von Neuheit nie ma w Polsce, przynajmniej od końca wojny. A jak było naprawdę... Właśnie tego musimy się dowiedzieć. A mogło być przecież różnie. Może z jakiegoś powodu nie mogli zabrać ze sobą małego dziecka? Może ktoś im to dziecko odebrał? Nie mamy pojęcia, w jakich okolicznościach opuszczali Gdańsk.

– Jeśli go opuścili.

– Jeśli go opuścili. Oczywiście. Może zginęli w trakcie ucieczki, podczas transportu? Tak też się zdarzało. A dziecko ktoś mógł uratować, zabrać do sierocińca. A może faktycznie przeżyli i żyli sobie dalej gdzieś w Ameryce Łacińskiej, może pod zmienionym nazwiskiem, a po małą nie mogli już wrócić za żelazną kurtynę.

– Gdyby byli nazistami. Przynajmniej on – Skrzywiła się.

– Ewa, musimy wszystko brać pod uwagę. Jeśli chcesz dowiedzieć się prawdy...

– Wiem.

– No więc tyle mam z Niemiec. Będę oczywiście szukał dalej. Chcę jeszcze spróbować w archiwum policyjnym. Może nawet w IPN-ie.

Roześmiała się.

– No już widzę, jak policja otwiera przed tobą swoje archiwa!

– Śmieję się, śmieję – mruknął. – Tam też mam znajomego. Nie wiesz, że gryzpiórki mają swoje dojsčia? Spróbuję. Ale to trochę potrwa.

– Będziesz szukał poza Polską i Niemcami też? W Ameryce Łacińskiej?

Kotwicki zaciągnął się papierosem.

– Na razie aż tak daleko nie mierzę. To już raczej przekracza nasze możliwości.

Musiałbym być jakimś Bondem. Póki co skupmy się na tym, co realne.

– Żartowałam tylko...

– To nie żartuj. Powiedz lepiej, co ty masz? Rozmawiałaś z matką o tym domu dziecka?

– Tak. – Westchnęła. – Ale ona nic nie wie.

– No trudno. Za to przynajmniej ładnie opracowałaś teczki. Mówię serio, nie patrz tak! Ułatwi nam to robotę. Natomiast ja coś mam w temacie domu dziecka, choć nie posunie nas to naprzód. Poprosiłem jeszcze raz panią Jadzię o pomoc i uzyskałem listy sierot przebywających w placówkach opiekuńczych tuż po wojnie. Oczywiście nie wszystko się zachowało, część akt mogła się zagubić, różnie bywało. Ale w tych, które się zachowały, z całą pewnością nie ma dziecka o nazwisku Luiza von Neuheit.

– I o czym to świadczy? – Wzruszyła ramionami, dolewając sobie herbaty. – Dziecko mogło być przecież niezidentyfikowane. Mogli nie znać nazwiska. Albo celowo je pominąć.

– To prawda – zgodził się. – Ale to też jest jakaś informacja. Oficjalnie takie dziecko nie istniało.

– Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia.

– W zasadzie tak. – Wstał i podszedł do okna. – Gliny dalej się tu kręcą – zauważył.

– To dobrze. Sam mówiłeś, że jest bezpiecznie.

– I to podtrzymuję. Najciemniej pod latarnią! – Zachichotał.

Ewa zabrała się za przyrządzanie kanapek. Tak się tu żywili: kawa lub herbata, na zmianę, a do tego kanapki i ciasteczka.

Nie narzekali.

– Mam pomysł – odezwał się znowu Jacek. – Nazwisko von Neuheit pochodzi od nazwy majątku. Czyli miejscowości. Takie nazwy zazwyczaj zachowywano po wojnie, tylko spolszczano. Mówiłem ci, że znalazłem wieś o nazwie Nowina niedaleko Gdańska? Neuheit znaczy Nowiny, albo jakoś tak. Dawniej ta wioska nazywała się Nowinki, dopiero jak zrobili tam PGR i miejscowość się rozrosła, zmienili nazwę na poważniej brzmiącą Nowinę. I uważaj... PGR powstał w miejscu dawnego folwarku. To musi być ta sama miejscowość. Innej o tej nazwie na wybrzeżu nie ma. Musimy tam pojechać i popytać na miejscu. Może znajdzie się ktoś, kto pamięta albo coś słyszał.

Ewa postawiła na stół tacę z kanapkami.

– Ale tam już pewnie sami napływowi...

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto coś wie. Pojedziesz ze mną?

– To jasne, kapitanie. Co sobie myślałeś? A pojechałbyś ze mną... do tych Babich Dołów? Zobaczyć torpedownię, w której służył mój... kimkolwiek by nie był. Wiem, że to bez sensu, ale śni mi się po nocach. Chciałabym... no wiesz...

– Rozumiem. Jasne, że pojedziemy. Zrobimy sobie taką małą wycieczkę krajoznawczą, w końcu mamy już lato. – Uśmiechnął się. – Wakacje w pełni. Może nawet najpierw do tej torpedowni, bo do wizyty w Nowinie wolałbym się lepiej przygotować.

Wracała do domu tramwajem, już po zmierzchu, bo Kotwicki musiał wcześniej wyjechać, żeby zajrzeć jeszcze do redakcji. Gdy wysiadła na swoim przystanku, miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Albo obserwuje. Wyraźnie czuła na plecach czyjś wzrok. Obejrzała się raz i drugi, jednak nie zauważyła niczego niepokojącego: choć nie było jeszcze bardzo późno, ludzi na ulicy można było zaobserwować niewielu, każdy z nich spieszył najwyraźniej wprost do własnego kąta w tej wielkiej sypialni, jaką jest osiedle Zaspą. Nikt nie zachowywał się dziwnie czy podejrzanie. Uspokoiła się nieco, wymyślając sobie w duchu od chorych idiotek, lecz mimo to przyspieszyła kroku, by jak najprędzej dojść do swojej klatki schodowej, na której wreszcie poczuje się całkiem bezpiecznie. Zbliżała się już do bloku, gdy od sklepowego pawilonu oderwała się jakaś ciemna sylwetka, zmierzając w jej kierunku. Duży, łysy facet. Błysnął zębami, nie odrywając od niej

spojrzenia.

Znów przyspieszyła, zderzając się z drugim łysym, którego wcześniej nie zauważyła. Musiał czaić się gdzieś za rzędem samochodów na parkingu przed blokiem.

– Hola, hola, paniuuusiu... – Chwycił ją za ramię. Kątem oka dostrzegła, że ten pierwszy się zbliża. Wyrwała rękę i odepchnęła łysola z krzykiem:

– Odwal się! Puszczaj! Spiesz mi się!

– Spokojnie, paniusiu...

W tym samym momencie z najbliższej klatki wyszedł znany jej z widzenia mężczyzna z psem.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął, przytrzymując przy nodze warczącego groźnie wilczura. Obaj łysi faceci odeszli ostentacyjnie wolnym krokiem i po chwili zniknęli po drugiej stronie budynku.

– Zrobili coś pani? Okradli? – usłyszała pytania sąsiada.

– Nie, nie. Dziękuję, że pan zareagował. Zaczepili mnie tylko.

– Może zadzwonić na policję?

– Nie trzeba. Nawet nie wiedziałabym, co powiedzieć. Nic się w końcu nie stało.

– Lepiej nie chodzić samemu po zmroku. – Mężczyzna pożegnał się i poszedł dalej.

Ewa zatrasnęła drzwi klatki schodowej i pobiegła na swoje piętro. Wołała nie korzystać z windy, czułaby się w niej jak schwyтана w klatkę.

Jeszcze tego samego wieczoru zdecydowała, że wprowadzi się na pewien czas na Jaśkową. Żeby nie wracać samotnie po nocach. Obojętnie, co na to powie Andrzej.

Po prostu sobie błogo śpi – pomyślała, wściekła. – Nawet nie zaproponował, że po mnie przyjedzie, egoista...

IX DRUGA STRONA

To co... kawka, koniaczek?

A chuj z tym! Pieprzyć konwenanse, niech będzie wódka i wódka. Tak jest, wódka z wódką.

Do lustra.

No to się, kurwa, porobiło. Byłoby nawet całkiem zabawnie, bo durnie błędzą we mgle, gdyby nie jelopy, których zatrudniam. Tak zjebać zadanie za zadaniem to już tylko wyjątkowo popaprane głąby potrafią. Nie ma już fachowców, ludziom w dzisiejszych czasach mózgowi brakuje. Jakim ludziom – palantom! Ludzi to już dziś niewiele zostało. Dlatego dwóch idiotów już robi w głębokim dole za pokarm dla robaczek. A następni czekają na swoją kolej. Miejsca nie zabraknie. Nikt o nich nawet nie zapyta, bo od dawna nie istnieli – anonimowe błazny bez nazwiska i twarzy. I nikt ich z pewnością nigdy nie znajdzie. Ani ich ścierwa, bo ścierwo szybko zniknie – żyjątka są głodne, zawsze głodne.

Wracając do meritum...

Durnie szukają w archiwach, tu i u szwabów. A szukajcie sobie. Prędsz się zeszracie niż znajdziecie, bo nie macie pojęcia, czego szukacie. Nie tego się obawiam. W zasadzie czego ja się obawiam? Niczego. Może z jednym wyjątkiem. Ale do tego się nie dokopią, poza tym są za głupi. No i wreszcie zaczynają czuć strach koło dupy. A będą się bali bardziej. Moja w tym głowa. Głowa na karku.

I tam pozostanie.

Kurwa.

Myk ze szczeniakiem załatwiony. Tamta pizda złapała się na haczyk jak ryba. Gruba ryba, nie w przenośni, tylko dosłownie. Gruba, tłusta, tępą ryba. Ale pomocna. Znajcie moje dobre serce, chamy. Wódka z wódką, raz. Do lustra!

Teraz zobaczmy...

...jak będziecie śpiewać.

Znowu się we mnie gotuje. Złość, znajome uczucie. Rozgrzewające. Muszę ją wylać tutaj – do lustra. Na zewnątrz maska: wyszczerzyć się, rozjarzyć. Uśmiech, wyprostowana sylwetka, luz, elegancja-Francja, słowa niech ociekają miodem. Albo złotem. Ale tu może mi się wreszcie ulać. To moja twierdza. W dupę kopane skurwiele. Nieudaczniki. Tępaki. Nawet w tej kamienicy spierdolili sprawę, bałwany. Gdyby jeszcze załukli idiotkę, tę durną, wścibską gęś – w planach tego nie było, co prawda, mieli ją tylko postraszyć, jakby co, ale przynajmniej fart byłby. Nie, to oni załatwili jakieś babsko nie wiadomo skąd i jeszcze mi gliny ściągnęli na kark. Glin się nie obawiam: to bagno, w którym potrafię pływać. Ale znów muszę sięgać do kieszeni, z torbami mnie puszczą, nie ma to jak debilom zafajdanym dać robotę. Sezam sobie gnoje znaleźli. No to teraz już są w piekle. Bo piekło jest pod ziemią. Każdy bachor o tym wie.

Do lustra.

Trochę mnie to kosztowało, ale sprawa już naprostowana. Dam radę. Jak zawsze. Gra się rozkręca, a ja lubię grać. Hazard mnie wciąga, byle wiedzieć, kiedy przestać. O tym zawsze pamiętam.

Tego mnie nauczono, a ja nie zapominam żadnej nauki.

Choć w tym przypadku jest jak w rosyjskiej ruletce: albo ja, albo oni. Oczywiście w czapę dostaną oni. Chyba że we właściwej chwili sami odpadną z gry. Ale to już ich zasrany interes.

Ale do rzeczy...

Gliny glinami, gorsze są dziennikarskie hieny. Tym się wydaje, że działają z powołania. Posłannictwo, do kurwy nędzy, mają. Misję dziejową, szmac. Bo kasę to akurat głównianą dostają, podtrzeć się nią co najwyżej można. Ale nie odpuszczają, lubią to. Kochają to szambo. Na te sępy potrzeba innej metody niż na tępo pazerne gliny, bo sępom gula rośnie, kiedy nie czują się którąś tam władzą... Ja wam dam, gnojki, władzę! Nawet pojęcia nie macie, co to słowo znaczy. Debile, kurwa ich mać. Gnojek dostał ostrzeżenie, franca niejedno. Ostatnie nawet wyszło tym moim jełopom. Dlatego jeszcze żyją. A franca chyba się naprawdę wystraszyła, bo wymiotło ją z domu. Niezbyt mi to na rękę, bo pod okiem glin gorzej mi oboje kontrolować. Ale to drobiazg, przecież się w końcu ruszą.

Będzie dobrze, będzie cacy.

To jak – teraz kawusia?

Z koniaczkiem.

I do lustra, zanim...

X ŚLEDZTWO

Tydzień później

– Nabijałaś się ze mnie, a tymczasem... – rzucił tajemniczo Kotwicki, wkraczając dumnym krokiem do kuchennego „biura”. – Tymczasem udało mi się zdobyć coś, i to skąd, droga pani? – Mrugnął, wyciągając z kieszeni byle jak zapisane kartki.

Ewa naląła mu herbaty do kubka.

– No? – ponagliła.

– Z zasobów archiwalnych Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku! – zakończył tryumfalnie.

– Dzięki temu koledze, o którym wspomniałaś?

– Owszem, też – odparł – ale okazało się, że wcale nie musiałem prosić go o pomoc. Otóż można tam całkowicie legalnie ubiegać się o dostęp do akt w celach: służbowych, naukowo-badawczych, publicystycznych oraz innych, jeżeli nie narusza to prawnie chronionych interesów Rzeczypospolitej Polskiej i jej obywateli. W tym przypadku niczyich interesów nie narusza, a publicystą jestem, więc wszystko się zgadza. Próbowałem dowiedzieć się czegoś o rodzinie waszego hrabiego, ale o nich nic nie mają. Podobno tak wczesne akta mogły trafić do IPN. Tam też oczywiście będę jeszcze próbował. Archiwum policyjne posiada w swoich zasobach dokumentację stanowiącą zespół archiwalny Milicji Obywatelskiej z lat 1955–1990. A to akurat wystarczyło, żeby dotrzeć do jakichkolwiek materiałów dotyczących śmierci twojego dziadka. Znaczący, tego przyszywanego. Ojczyzna twojej matki.

Ewa się ożywiła.

– I co znalazłeś?

– Tu mi pomógł ten kolega. Ma wprawę. Dotarł do raportów milicyjnych ze śledztwa prowadzonego w sprawie tamtego wypadku...

– No i...?! Mówże szybciej!

– No i w zasadzie wszystko się potwierdza. To, co opowiadała twoja babka i twoja matka. Że wpadł do rowu służbowym samochodem, wracając z jakiegoś zebrania partyjnego w terenie. Był w aucie sam, jechało od niego wódką na kilometr. Zginął na miejscu. Są tam też zeznania świadków. Wszyscy zgodnie twierdzili, że twój dziadek prawie nie pijał alkoholu, co jak na tamte czasy było dość charakterystyczne, bo nietypowe, no i że nigdy sam nie prowadził, ponieważ nie potrafił, choć miał prawo jazdy. Zazwyczaj jeździł z kierowcą. Coś w tym musiało być podejrzanego, bo milicja szybko umorzyła śledztwo, wyraźnie pod naciskami „z góry”. Sprawa została szybko zatuszowana – zakończył Kotwicki.

Oboje zapalili. Ewa usiadła.

– Czyli było tak, jak twierdziła babcia – powiedziała. – Musieli upozorować ten wypadek. Dziadek musiał być z jakiegoś powodu niewygodny.

– Zaraz potem zaczęły się te prześladowania w waszej rodzinie, tak?

– Dokładnie. – Pokiwała głową.

– Wcześniej pewnie jego prześladowano, naciskano. Tego się już nie dowiemy – zauważył Jacek. – Fakt, musiał komuś przeszkadzać, prawdopodobnie dociekał tak samo jak my, co stało się z biologiczną rodziną adoptowanej córki. Mówiłaś, że ją kochał.

– Tak, podobno. Zresztą ona podobno także go kochała, choć teraz nie chce się do tego przyznać... Wstydzi się, że był partyjniakiem. Ale babcia opowiadała, że zawsze była „córeczką tatusia” i jego oczkiem w głowie.

– Tak musiało być. Widocznie był zbyt dociekliwy.

Wstała, by dolać sobie herbaty. Zamyślona podeszła do okna i wyjrzała na podwórze.

– Znowu jest tu gliniarz – oznajmiła.

Machnął ręką.

– To i dobrze. Niech mają oko na kamienicę.

– Ale wiesz... – Ewa jakby nie dosłyszała, nie podjęła tematu, tylko wróciła do poprzedniego wątku. – Coś mi się tu nie zgadza. Jak to niby możliwe, że był w partii, pełnił w niej ważną funkcję, a nie wiedział, co się stało z prawdziwymi rodzicami Haliny? Nie byli przecież byle kim! Oczywiście przy założeniu – zastrzegła – że to wszystko, co napisała moja babka, jest prawdą. Powinien wiedzieć. Oni wiedzieli wszystko, nic się nie działo bez ich wiedzy, a nawet rozkazu! Jeśli aresztowali lub wykonali wyrok śmierci na rodzinie hrabiego, to na pewno wszyscy ważni członkowie partii dobrze o tym wiedzieli! A to by znaczyło... że dziadek mógł nawet w tym uczestniczyć. Cholera...

– Niekoniecznie – pocieszył ją Kotwicki. – Nie wiemy, co się stało. Partia to partia, były jeszcze służby... wojsko...

– Nic wtedy nie działo się bez rozkazu partii!

– Ewcia, my nic nie wiemy. Uspokój się. Nie kombinuj.

– Matko, w co ja wdepnęłam...

– A może nawet wiedział, tylko przejrzał na oczy i towarzysze bali się, że zaczniesz za dużo gadać? Możemy sobie tak spekulować do woli, a i tak do niczego nie dojdziemy. Twoja babka twierdziła, że był mimo wszystko uczciwym człowiekiem. Trzymaj się tego.

– Zresztą to nawet nie moja rodzina – podchwyciła z goryczą.

– Rodzina. Nie tylko biologiczne więzi tworzą rodzinę.

– Masz rację. Dlatego to mnie tak... wkurza.

– Rozumiem. Ale nie ma co gdybać. Mam lepszy pomysł.

Zerknęła na niego pytająco.

– No? – pogoniła. – Zawsze musisz być taki irytujący?

Roześmiał się.

– Muszę, taka moja natura – odciął się. – Mam tu wynotowane nazwiska świadków.

Spróbuję odszukać tych ludzi albo ich potomków i złożymy im wizytę. Może ktoś coś pamięta. W ten sposób możemy poznać kulisy, szczegóły...

– Dobry pomysł. – Pokiwała głową z aprobatą.

Od kilku dni mieszkała właściwie na Jaśkowej Dolinie. Tutaj – paradoksalnie – czuła się bezpieczniej. Kotwicki przyjeżdżał, kiedy miał coś ważnego do omówienia lub gdy po prostu był potrzebny. Na noc wracał do domu, choć nie raz mu proponowała, gdy pracowali do późna, by zostać – miejsca jest dość, osobne pokoje, nawet pościel by się znalazła. On jednak zawsze śmiał się, że nie chce narażać się małżonkowi Ewy. Nie każdy rozumie, co znaczy orientacja seksualna. A Ewa jest w końcu atrakcyjną kobietą. Tym razem zareagował podobnie.

– Kot? – zapytała domyślnie.

– Nieee... wiesz... kota odwiozłem wczoraj do rodziny. Tam w domu zawsze ktoś jest,

zaopiekują się nim. Będzie bezpieczny. I szczęśliwszy. Po tych wszystkich pogrózkach, napaści na ciebie... wolę go nie narażać. Wiesz, że tacy psychopaci często mszczą się na zwierzakach. A ja już straciłem jednego przyjaciela. Mogę ryzykować sobą, ale nie kotem. – Uśmiechnął się, odrobinę zmieszany. – On jest niewinny.

– Ty też – dodała.

– Ja nie do końca. Mieszam się w to świadomie i na własną odpowiedzialność. To mój wybór.

– Ale nie oddałeś go na zawsze?

Jacek się zachnął.

– Coś ty! Tylko na lato, no może... dopóki sprawa się nie wyklaruje. To teraz mój kot i tak zostanie.

Teraz ona się do niego uśmiechnęła.

– Fajny z ciebie facet, wiesz? Szkoda, że...

– Że co? – Spiął się. – Że odmieniec? Inny?

– Żeś stracony dla kobiet, idioto! – Roześmiała się na głos. – Nie bądź taki przewrażliwiony. Kto wie, co by się stało, gdyby było inaczej? Może bym się na ciebie rzuciła?

Wreszcie i on rozluźnił się i zaśmiał.

– Mąż ci już niemiły?

– Miły, miły. Tylko trochę mnie wkurzył ostatnio. Ale... wiesz... kobieta w moim wieku bywa nieprzewidywalna. – Mrugnęła.

– To ja uciekam! Nie żebyś mi była jakaś straszna, przeciwnie, ale muszę pozostać wierny sobie. – Śmiejąc się, sięgnął po plecak.

– I Robertowi? – Spowaźniała.

– Tak... jeszcze długo tak.

– Uważaj na siebie.

– Bez obaw, mam samochód pod samym domem, a tam stoją gliniarze. Przyślę ci esemesa, jak tylko dotrę do siebie. A ty odpoczywaj. Może jutro znajdę już jakieś adresy, których mieszkańców zaczniemy niepokoić od nowego tygodnia. – Uścisnął ją na pożegnanie.

Gdy wyszedł, pomyślała sobie, że dobrze mieć przyjaciela.

* * *

Dwa dni później

Kotwicki skończył artykuł i korzystając z wolnej chwili, wyjął notes, w którym zapisał wcześniej nazwiska i adresy paru osób, prawdopodobnie potomków ludzi zeznających kilkadziesiąt lat temu w sprawie wypadku Kuca. Do tej pory udało mu się zweryfikować dwie osoby, a nawet się z nimi wstępnie umówić. Do jednej z nich, syna świadka, jak udało się ustalić, mogli przyjechać choćby dziś: facet był emerytem i dysponował wolnym czasem według uznania. Twierdził też, że wie, o co chodzi.

Jacek nastawił ekspres do kawy. Przed sobą miał listę z jeszcze kilkoma nazwiskami. No pięknie – westchnął w duchu – „Nowak”. Super! Nowaków to pewnie będzie w książce telefonicznej z kilkuset. Naczelný pozwolił mu dzwonić w tej sprawie z redakcyjnego telefonu, ostatecznie liczył, że będzie z tego dobry materiał dla gazety. Jednak perspektywa wydzwaniania pod tyle numerów niezbyt się Jackowi uśmiechała. Wybrał inne nazwisko z listy, ciesząc się w duchu, że widnieje przy nim tylko pięć numerów telefonów. Był właśnie przy trzecim i właśnie usiłował się połączyć, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Tak? – Odebrał z roztargnieniem, nie patrząc na wyświetlacz.

– Jacek? – Głos należał do Ewy. Dziwnie roztrzęsiony.

Natychmiast oprzytomniał.

– Co się stało?

– Jestem w domu, na Zaspie. Wczoraj coś mi strzeliło i pojechałam sprawdzić, co się tam dzieje... Jakbym miała przeczucie... Nie będę dziś mogła wrócić na Jańskową. Muszę na razie tu zostać... Coś się stało... coś się stało Kacprowi na obozie!

– Jasne, ale co mu jest? Powiedz coś więcej, na litość boską!

Chyba płakała.

– Ktoś go pobił. Napadł i pobił... wczoraj późnym wieczorem. Dopiero rano nas powiadomili. Muszę kończyć, Jacek. Zadzwonię później. Andrzej jeszcze dziś tam jedzie.

– Ale co mu jest?! Coś poważnego?...

– Nie, chyba nie – odparła z wahaniem. – Byli z nim na pogotowiu, na szczęście raczej nic mu się takiego nie stało, bo nie zatrzymali go w szpitalu. Ale... Nie wiem, pewnie to tylko jacyś miejscowi kibole, ale, cholera, pomału zaczyna mnie to wszystko przerastać. Zadzwonię wieczorem, będę wtedy wiedziała więcej, pa.

* * *

Telefon obudził ich wcześniej rano. Dzwonił mocno zdenerwowany kierownik obozu i jednocześnie wychowawca Kacpra. Jąkając się nieco, wyjaśnił, że ich syn miał zeszłego wieczoru wypadek na boisku. Szybko się chyba zorientował, że palnął gafę, o mało nie przyprawiając o zawał rodziców podopiecznego niefortunnym wyrażeniem, bo poprawił się natychmiast, dodając, że Kacper został pobity zapewne przez miejscowych chłopców na boisku ośrodka, w którym umiejscowiony jest obóz. Nic groźnego. Tłumaczył, że dzieciaki do późna grały w piłkę, a niestety na teren ośrodka łatwo się dostać z zewnątrz. Uspokoił ich też, twierdząc, że od razu wezwano pogotowie, jednak niczego poważnego nie stwierdzono, tylko kilka siniaków i stłuczenia, zatamowano też krwotok z nosa, złamań żadnych nie ma. Chłopak jest w izolatce, pod dobrą opieką lekarza i higienistki, ale uparcie powtarza, że chce natychmiast wracać do domu...

– Gdzie w tym czasie byli wychowawcy?! – huknął Andrzej.

– Bardzo przepraszam – odpowiedział urażony wychowawca. – Byłem obecny na boisku, koordynowałem grę wraz z trenerem. Kacper poszedł tylko na chwilę do ośrodka, do toalety. Nie jesteśmy przecież w stanie chodzić krok w krok za każdym wychowankiem! To nie małe dzieci, tylko nastolatki. Kto mógł przypuszczać... Mogę zapewnić, że zareagowaliśmy natychmiast, słysząc krzyki i odgłosy szamotaniny. Natychmiast!

– Dobra, wierzę panu. Czy będzie jakieś śledztwo w tej sprawie?

– Oczywiście, zajmie się tym miejscowa policja, już nawet podejrzewają, kto mógł brać udział w tej bójkę. Pewnie to nie pierwszy taki przypadek. Z całą pewnością smarkacze za to odpowiedzą!

– Mogę zadzwonić do syna?

– Proszę poczekać, zaraz go panu dam. – Wychowawca był gotowy do wszelkich ustępstw. – Szkoda, żeby pan nabijał sobie rachunek. Podam mu swój telefon, proszę się nie rozłączać...

Po chwili usłyszeli głos Kacpra:

– Tato? To ty?...

– Jesteśmy tu oboje z mamą. Oboje słuchamy. Jak się czujesz, synek?

– Dobrze... Trochę boli, ale żyję. – Spróbował obrócić to w żart. – Tylko wyglądam jak ufoludek... Przyjedziecie po mnie? Nie chcę tu zostać. Obóz był cool, ale...

– Tak. Nie zostaniesz. Powiedz tylko, czym sprowokowałeś tamtych chłopaków?

– Niczym! Nie mam pojęcia, kto to był, nawet nie wiem, czy to byli chłopacy! Na pewno byli starsi ode mnie. Szłem sobie...

– Szedłem – odruchowo poprawiła go Ewa. Telefon był nastawiony na tryb głośnomówiący.

– No to szedłem do kibla, kiedy za zakrętem wypadli na mnie z krzaków! Było ich kilku. Nic nie gadali, tylko od razu... – Głos mu się załamał.

– Okej, odpoczywaj i czekaj. Na pewno jeszcze dziś złapię pociąg i po ciebie przyjadę. A co byś powiedział na... – Andrzej zawahał się i zerknął pytająco na Ewę. – Dostałem dwanaście dni urlopu. Razem z weekendami wychodzi ponad dwa tygodnie. Jeśli dobrze się czujesz, to może zamiast wracać do domu, skoczylibyśmy sobie w góry? We dwóch?

– Bez matki? – Chłopiec wyraźnie się ożywił. – Poradzimy sobie bez niej?

– Myślę, staruszk, że faceci potrafią sobie radzić doskonale. – Ojciec się uśmiechnął. – A wiesz, że mama ma tu ważne sprawy do załatwienia.

– Wiem. Super będzie! Dam radę.

– No to świetnie. Jesteśmy umówieni. Spakuję tylko plecak i lecę na najbliższy pociąg.

Trzymaj się, synku.

– Całuję! – wstrzeliła się Ewa, zanim mąż przerwał połączenie.

– Czemu mnie nawet nie zapytałeś? – zbuntowała się.

Andrzej objął ją. Od wczorajszego wieczoru był zdecydowanie bardziej czuły i wyrozumiały.

– Nie denerwuj się – poprosił. – Ty naprawdę masz tu coś ważnego do zrobienia. Przecież to rozumiem. A ja i tak miałem potem gdzieś wyskoczyć z Kacprem. Zrobię to po prostu wcześniej, zaraz zadzwonię do szefa i poproszę o zastępstwo od dziś zamiast od przyszłego tygodnia. To kwestia tylko paru dni. Poradzą sobie. W tej sytuacji muszą mi pójść na rękę, przysługuje mi urlop okolicznościowy, choćby bezpłatny. A myślę... że młodemu przydadzą się teraz takie... męskie wakacje tylko z ojcem. – Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

– No dobrze – ustąpiła. – Upewnij się tylko, że Małemu naprawdę nic nie jest. Jakoś nie dowierzam tym...

– Idiotom – odpowiedział.

– Może nawet gorzej. – Odwzajemniła jego uśmiech. – To ty zarezerwuj bilet, a ja pomogę ci się spakować. Aha, i najlepiej poszukaj od razu jakiegoś pensjonatu... gdzie?

– W Zakopanem – zdecydował stanowczo. – Kacper przecież od dawna marzył o wyjeździe w Tatry.

* * *

Po wyjeździe Andrzeja została na Zaspie. To już żadna różnica, pomyślała, i tak będzie miała dwa mieszkania do obskoczenia co najmniej przez dwa tygodnie. Zgodnie z obietnicą zadzwoniła jeszcze raz do Kotwickiego. Matkę postanowiła oszczędzić: niby udaje obojętną, ale na pewno by się przejęła, w końcu dała kasę na ten obóz, niech ma święty spokój. Podkusiło ją tylko, żeby się zwierzyć Dagmarze.

– No coś ty! – Przyjaciółka się obruszyła. – Jak to możliwe? Przecież to ekskluzywny obóz!

– Sama widzisz.

– No ale... może Kacper wdał się w jakieś pyskówki?

– Kacper twierdzi, że został napadnięty przez nieznaną sprawców – odparła lekko poirytowana – kiedy szedł z boiska do ośrodka. W nic się nie wdawał. A ja mu wierzę na słowo, bo to mój syn i doskonale wiem, kiedy kręci, a kiedy mówi prawdę.

– Nie jestem pewna, czy dzieciakom powinno się tak bezwarunkowo wierzyć...

– Wiesz co, Daga? Nie masz dzieci, więc mnie nie pouczaj. Dobra, skończmy na tym, bo jestem wkurzona, mam dość. – Rozłączyła się, czując, że palnęła głupotę, jak te wszystkie nawiedzone matki, z których zazwyczaj sama się śmiała.

Ale Daga naprawdę ją tym razem wkurzyła.

Rano dostała obszernego esmesa z komórki męża:

Odebrałem młodego, nic mu nie jest, jesteście w pociągu do Zakopca, wszystko w porządku, pogoda wymarzona, samopoczucie też, humory dopisują. Niedługo dojedziemy i odeśpiemy w pensjonacie. Odezwę się stamtąd. Ściskamy i całujemy. Kacper przesyła serduszko. Niczym się nie martw!

Ale się martwiła. Mimo że nowy dzień, rzeczywiście jasny i słoneczny, sprawił, że nie była już pewna swoich obaw – może faktycznie przesadza, we wszystkim dopatrując się zamachów i ataków. To mógł być przecież przypadek. Sama dobrze pamiętała swoje kolonie z dzieciństwa i młodości – działy się tam najróżniejsze rzeczy. Bójki, awantury, drobne kradzieże, o flirtach nie wspominając. Uśmiechnęła się do siebie. Wspomnienia były lepsze i gorsze, ale z dystansu wszystko wydawało się... mało istotne. Czasy niby były inne, ale ludzie tacy sami. Najważniejsze, że w przypadku Kacpra wszystko dobrze się skończyło – pocieszyła się. I że Andrzej nie powiązał wydarzenia na obozie ze sprawą medalionu...

Po niewielkim śniadaniu pojechała po zakupy, potem miała wybrać się na Jańskową. Andrzej na dworzec wziął taksówkę, samochód jej zostawił, więc przynajmniej nie musiała być zależna od komunikacji miejskiej. Był to jakiś plus tej całej sytuacji.

Jacek jednak nie był tak dobrej myśli. Incydent na obozie wcale nie wydawał mu się przypadkowy.

– Zobacz – tłumaczył. – To się wyraźnie wpisuje w cały ciąg zdarzeń, jakie nam się ostatnio przytrafiają. I jakie przytrafiały się twojej rodzinie kilkadziesiąt lat temu, wnioskując z tego, co opowiadała ci twoja matka. Nie zauważyłaś podobieństw? Może to ty masz rację, a ja przesadzam, ale to mimo wszystko dziwne.

– Myślisz, że ktoś pojechał za Kacprem?! – Przeraziła się.

– Nie wiem. Może raczej wykorzystał miejscowych. Ale możliwe, że się mylę. – Jacek się zreflektował. – Może mam manię prześladowczą, jak twierdzą gliny. Wszystko być może. W każdym razie cieszę się, że wasz syn jest już bezpieczny z ojcem.

Ewa zastanowiła się przez chwilę.

– Z tym, że sytuacja przypomina tę sprzed lat, nie do końca bym się zgodziła. Wtedy było inaczej. Pogróżki były jawne, otwarte, pochodziły z aparatu władzy, przynajmniej tak przypuszczam.

– Owszem, czasy się zmieniły, ale cel jest jakby ten sam.

– O co im może chodzić?... – zastanawiała się. – Zakładając, że jednak nie masz manii prześladowczej. O medalion?

– Nie sędzę. Gdyby chodziło o medalion, to już by go mieli. Zakładam, że to zawodowcy. Nie lataliby za nami po całej Polsce, tylko od razu włamaliby się do was na Zaspę.

– No to mnie pocieszyleś – odparła z sarkazmem.

Jacek krążył po kuchni, paląc papierosa. Zmarszczka na czole wskazywała, że intensywnie myśli.

– Gdzie go teraz w ogóle trzymasz?

– Medalion?

– Tak.

– Skorzystałam ze swojej własnej rady i zabezpieczyłam go w sejfie bankowym. Spłukało mnie to, ale przynajmniej czuję się spokojniejsza. W końcu to chyba najcenniejsza rzecz, jaką posiadam.

Skinął głową z aprobatą.

– No i słusznie. Choć nadal uważam, że nie o ten naszyjnik tu chodzi. To jest bardziej skomplikowane. Temu komuś chodzi o coś innego... Chce nas zastraszyć, nie okraść. No, chyba że to rzeczywiście zbiegi okoliczności, a my robimy z igły widły.

– Zastraszyć? Tylko zastraszyć? A to morderstwo? A może nawet dwa morderstwa, jeśli liczyć...

Urwała. Pomiędzy nimi zapadła długa chwila ciszy. W końcu przerwał ją Kotwicki.

– Roberta? Masz rację. Miejmy nadzieję – odrzekł – że nie miało to związku z nami. Że jednak to były wypadki, nie zabójstwa z premedytacją. Ani nawet pomyłki, przynajmniej w tym drugim przypadku. Ale mimo wszystko musisz na siebie bardzo uważać. Jak najmniej przebywać teraz sama. I ja tego osobiście dopilnuję – obiecał.

– Czyli jednak dopuszczasz wypadki?

– No wiesz...

Ewa zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie. Masz rację. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkało mnie naraz tyle „zbiegów okoliczności”! Jakiś rachunek prawdopodobieństwa w końcu istnieje. To się zaczęło od śledztwa Przepłackiego. To znaczy, Roberta. Chodzi o coś związanego z przeszłością mojej domniemanej rodziny. Zresztą pogróżki, które otrzymałaś, były jednoznaczne. I wyraźnie to potwierdzają.

– Tam była mowa o bursztynie...

– Ale tylko jako znak, symbol, żebyś skojarzył, o co chodzi. Moim zdaniem. Poza tym były jasne jak słońce. Masz „nie wtykać nosa w nie swoje sprawy” – zacytowała.

– Tak? – Zaśmiał się niewesoło. – Jasne? Bo według policji był to po prostu czyjś głupi kawał, na przykład zazdrosnego męża, albo inne takie... niewinne towarzyskie żarciki.

Ewa zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Nawet tego nie skomentuję. Fakt, że nie zgłosiłaś oficjalnie tych pogróżek. Przecież od niedawna stalking jest w Polsce karalny?

– Gdy stalker już stoi z nożem za twoimi drzwiami – parsknął Kotwicki. – To u nas wciąż niewygodny i śliski temat. Policja woli udawać, że nic się nie dzieje, przynajmniej tak długo jak może – skwitował ponuro.

– Ręce opadają.

– Owszem. Nie ma co tracić czasu, zabieramy się za naszych świadków. Mam już nazwiska i adresy. Rozmawiałem z tymi ludźmi przez telefon i umówiłem nas. W życiu się tyle nie nadzwoniłem! Dobrze chociaż, że mogłem korzystać ze służbowego telefonu. Tyle że prawie głos straciłem – zażartował. – Dużo ich nie ma, tych świadków, większość w ogóle nie wiedziała, o co chodzi, część już nawet od dawna nie mieszka w Trójmieście. To wszystko dzieci albo wnuki tamtych. To znaczy, tych z akt. Ale mam troje, którzy kojarzą sprawę i coś tam pamiętają z rodzinnych przekazów. Jutro do nich pojedziemy. Jak się uda, to obskoczymy wszystkich w jeden dzień.

– A potem pojedziemy obejrzeć torpedownię – podchwyciła.

– Dobra, ale to już kiedy indziej. Zrobimy sobie wycieczkę. A nawet dwie wycieczki...

– To znaczy?

– Wybierzemy się też do Nowiny. Tam, gdzie przypuszczalnie wszystko się tak naprawdę zaczęło.

* * *

Z trojga osób z listy Jacka tak naprawdę tylko jedna okazała się pomocna. Jeden mężczyzna w średnim wieku w zasadzie kojarzył tylko nazwisko Kuc – coś mu świtało: mgliste wspomnienia, okoliczności wypadku – jednak niczego konkretnego nie potrafił na ten temat powiedzieć. Wiedział tylko, że jego dziadek za młodu składał w tej sprawie zeznania na milicji; prawdopodobnie była to największa sensacja w tej rodzinie, dlatego w ogóle cokolwiek zapamiętał. Jako drugą odwiedzili starszą, mocno umalowaną kobietę, która okazała się kompletnie niewiarygodna, a w dodatku zaprezentowała niezwykle wręcz parcie na szkło. Zaraz na wstępie zapytała, czy jej nazwisko „będzie w mediach”, po czym – po podaniu im mętnych i niezgodnych z faktami historycznymi informacji – zadowolona z siebie ponowiła pytanie. Opuścili jej mieszkanie zniechęceni, przygnębieni i sfrustrowani. Na szczęście ostatni mężczyzna z listy wynagrodził im stracony czas i poprawił humor. Był to elegancki pan po siedemdziesiątce, emerytowany urzędnik państwowy, człowiek bystry i rozmowny. Zeznania składał w swoim czasie jego ojciec, a pan Janusz (tak przedstawił się ich gospodarz) był już wtedy maturzystą, dlatego dość dobrze zapamiętał całą historię, szczególnie, że ojciec był z ofiarą wypadku – czyli z Antonim Kucem – w dość zażyłych stosunkach. Mało tego, obaj byli obecni na tej samej plenerowej imprezie, gdzie, owszem, sporo się piło. Jeden tylko Kuc pił niewiele, przynajmniej w stosunku do całej reszty. Jak zawsze: był z tego znany, choć w partii nikt nie wylewał za kołnierz. Cóż – stwierdził mężczyzna – trudno się wyprzeć tego, że obaj należeli wówczas do tej samej partii. Innej nie było. – Zachichotał, po czym natychmiast przeprosił. On także utrzymywał zdecydowanie, że z tym „wypadkiem” od początku coś nie grało. Wszyscy koledzy Kuca byli przekonani, że to nie był żaden wypadek, tyle że w tamtych czasach nikt by się nie wychylił – zostali poinstruowani, co mają zeznawać i tak zeznawali. Jakieś rozgrywki partyjne na sto procent w tym były – podkreślił. Śledztwo umorzono bardzo szybko i po cichu, a świadkowie otrzymali ostrzeżenie, że mają trzymać gęby na kłódkę, teraz i w przyszłości. Na wieki.

– Mam nadzieję, że już mnie ten *prikaz* nie obowiązuje? – Starszy pan zaniepokoił się nagle. – Bo to wiecie państwo, różne rzeczy się zdarzają. Ta władza, tamta władza... a jeden diabeł! Władza to władza. Nikt nie ogarnie jej interesów ani mechanizmów, bo władza to taka dziwna hybryda, której macki sięgają daleko, czasem aż niewiarygodnie daleko. Ale z tamtych czasów już chyba wszyscy nie żyją... To znaczy ci, którzy wtedy brali w tym udział. To i chyba nikomu już na piętę nie nadepnę?

– Z pewnością nie. – Kotwicki uspokoił go nieco obłudnie, zastanawiając się gorączkowo, czy faktycznie nie narażają faceta.

Gospodarz się jednak rozochocił.

– Mam coś dla was – oznajmił konspiracyjnym szeptem i poderwał się z fotela. Pogrzebał w szufladzie, po czym z tryumfalną miną podał im zdjęcie. Niewielki, poszarzały kartonik, na którym uwieczniona została grupka mężczyzn w plenerze.

– To fotografia z tamtego zjazdu – wyjaśnił. – A z tyłu macie państwo opisane czarno na białym, kogo my tutaj mamy...

Jacek obrócił zdjęcie, Ewa zaglądała mu przez ramię.

– Od lewej – kontynuował pan Janusz – jako pierwszy stoi mój ojciec, dalej za nim Kuc. Czyli pani szanowny dziadek, jeśli dobrze zrozumiałem. – Zerknął pytająco na Ewę, która potwierdziła skinieniem głowy. – Dalej mamy niejakiego Kowalskiego, tego nie kojarzę. Potem

stoją kolejno: Nowak, Polck i Koluszko. Oj, to byli dranie... Pamiętam ich trochę, choć bardziej z opowieści ojca. Zresztą oni wszyscy byli dranie – dodał zaraz ze smutkiem. – Wiem dobrze, że i mój staruszek święty nie był. Takie to były, niestety, czasy – zakończył filozoficznie.

Ewa z Jackiem uważnie przyglądali się twarzom. Dziadka Kuca rozpoznali od razu, choć na tym mniej oficjalnym zdjęciu wyglądał jeszcze młodziej niż na sztywnym portrecie wiszącym na ścianie w mieszkaniu babki. Reszta sprawiała wrażenie podobnych do siebie: całkiem zwyczajni aparatczycy z lat pięćdziesiątych. Ot, pasibrzuchy na zbiorowym wyjeździe, w pomiętych garniturach, pospolite twarze, nic charakterystycznego. Ewa żałowała, że fotka jest tak słabo czytelna, ale pomimo to poczuła wiatr historii. A może raczej tylko powiew?

– Czy oni wszyscy wtedy zeznawali? – zapytał Kotwicki. – Wie pan coś na ten temat? Bo nie wszyscy są w aktach.

– Zeznawali tylko ci, którzy niby widzieli, jak Kuc odjeżdżał tym autem – wyjaśnił pan Janusz. – Ale mój ojciec, na ten przykład, wcale tego nie widział, nie było go przy tym. Nam się tylko do tego przyznał, że gadał milicji to, co mu kazali gadać. To znaczy, rodzinie. Bał się.

– Czego?

Starszy pan zachichotał.

– A jak pan myślisz, czego?

Jacek nie odpowiedział, pokiwał tylko głową.

– Czy moglibyśmy pożyczyć od pana to zdjęcie? – zapytała Ewa.

– O nie! – Zamachał rękami. – Co to, to nie. To pamiątka.

– A możemy je sfotografować? – wtrącił się Jacek.

– To znaczy jak? – zapytał zdezorientowany gospodarz.

– Telefonem komórkowym. – Dziennikarz się uśmiechnął.

– A, to tak, bardzo proszę.

Jacek pstryknął dla pewności kilka ujęć, zerknął na wyświetlacz i usatysfakcjonowany schował komórkę do kieszeni.

– To my chyba będziemy się już zbierać. – Spojrzał pytająco na Ewę. – Bardzo panu dziękujemy. Naprawdę nam pan pomógł.

– Jak to? Nie musicie jeszcze wychodzić! – Starszy mężczyzna zerwał się z miejsca. – Nic więcej nie mam do dodania, ale... Ja bardzo przepraszam, niczym nie poczęstowałem... Może kawy? Albo... po kieliszeczku przedniej wódeczki?

– Nie, nie, dziękujemy. – Ewa szybko wstała. – Czeka nas dziś jeszcze trochę pracy.

Poprawiła fryzurę w dużym lustrze w ozdobnych ramach, wiszącym na ścianie.

W międzyczasie Kotwicki zapytał:

– Czy kiedy pojawi się artykuł, mogę podać pańskie personalia?

Stary się spłoszył.

– Nie, lepiej nie. Nigdy nie wiadomo. Pan nie zna tych ludzi...

– Panie Januszu, oni już dawno gryzą ziemię.

– A jednak wolę nie. To złe duchy. Rozumie pan, zła energia. Wolę się im nie narażać.

Wystarczy, że wspomni pan o mnie bez nazwiska, nawet bez inicjałów, bardzo pana proszę.

– Oczywiście – zgodził się Jacek. – Możemy też zmienić imię i nazwisko.

– O tak, o tak! Tak będzie dobrze. A kiedy to ma się ukazać?

– Tego jeszcze nie wiem. Na razie gromadzimy materiały. W razie czego dam panu znać.

– Zadzwoń pan?

– Oczywiście.

– Dziękuję. Pięknie dziękuję. Życzę powodzenia.

Pożegnali się i wyszli.

– Zabawny gość – podsumowała Ewa już na schodach. – Czy tylko mi się zdawało, czy on się naprawdę czegoś bał? Wyraźnie był zdenerwowany. Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej się stresował, choć widać było, że bardzo chciał pomóc i się przy okazji wygadać.

– Nie zdawało ci się. Udawał Greka, ale chyba wciąż żyje w strachu.

– Jak moja babcia. Może to już taki nawyk... przyzwyczajenie z tamtych lat?

– Możliwe. Jedni się boją, bo mieli coś na sumieniu, drudzy boją się, bo ich przez całe lata zastraszano, więc przywykli do strachu. A trzeci...

– Tak? Co trzeci? – ponagliła go jak zwykle.

– Bo wciąż mają coś na sumieniu.

– Myślisz, że...

– Nie, nie. – Uśmiechnął się. – Tak tylko uogólniam.

* * *

Dwa dni później

W skrzynce na listy znalazła kartkę pocztową, a właściwie widokówkę ze stemplem z Zakopanego – widok na Czerwone Wierchy – zapisaną kulfonami Kacpra. Uśmiechnęła się sama do siebie: Cud! – uznała. Nie sądziła nawet, że młody w ogóle wie o istnieniu prawdziwej poczty. Ma przecież komórkę, nawet Internet w telefonie, a Andrzej zabrał na wyjazd swój laptop, żeby być w razie potrzeby w kontakcie z firmą (taki otrzymał warunek przyznania wcześniejszego urlopu). Widocznie jednak smarkowi spodobała się tradycyjna metoda korespondencji, a może tylko obrazek na widokówce, a do tego ozdobny stempel schroniska na Ornaku.

– Można powiedzieć, że dzieciak zyskał nowe doświadczenie! – Zaśmiała się pod nosem. Ponownie odwróciła pocztówkę i przeczytała:

Cześć, piszę ze schroniska, właśnie jemy obiad, czyli bigos, dużo łazimy po górach, ojciec grzeczny, wszystko w porzo. Byliśmy nawet w jaskini. Jest odlotowo, tylko ktoś rąbnął nam plecaki. To znaczy cały bagaż w pensjonacie. Pogoda może być, ale trochę za gorąco. Wcale mi się nie chce wracać do Gdańska. Wolę góry od morza, już mi się znudziło.

Pozdrawiamy

Kacper

Dopisek Andrzeja:

Wszystko gra, bez obaw, Kacper bardzo dzielny, całuję

A.

Skonsternowana odczytała wszystko jeszcze raz. Czy oni się upili?... Zwariowali od upału albo wysiłku? A może to jakiś szyfr? Jeszcze na schodach wystukała numer Andrzeja, ale był zajęty. Spróbowała więc dodzwonić się do syna. Odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, matka! – wykrzyknął radośnie. Czyli nic się im nie stało. Odetchnęła z ulgą.

– Cześć, synek – odpowiedziała, jedną ręką trzymając telefon przy uchu, a drugą usiłując włożyć klucz do zamka. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że przez cały czas trzyma w niej też dwie ciężkie siatki. Odstawiła je na wycieraczkę. – Gdzie jesteście?

– Już w Zakopcu.

– Aha. A co robi tata?

Wreszcie udało jej się przekręcić klucz. Otworzyła drzwi, rzucając siatki na podłogę w przedpokoju.

– A jakiś buc wisi mu na telefonie – odparł pogodnie Kacper.

– Jaki buc?

– Z roboty.

– Aha. Słuchaj, dostałam waszą kartkę. Dziękuję. Cudna. Ale powiedz mi, o co chodzi z tym bagażem?

– O, to nawet szybko działa ta anachroniczna poczta! – ucieszył się. – Z jakim bagażem?

– No z tym, co wam podobno ktoś rąbnął. Tak napisałeś.

– Aaa! Zapomniałem. No ktoś nam zrobił włam do pokoju i pod... znaczy się, tego... rąbnął nasze plecaki. Ze wszystkim! Beka, co nie?

Ewa weszła do kuchni i nastawiła wodę. Najpierw herbata, zdecydowała. Potem zupa – z kartonika. Dla samej siebie nie chciało jej się wymyślać. A później już tylko relaks. Jak Bóg da.

– Ale zaraz, Kacper! Nic nie rozumiem. – Zdenerwowała się. – Mów jaśniej! I co zrobiliście? Zgłosiliście kradzież na policję? Jesteście tam całkiem bez niczego? A komputer, dokumenty, karta kredytowa? Potrzebujecie pieniędzy?

Kacper zachichotał.

– Spoko, mamuśka... Wszystko mamy...

– Kacper, choroba, do rzeczy!

– Nie martw się, plecaki się znalazły. – Uspokoił ją, nadal rechocząc. – I to od razu. Ktoś je zostawił w recepcji.

– Jak to? Włamał się, zabrał bagaż i zostawił w recepcji?

– No, tak jakby.

– Czy z ciebie wszystko trzeba wyciągać? Tata dalej gada?

– Dalej. I stuka w klawiaturę.

– Więc co z tym bagażem? Okradli was? Co zginęło?

– Nic. Wszystko jest. Tak jakby wcale tam nie zaglądali. Babka z recepcji mówi, że nawet nie zauważyła, kiedy się tam znalazły. Te plecaki. Nikt nie brał klucza i nikt niczego nie zauważył.

– Cud?

– No.

– Okej. Rozłączam się, powiedz ojcu, żeby do mnie przedzwonił. Bawcie się dobrze. I... pilnujcie się, Kacperku!

Młody, słysząc zdrobnienie, bąknął coś tylko niewyraźnie i od razu się rozłączył.

W tym samym momencie jej komórka rozdzwoniła się ponownie.

– Ewa? Tu Halina. Co się dzieje u twoich chłopaków? Dostałam właśnie od nich kartkę pocztową i Kacper pisze, że nie jest już na obozie, bo go tam ktoś pobił. Tylko z Andrzejem w górach i ukradli im bagaże...

– O matko! – Ewa westchnęła i dopiero poniewczasie dotarło do niej, że zrobiła to na głos.

– No wiem, wiem, że jestem twoją matką – skwitowała Halina z przekąsem. – Przecież się tego nie wypieram. Nawet twój syn zwrócił się do mnie per „babciu”. Więc co tam u nich? Liścik brzmi radośnie, więc tylko odrobinę się zdenerwowałam. Wolalabym jednak wiedzieć, o co chodzi.

Ewa, mieszając cukier w kubku z herbatą i jednocześnie nalewając gotową ogórkową do garnka, usiłowała w miarę składnie, logicznie i pogodnie zrelacjonować, czego się dowiedziała.

– A z tym pobiciem... – zapaliła gaz pod zupą – po prostu nie chciałam cię niepokoić. Nic się takiego nie stało. Szczeniacka bójka, jak to z młodzieżą. Nie trzeba zbyt serio traktować tego, co wypisuje Kacper. – Poczula się winna, że trochę jakby deprecjonuje syna, nie chciała jednak wdawać się z Haliną w dyskusje, tłumaczyć się czy analizować szczegół po szczególe.

– Aha. No to odetchnęłam, bo już się bałam, że to znowu jakieś...

– Nie, nie podejrzewam, żeby to miało związek z naszą historią – ucięła zdecydowanie, choć w duchu myślała co innego. Z tym bagażem to jednak dziwna sprawa. Jakby jakiś znak, przekaz? O pobiciu Kacpra nawet nie wspominając.

– Dobrze. No to...

– Chciałabym wpaść do ciebie jutro z Kotwickim. Możemy?

– O której?

– Jakoś po południu. Pojutrze wybieramy się do Babich Dołów obejrzyć tę torpedownię, gdzie służył hrabia. A Jacek ma kilka pytań.

– Dokąd się wybieracie?

Ogłuchła czy co? – Ewa się zirytowała.

– Do Babich Dołów, w Gdyni, tam gdzie teraz jest lotnisko... – wyjaśniła cierpliwie.

– Tak, wiem. Bo wiesz... albo to przy okazji. Dobrze, przyjedźcie, będę czekać na was od piątej. Aha, jak będziesz rozmawiać z chłopakami, to pozdrów ich. I... moja córko... tylko proszę cię, uważaj na siebie, dobrze? To znaczy, uważajcie wszyscy.

Po tych słowach nastąpił stłumiony klik odkładanej słuchawki.

Oszołomiona Ewa także odłożyła telefon na półkę. Uśmiechając się do własnych myśli, nalała zupę na talerz.

Na płaski talerz...

Z wrażenia.

* * *

Dopiero wieczorem, kiedy zatelefonował Andrzej, zdołała wreszcie ogarnąć sytuację, bo z opisu Kacpra nie do końca wszystko zrozumiała. Rzeczywiście, z ich pokoju w pensjonacie tajemniczym sposobem zniknęły bagaże. Plecaki – jak to chłopcy, pomyślała z pobłażaniem – trzymali wciąż nie do końca rozpakowane, na wierzch wyjęli tylko najpotrzebniejsze drobiazgi: pojedyncze ubrania na zmianę używane na bieżąco, przybory do mycia, ręczniki, książki. Ktoś jakimś cudem dostał się do ich pokoju, zabrał oba plecaki i podrzucił je pod recepcję. Pokój pozostawiono zamknięty na klucz. Żadnego włamania, żadnych śladów. Andrzej z Kacprem byli w tym czasie na szlaku, a kiedy wrócili i stwierdzili brak plecaków, zrobili raban. Recepcjonistka przez cały czas utrzymywała, że klucza z recepcji nikt z całą pewnością nie brał, zresztą nikomu by go przecież nie wydała. Nie zaobserwowała także, kto i kiedy podrzucił bagaże niemal pod sam jej nos. Jest dużo gości, ciągle miała coś do roboty, nie jest w stanie wszystkiego zauważyć – tłumaczyła się. Zapytała, oczywiście, czy zawiadomić policję, jednak dało się wyczuć, że to właśnie na nich patrzy podejrzliwie. Zasugerowała nawet, że może sami wynieśli plecaki, postawili przed ladą, a potem zapomnieli je zabrać. Pytanie tylko, po co mieliby wynosić plecaki wraz z całym dobytkiem, skoro dopiero co przyjechali i nie zamierzali opuszczać pensjonatu, a wybierali się tylko na parogodzinną górską wycieczkę? Andrzej stracił wreszcie cierpliwość i opieprzył babę, zrezygnował jednak z informowania policji. Ci pewnie tak samo wzięliby ich za parę nieszkodliwie stukniętych ceprów. Nic nie zginęło ani z plecaków, ani z pokoju. Dobrze wszystko sprawdzili: nie wyglądało nawet na to, by ktoś przeszukiwał ich bagaż albo pokój. Nawet jeśli, to dowcipnisie pozostawili po sobie idealny porządek. Przez jakiś czas Andrzej podejrzewał nawet personel hotelu. Tylko – z drugiej strony – po cholere mieliby to robić? Do tego w tak głupi sposób? Z daleka chyba widać, że w ich przypadku nie mają do czynienia z bogaczami. Wszystkim swoim gościom grzebią w walizkach? Absurd. W końcu położyli na tym krzyżyk. Ostatecznie nic się strasznego nie stało. Głupi żart i tyle. Szkoda zachodu.

– Może nasze plecaki wpadły w dziurę czasoprzestrzenną, a potem z niej wypadły, tylko nie w tym miejscu, co trzeba? – sugerował rozochocony Kacper, fanatyczny wielbiciel literatury fantastycznej. Na ziemi dzieją się rzeczy, które nie śniły się filozofom, dodał do tego Andrzej, zapewne wzruszając przy tym ramionami.

Niemal to zobaczyła.

Nie podzieliła się z mężem swoimi obawami. Po co psuć im te wakacje? Chciała powiedzieć, żeby wracali jak najszybciej do domu, lecz po namyśle także i z tego zrezygnowała. Niby skąd wiadomo, gdzie będą bezpieczniejsi? Tu czy tam? Kto to może tak naprawdę przewidzieć? Wygląda na to, że prześladowcy są wszędzie.

Koło zostało wprawione w ruch – teraz trzeba je tylko zatrzymać.

Tylko w jaki sposób?...

XI DRUGA STRONA

Coraz więcej czasu spędzam przy lustrze, analizując siebie. Kogo w nim widzę? Raz gładkie, wymuskane oblicze, a innym razem... wory pod oczami, krople potu na czole, gorycz w oczach, napuchniętą i obrzmiałą twarz, nie powiem: mordę, bo to moja morda. Zwierciadlane odbicie duszy. Nie mylić z dupą. Czyżby udało im się zapędzić mnie w kozi róg? W kurzy odbył? Do narożnika? Czyżby im się to udało? Udało im się?

Taki wał.

Wszystko dlatego, że naprawdę lubię grać. Kocham to. Kocham grać ludzkimi debilami, bez przerośnięci, na żywo: z prawdziwym życiem lubię sobie pogrywać. Z cudzym na pewno. Czy z własnym? Taaa... też. Zdecydowanie, stale to robię. Gram non stop.

Za czasów mojego dzieciństwa nie było gier komputerowych. Były różne: planszowe, strategiczne, trenować można było. Trenowało się. Gównu mnie obchodziły jakieś misie i inne takie hocki-klocki – gry owszem, od zawsze. Komputerowe mnie z kolei nie interesują. Takie to sztuczne, czysta iluzja. Igraszki dla głabów, którym brakuje życia. Na co mi rządzić awatarami, kiedy mam żywe pionki do dyspozycji. Ludzkie pionki, z krwi i kości. I tym tylko jesteście: krwią, która mnie karmi, i kośćmi, którymi karmi się ziemia. Zdaje im się, że są ważni, że ich zasrany marny żywot jest komuś do czegoś potrzebny, że ma jakiś sens. Nie ma, debile! Z mojego punktu widzenia jest was tylu identycznych bałwanów, że kiedy ubędzie kilku w ciągu dnia, to świat nawet tego nie zauważy. Żadna strata. Dla nikogo, bo na wasze miejsce natychmiast znajdą się następni, identyczni, świat produkuje ich w nadmiarze. Nic, co pospolite, nie jest cenne. Kapujecie, głaby? A wy jesteście wszyscy tacy sami: brzydacy, głupi, starzejący się dzień po dniu, od samego urodzenia, bez wyrazu, prymitywni, banalni, powtarzalni, przemijający... Obrzydliwi. Tylko sracie, zrecie, rozmnażacie się, pędzicie ślepo przed siebie, do tej granicy, która tam na was wszystkich bez wyjątku czeka. Śmiejecie się z małp w zoo. One też wydają wam się identyczne. Powiem wam coś: gdyby was rozebrać do gołego i wsadzić w te same klatki, byłibyście jeszcze bardziej żałośni od nich. I tak samo nikt by was nie rozróżnił. Boście powtarzalni do bólu. Jak robaki. Choć mnie to nie boli, co najwyżej mdli.

Tacy sami, pionki w grze. Mojej grze. Jestem bóstwem, jestem waszym pieprzonym bóstwem, choć nawet o tym nie wiecie i zanosicie modły do bałwanów. Bałwany do bałwanów. Nawet jeśli zapłacze nad wami jakiś inny zasrany pionek, to i tak zaraz mu to minie, zapomni, bo już za chwilę zajmie go własny nieuchronny pęd. Ślepy pęd do gnicia. Gnicie jest waszym celem i sensem. Jedynym prawdziwym. I słusznym. No to ja wam to ułatwiam. A przy okazji czyszcę świat z gówna.

I dobrze się przy tym bawię.

Gram.

Możliwe, że to hazard. Możliwe. I w dupie z nim.

Ktoś powie, że i mnie to tak samo dotyczy? No, ktoś powie? Są chętni? Nie? Ale ja wam i tak odpowiem: nie, mnie to nie dotyczy. Bo mnie tak naprawdę nie ma. Jestem duchem. Jestem ciągiem. Całkowicie wykreowaną wartością w nieskończonym ciągu. Nie mam nazwiska, nie mam nawet prawdziwej twarzy – mam tylko lustro.

No to do lustra!

Przyznam, że tym razem nie do końca rozpoznaję siebie. Te dwa cholerne pionki za bardzo mnie ciekawią. Normalnie już by gnili w spokoju, głęboko pod ziemią. A jednak mnie intrygują. Może nawet nie tyle oni, co ich gra. Bo oni też grają, prawie jak ja, pokonują mozolnie te wszystkie kolejne przeciwności w nadziei, że na końcu ujrzą światłość. A mnie od pewnego momentu zaczęła fascynować obserwacja. Póki co mogę sobie na nią pozwolić. Dalej błądzą jak dzieci we mgle. Lecą jak ćmy do ognia. No i po co, na co wam to, debile? Czego się chcecie dowiedzieć? Prawdy?

Prawda nie istnieje.

Możecie tylko komuś zaszkodzić. Sobie albo mnie. Ponieważ mnie nie możecie zaszkodzić, zrobicie kuku sobie. Logiczne? Albo swoim pomniejszym pionkom, którymi chwilowo dysponujecie.

Chyba że – i na to stawiam – uratują was niedostatki własnego umysłu, idące w parze z inwencją twórczą. Tak, to wasza jedyna szansa, jako że... odczuwam do was dziwną i nietypową dla siebie słabość. Otóż wszystko na to wskazuje, że oceniam was nieco wyżej niż inne pionki, to znaczy: BAWIĘ SIĘ WAMI LEPIEJ. Pochłaniacie moją uwagę, powodujecie, że, kurwa, odczuwam emocje. To naprawdę ożywcze. Od dawna ich już nie czuję, może od zawsze, dopiero teraz, dzięki wam. Chyba. Oduczono mnie emocji we wczesnym dzieciństwie. Szkoda, bo są takie zabawne, takie biologiczne, powierzchowne, lechzące – jak seks...

Ano, cóż, jak mawiają: lepiej późno niż wcale. I za to nowe doświadczenie bez dwóch zdań należy wam się wdzięczność, choć to właśnie z jej powodu moja własna doskonała skóra zaczyna w lustrze przypominać waszą: marszczy się, żółknie, a ciało wiotczeje i puchnie. Rozkłada się. Upodobniam się do was, żalonych fabryk przemiany materii, ale to nic, to naturalnie tylko chwilowe, eksperyment – nic więcej. Wszystko pod kontrolą. Jak zawsze. Bez pochlebstw, drogie pionki, proszę mnie dobrze zrozumieć, nie interpretować. Żadnych stereotypów, żadnych pospolitych znaczeń. Słowo ma różne konotacje. A znaczenie sami mu nadajemy.

Nawet wy znacie elastyczność słowa. Dobrze znacie.

Już wyjaśniam tę moją słabość. Każdy gracz ma swoje pionki – na przykład szachowe – do których się przywiązuje. Na jakiś czas. Lubi je oglądać, nawet pod lupą, dotykać, obracać w palcach... bo zostały zmyślniej wystrugane, a może mają wartość sentymentalną. Oczywiście dopóki się nie znudzą. Więc mnie nie znudźcie. Bo... wiecie... gdybyście przypadkiem posunęli się za daleko, gra będzie musiała zostać zakończona. To chyba rozumiałe nawet dla największego kretyna? A zakończona gra już nikogo nie bawi. Zakończenia są nudne. Każdy koniec jest początkiem nudy. Trzeba wtedy szukać nowej rozrywki, nowej gry, by nie patrzeć do lustra. Albo patrzeć i widzieć w nim siebie tak, jak chcemy się oglądać.

Starą wyrzuca się na śmietnik.

Albo się o niej zapomina.

Módlcie się o zapomnienie.

Tak się zatem wzajemnie wciągamy w tę grę, zwodzimy, prowokujemy, zaczepiamy, robimy uniki – wasz ruch, mój ruch. Na razie daję wam fory. Mam taki kaprys. Jednak pamiętajcie: ja nigdy nie przegrywam!

Czyli już chyba wszystko jasne? No to nasze zdrowie! Moje i wasze, głąby – znajcie łaskę pańską.

Do lustra!

CZĘŚĆ TRZECIA

Dom spał. Tylko ona jedna – zmęczona minionym dniem – jeszcze czuwała. Nie mogła zasnąć. Dziecko było pod wieczór niespokojne, płakało. Nie pomagały szmatki nasączone cukrem ani grzechoczące zabawki. Zwykle zasypiało przy bursztynie. Wystarczyło zawiesić go nad łóżeczkiem dziecka, by uspokoiło się i zapadło w błogi sen, wpatrując się w ten migoczący radośnie okruch słońca. Jednak tym razem nawet bursztyn nie zadziałał. Wprost przeciwnie. Z wielkim trudem pozwoliło się w końcu utulić.

Niepokój dziecka i jej się udzielił. Stała przy oknie, w samej nocnej koszuli i narzuconej na nią ciepłej chuście, jedynie przy zapalanej świeczce – mieli tu wprawdzie doprowadzoną elektryczność, jednak prądu nie było – wyglądając w noc.

Ta również była niespokojna: wiał wiatr, gałęzie drzew w sadzie wygrażały komuś lub czemuś. Co rusz zacinął deszcz, panowały ciemności, rozświetlone jedynie światłem księżycy, wyglądającym co chwilę zza chmur pędzących dziko po niebie.

Napiła się wody, wsłuchując się w ciszę. Wszyscy już spali. Dziecko – na szczęście – też.

Położyła się, lecz dalej nie mogła usnąć. W końcu chyba zapadła w sen, zapewne tylko na chwilę, bo kiedy usłyszała te odgłosy, była otumaniona, lecz szybko wróciła jej przytomność.

Co tam się dzieje?...

Hałas. Okrzyki.

Podniosła się z łóżka i dobiegła do okna, nie zapalając świecy.

Światła pochodni. Wielu pochodni. Deszcz nadal zacinął, wiatr wzmógł się jeszcze.

Okrzyki, narastające, gniewne.

Szczekanie psów, potem wycie... wystrzały... skowyt.

Kolejne wystrzały.

Ogień.

Dlaczego skojarzył jej się nagle z blaskiem bursztynu?! Czy to znak? Czy to dlatego dziecko rozpaczliwie płakało, zamiast, jak zawsze, uśmiechnąć się na widok tej płonącej wewnętrznym blaskiem grudki – i spokojnie usnąć?

Nagle zrobiło się niemal jasno. Jednak to, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach.

Dom nadal pogrążony był w ciszy, jednak gdzieś tam, wyżej, stuknęły jakieś drzwi. Wydawało jej się, że słyszy kroki na schodach.

Wypadła na korytarz.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie, zdjeta panicznym strachem o dziecko. – Trzeba ratować dziecko... Pali się! Dom się pali! Ale tam są... tam są... ludzie... Pomocy!

Usłyszała teraz więcej odgłosów, kroków. Podniesione głosy, histeryczne, zdezorientowane, na wpół przytomne.

– Pomocy! – zawołała głośno jeszcze raz, zdjeta grozą.

XII ŚLEDZTWO

Ewa obawiała się tej wizyty, jednak niepotrzebnie. Matka stanęła na wysokości zadania i okazała się naprawdę przeuroczą gospodynią: dosłownie brylowała, zabawiała gościa błyskotliwą rozmową, iskrzyła dowcipem, częstowała a to ciastem, a to czekoladkami, a to kawą lub koniacczkiem; nawet doskonałym likierem pomarańczowym zakupionym specjalnie na tę okazję. Kotwicki co prawda od razu wymówił się od alkoholu, twierdząc żartobliwie, że tego dnia robi za kierowcę Ewy, ona sama jednak skorzystała z okazji i obie z Haliną raczyły się pomarańczówką do woli. Halina – jak zawsze elegancka, że mucha nie siada – zawojowała Jacka tak, że wodził za nią zachwyconym spojrzeniem i wprost spijał słowa z jej ust.

– A mówiłaś, że masz taką surową matkę – szepnął do Ewy z wyrzutem, gdy na chwilę zostali sami w pokoju.

Ewa tylko wzruszyła ramionami.

– Widocznie nie do końca ją znam – mruknęła.

– Od razu widać, że damę ma we krwi. I wiesz co, teraz już nie mam żadnych wątpliwości: ona jest córką hrabiego. Podobieństwo jest uderzające – dodał Jacek.

– No...

– O czym tak rozprawiacie, drogie dzieci? – przerwała im Halina, wnosząc tacę z kolejnymi ciasteczkami.

– O naszej jutrzejszej wyprawie – wyjaśnił pospiesznie dziennikarz. – Pewnie Ewa już pani wspomniała, że wybieramy się do Babich Dołów w Gdyni, gdzie służył von Neuheit?

– A właśnie. – Gospodyni ustawiła na stoliku tacę i dołała wszystkim kawy. – O tym też chciałam z wami porozmawiać...

– Tylko nie mów, że to niebezpieczna wyprawa! – rzuciła Ewa ze śmiechem. Miała już trochę dość nagle objawionej troskliwości matki.

– Nie, nie. Nie o to mi chodzi – odpowiedziała ta z wahaniem. – Ale... Coś mi się przypomniało. Może to dla was ważne...

– Tak? – Kotwicki czujnie się zainteresował, przysuwając sobie popielniczkę. Ewa sięgnęła po ciastko, starając się opanować zniecierpliwienie.

Halina kontynuowała:

– No więc tam, w pobliżu tych Babich Dołów, w jakiejś wiosce, której nazwy nie pamiętam, a nawet nie wiem, czy kiedykolwiek ją poznałam, w każdym razie gdzieś nad samym morzem, miał kiedyś chałupę mój niby to dziadek. To znaczy Marian Szulc, tak się nazywał, ojciec mojej matki, Marii Kuc. Przybranej matki – wyjaśniła Jackowi. – Czyli babki Ewy. Też przybranej. Zapamiętałam za to Babie Doły, bo brzmiały ciekawie w uszach dziecka, a do tego było tam lotnisko, latały samoloty. Zdaje się, że do dziś jest tam lotnisko wojskowe?

– Zgadza się – potwierdził Kotwicki.

– Ten dziadek był polskim chłopem, a może raczej Kaszubem, nie jestem pewna, ale uważał się za Polaka. Trudnił się rybołówstwem, jak wielu wtedy ludzi na Wybrzeżu. Pewnego dnia matka zabrała mnie do niego w odwiedzin... Pojechaliśmy tylko we dwie, bez ojca. Nie jest to miłe wspomnienie – zastrzegła. – Byłam bardzo mała, nie wiem, może miałam z cztery albo pięć lat. Tak, to musiało być jakoś tak pod koniec lat czterdziestych, niedługo po wojnie.

Zdaje się, że moja matka chciała przy tej okazji kupić od swego ojca świeże ryby, a może raczej wesprzeć go materialnie, bo nam się wtedy jako tako powodziło. Ryby mogła dostać wszędzie. No i przede wszystkim pragnęła przedstawić mnie dziadkowi. Myślała, że serce mu zmięknie, bo do tej pory byli skłócenii, praktycznie od czasu wojny nie utrzymywali kontaktów. Nie znam powodu. Może dlatego, że dziadek nie znosił komunistów, Ruskich, Niemców, Żydów, bogatych, partyjnych, miastowych – nikogo nie znosił. Byłoby to nawet zrozumiałe – znak czasów – ale on to zdaje się przenosił niemal na całą ludzkość. Strzelałby do każdego obcego. A mama wyszła przeciw za obcego, w dodatku „czerwonego”. Ten dzień pamiętam doskonale, nigdy go nie zapomnę. Dla mnie była to prawdziwa wielka podróż... Niezbyt często gdzieś jeździliśmy w tamtych czasach. Pamiętam, że czułam się bardzo podekscytowana, strasznie chciałam poznać dziadka i popływać z nim kutrem po morzu. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie był moim prawdziwym dziadkiem...

Halina przerwała na chwilę, by napić się herbaty, a być może także opanować wzruszenie. Przy okazji dołała córce likieru z pomarańczy. Goście słuchali w milczeniu, a teraz nie mogli doczekać się dalszego ciągu. Nawet Ewa poczuła, że ta opowieść ma znaczenie.

– I co z tym dziadkiem? – Nie wytrzymała w końcu. – Chyba nie strzelał do was?

Matka uśmiechnęła się smutno.

– Nie, ale prawie – wyznała. – Wygonił nas. Strasznie krzyczał i przeklinał. Wrzeszczał, aż się opluł. Dosłownie. Wyzywał matkę od najgorszych, kazał jej się wynosić razem z tym parszywym bachorem... z bękartem. Nie rozumiałam słowa, ale utkwiło mi w pamięci. Nawet zamierzył się na mamę, grożąc, że mnie kopnie, jeśli szybko nie znikniemy mu z oczu. Chyba był pijany. Płakałam. Matka szybko mnie stamtąd zabrała...

Ewa z niedowierzaniem kręciła głową.

– Potwór – wyszeptwała ze zgrozą.

– Też tak wtedy uważałam – zgodziła się Halina. – Teraz myślę, że życie go nie oszczędziło.

– A tam, nie oszczędziło! Frustrat. Zwyrondniatec. Degenerat.

– Owszem, ale to były takie czasy, a prości ludzie nie potrafili inaczej załatwiać swoich rodzinnych porachunków.

– I nadal nie wiesz, o co chodziło?

– Nie mam bladego pojęcia. – Pokręciła głową. – Matka nie zwierzała mi się z tego.

W ogóle nie lubiła mówić o swojej rodzinie, o swoim życiu sprzed czasów, kiedy poznała ojca. To znaczy, swego męża, dziadka Antoniego. Tak jakby jej życie zaczęło się dopiero po wojnie. Chyba go bardzo kochała. O czasach wojny lub sprzed wojny zaledwie przebąkiwała, najchętniej zmieniając temat.

– Ciekawe. – Córka się zamyśliła. – Same tajemnice w tej rodzinie...

Halina wzruszyła ramionami.

– Pewnie jak w każdej.

W tym momencie wtrącił się Kotwicki:

– Nie w każdej, w mojej na przykład nie ma i nigdy nie było niczego tajemniczego.

Czasem aż żałuję – dorzucił z uśmiechem.

– Po tym nieprzyjemnym przeżyciu nie mogłam się uspokoić. – Matka wróciła do swojej historii. – Przez cały czas płakałam. Wróciłyśmy do Gdyni wynajętą furmanką i mama zabrała mnie na lody i oranżadę do jakiejś cukierni. Dopiero tam się trochę uspokoiłam. Chyba każde dziecko da się przekupić słodyczami. – Zaśmiała się cicho. – Potem pierwszym pociągami wróciłyśmy do Gdańska. Nigdy więcej nie poruszało się u nas w domu tego tematu. Ani ona, ani ja nie wracałyśmy do tego dnia, nawet w przypadkowej rozmowie. Nawet w myślach nie

chciałam tam wrócić. Więcej też nie usłyszałam ani jednego słowa o dziadku. Bo matka matki już od dawna nie żyła. Nie wiem, kiedy dziadek zmarł, nie byliśmy na pogrzebie. Nie mam pojęcia, co stało się z jego chatą, już wtedy była mocno podupała, brudna, krzywa, na wpół zrujnowana. Teraz już pewnie zapadła się pod ziemię. Zresztą i tak bym jej nie rozpoznała, tam się musiało wszystko zmienić, nawet wsi bym nie rozpoznała.

– Tam jest chyba tylko jedna wieś w pobliżu. Pierwoszyno. Zajrzymy do niej – wtrącił Jacek.

– Może to tam. – Halina wzruszyła ramionami. – Pamiętam jeszcze, że ten furman, który nas wioził, mówił matce, że stary Szulc pije na potęgę i już prawie nie wypływa w morze, więc klepie biedę i się awanturuje. Zdaje się, że sąsiedzi też go nie kochali – dodała.

– Trudno im się dziwić – skwitowała Ewa.

I nagle zeszytniała. Coś ją tknęło.

– Słuchajcie – odezwała się ożywionym głosem. – Czy myślicie, że to przypadek?

– Ale co?

– No że w tej torpedowni w Babich Dołach służył mości pan hrabia, a rzut beretem od niej stała sobie, bądź co bądź, rodzinna chałupa babki Marii?...

Wszyscy zamilkli.

– Faktycznie – przyznała Halina, zapalając papierosa.

– Coś się może za tym kryć. Dziwny zbieg okoliczności – dorzucił Jacek.

– Może to dziadek Marian zatłukł hrabiego? – podchwyciła Ewa.

Matka się skrzywiła.

– Ale po co? Bo nienawdził Niemców? Wtedy każdy ich nienawdził.

– Może... może w grę wchodziły jakieś polityczne sprawy? Wojskowe?

– Romantyczka z ciebie, Ewka! – Kotwicki się zaśmiał. – I co, teraz ściga nas z za grobu duch dziadka Mariana czy może raczej jakiś nieznany potomek hrabiego?

– Nie wierzę w takie bajki – poparła go Halina. – Ty nie rozumiesz. Taki ubogi polski rybak to była dla niemieckiego arystokraty, i na dodatek oficera, zwykła wesz! Nic ich nie mogło łączyć, żadne sprawy.

– Nawet gdy wojna już się praktycznie skończyła?

Jacek dopił kawę i wstał.

– Ewa, daj już spokój, nie drąż tego teraz. Żal się ruszyć, ale czas na nas. Obowiązki wzywają. Muszę jeszcze zajrzeć do redakcji, gdy już cię odwiozę. Dziękujemy pani pięknie za gościnę, pani Halino, bardzo się cieszę, że mogłem panią wreszcie poznać. A co do tamtego... nie ma sensu w tej chwili spekulować, spróbujmy najpierw sprawdzić ile się da w źródłach i zastanowimy się nad tym później, już na spokojnie – uciał. – Może uda nam się zdobyć więcej danych. Póki co jutro jedziemy do Babich Dołów, rozejrzemy się tam na miejscu...

Halina również wstała. Sprawiała wrażenie lekko zmieszanej, a przecież niezbyt często traciła rezon. Po chwili wahania, jakby próbując coś w sobie przełamać, zapytała:

– Czy mogę jechać z wami? Zabierzecie mnie?

* * *

– Jedziemy od razu do Pierwoszyna – zdecydował Kotwicki. – Bo to tam najprawdopodobniej mieszkał pani dziadek, a z plaży też będziemy doskonale widzieć torpedownię. Jak myślicie? W zasadzie na co nam potrzebne same Babie Doły...

– Pewnie – przytaknęła Ewa. – Mnie tam chodzi głównie o torpedownię.

Halina się nie odzywała, przyglądała się tylko uważnie okolicy.

– I co, rozpoznajesz coś? – zapytała córka.

– Nic, prawdę mówiąc. To musiało być gdzieś tutaj, ale wszystko się od tamtego czasu pozmieniało...

– Może skojarzy pani samą wieś – odezwał się Jacek. – Choć ona też się pewnie zmieniła.

Zaparkowali na parkingu przy kościele, gdzie stało już kilka samochodów. Zaraz po nich zajechało jeszcze parę. Kotwicki miał rację – miejscowość była jak nowa, zabudowania w większości współczesne. Nawet kościół.

– Koszmarek. – Ewa westchnęła.

Halina rozglądała się wokół siebie, kręcąc głową. Wieś sprawiała wrażenie schludnej, raczej zadbanej, ale przeciętnej. Niczym się nie wyróżniała – ot, typowa niewielka miejscowość jakich wiele. Dookoła płasko, monotennie i tylko bliskość morza oraz plaży stanowiła plus, ponieważ przyciągała turystów, którzy woleli spokojniejsze miejsca od wielkich kurortów, jak na przykład Sopot.

Próbowali wypytywać ludzi, lecz nikt nie pamiętał ani opisywanych przez nich chat dawnych rybaków, ani Mariana Szulca. Najczęściej zresztą trafiali na letników. Nawet sprzedawczyni w sklepie spożywczym bezradnie rozłożyła ręce. Były tu kiedyś stare chałupy, ale dawno już je wyburzono, a w ich miejsce wybudowano nowe domy – wyjaśniła. Teraz już prawie nie ma rybaków, miejscowość żyje głównie z wczasowiczów. Jak wszędzie nad morzem. Inne czasy nastały.

– A co do tego nazwiska, Szulc... – dodała po chwili namysłu ekspedientka. – Coś mi się może i obilo o uszy, że żyli tu kiedyś tacy, ale to musiało być już strasznie dawno temu... Ja takich w każdym razie nie pamiętam, a swoje lata mam. Ale może na cmentarzu państwo się rozejrzą? To niedaleko jest, w Kosakowie...

Halina machnęła ręką.

– Dziękujemy, ale cmentarze nas nie interesują. Tylko wspomnienia. Nie będziemy składać kwiatów.

Udali się więc od razu w stronę pobliskiego lasu, skąd – jak im powiedziano – dostaną się prosto na plażę.

– To miejsce jakby mi coś przypominało – odezwała się Halina. – Szłyśmy chyba z matką podobną ścieżką, tylko wtedy była całkiem pusta. Jeszcze zanim zaprowadziła mnie do dziadka. Pewnie sama wołała odwlec ten moment, biedna... Pamiętam, że matka bała się żołnierzy, ale ja chciałam koniecznie zobaczyć morze, myślałam, że będzie inne niż u nas, w Jelitkowie, gdzie najczęściej jeździliśmy z tatą się kąpać. Ale nie jestem pewna. Może mi się mylić. Dojście do plaży wszędzie wygląda podobnie.

Wzruszyła ramionami, nieco zasapana. Zwolnili kroku, w końcu mogli sobie pozwolić na mały spacer.

Plaża była pełna, choć niezatłoczona, prawdopodobnie z powodu pory dnia: dochodziła

już czwarta po południu. Torpedownię zobaczyli z daleka, po prawej, całkiem dobrze widoczną, niemal upiorną na tle lekko zamglonego nieba i wody: zanurzona w morzu zrujnowana betonowa twierdza. Jednak by przyjrzeć jej się z bliższa, musieli przespacerować się dalej plażą w stronę kąpieliska w Babich Dołach.

Tu robiła jeszcze większe wrażenie.

– Straszna... – zauważyła Ewa.

– Dawniej z łodem łączyło ją molo – wyjaśnił Jacek, pstrykając zdjęcia telefonem komórkowym. Ewa także wyjęła swój aparat i zrobiła kilka ujęć z różnej perspektywy. Chciała pokazać złowrogi dramatyzm tego miejsca, choć – jak uznała – lepiej by się to udało w pochmurny jesienny dzień. Na przykład w czasie sztormu.

Zawrócili, niosąc w rękach swoje buty. Ewa zanurzyła stopy w wodzie. Wcale nie była ciepła, a mimo to dużo ludzi zażywało kąpiele, dookoła piszczały dzieci, nagie ciała smażyły się w słońcu na rozłożonych w piasku kocach, inne chroniły się pod parasolami.

– Przypominam sobie to straszydło. I do czego była im potrzebna ta wieża? – zainteresowała się Halina.

– Niemcy testowali tam w czasie wojny torpedy.

– A teraz?

– Teraz nic. – Wzruszył ramionami. – Po prostu stoi opuszczona...

– Mogliby to odbudować i urządzić tam hotel.

– I pewnie kiedyś tak się stanie – wtrąciła się Ewa. – Jak ze wszystkim. Więc to tu służył nasz szlachetny przodek – dodała. – Ponure miejsce. I pewnie dziadek Marian też gdzieś stąd wypływał na ryby...

Byli już z powrotem na plaży w Pierwoszynie.

– Ale nie wtedy – odparł stanowczo Kotwicki. – To był wojskowy teren, a do tego miny i inne diabelstwo, nawet jeszcze długo po wojnie. Ba, do dziś pewnie nie wszystko uprzątnięto. Być może zresztą dlatego zaczął pić. Nie było mu pewnie lekko, nie był już młody, żeby się imać innych zajęć. À propos, zobaczcie, w tamtej budce sprzedają świeże ryby. – Jacek wskazał budynek opatrzony stosownym napisem. – Zajrzymy? Może tam ktoś coś wie o dawnych rybakach z tych okolic?

Ich nadzieje jednak okazały się płonne. W sklepiku uwijali się młodzi ludzie, ogonek po ryby był spory. Halina uparła się, że też coś kupi i zaprosi ich potem na obiad, nie słuchając Ewy, która niecierpliwiła się, tłumacząc, że w tym upale nie dowiozą tych ryb do Gdańska. Też coś – pomstowała w duchu. – Znalazła się kucharka... Przecież ona nawet nie będzie wiedziała, co zrobić z tymi rybami! Na obiady chodzi do baru. Nie znosi stać przy garach! A teraz się nagle zaparła...

– Bez przesady. – Kotwicki stanął w obronie Haliny. – Nie jest już tak gorąco, a to nie aż tak daleko. Ryby wytrzymają.

– I nie daję wam to nic a nic do myślenia? Że dwóch bohaterów naszego dramatu łączy to samo miejsce? – uparcie pytała Ewa, zła, że nikt jej nie traktuje serio.

Dziennikarz zapalił papierosa.

– Daje. To kolejny trop do wyjaśnienia. – Uśmiechnął się. – To co robimy? Chcecie tu sobie posiedzieć, wracamy, czy zajedziemy jeszcze do innych wiosek w pobliżu?

– A są inne?

– Są, nieliczne, ale znalazłem jakieś na mapie.

– Nie ma sensu – zdecydowała Halina. – Wracamy, jeśli mam dowieźć te ryby do domu zdatne do spożycia. Zresztą wszędzie byłaby podobna sytuacja. Moim zdaniem to ta wieś. Tylko co z tego. Dziadka i tak nikt nie pamięta. Zresztą to dobrze. Nie zależy mi. To był zwykły stary

dupek.

Córka zerknęła na nią zaskoczona – matka zwykle nie używała podobnych wyrażen.

Powoli wrócili do samochodu. Już na szosie Ewa odezwała się nagle:

– Ten samochód, który za nami jedzie, stał na parkingu. Szary ford. Wjechał tam zaraz po

nas.

– I co z tego? – zapytał Jacek, zerkając we wsteczne lusterko. – Może też wraca z plaży?

– Albo z kościoła? – dorzuciła złośliwie.

– Kto wie. Na przykład. Ma prawo tędy jechać.

– Nie wyprzedza nas, choć wleczesz się jak przysłowiowy ślimak.

– Ewa, bez obsesji...

Ford jechał za nimi przez całą obwodnicę. Kotwicki zmiękł, gdy zatrzymał się na tej samej stacji benzynowej, a zaraz potem znów siedział im na ogonie. Teraz i on zaniepokojony co chwilę zaglądał w lusterko. Dopiero na wysokości Wrzeszcza, gdy wjechali w korek, zniknął im z oczu.

* * *

– Jedzie za nami szary ford – zakomunikowała. – Od samego Gdańska.

– Ewa...

Byli w drodze do Nowiny, Kotwicki wypatrywał właśnie drogowskazu. Gdzieś tu, od zalesionej głównej szosy, powinna odchodzić prowadząca ostro pod górę uliczka, prowadząca do tej miejscowości.

– Mówię ci, co widzę.

– Szarych fordów jest mnóstwo.

– I wszystkie za nami jeżdżą? Nie widzisz go? To, do cholery, popatrz! Zwalnia, kiedy my zwalniamy. Za każdym razem! Cały czas go obserwuję.

– Widzę. Dostaniesz skrętu szyi. Zaraz zjeżdżamy z głównej szosy, zobaczymy, co robi.

To raczej rzadko uczęszczana droga.

Szary samochód na moment zwolnił, ale pojechał dalej prosto.

– No widzisz. – Kotwicki się uśmiechnął.

Ewa nie odpowiedziała. Była pewna, że to ten sam wóz, który towarzyszył im, gdy wracali z Pierwoszyna.

– Zapamiętałaś rejestrację?

– Nie dałam rady odczytać. Pada. A ja jestem ślepa. Myślałam, że ty widzisz lepiej, jesteś młodszy.

Droga pięła się w górę zakosami. Minęli lasek i ogródki działkowe, po chwili zobaczyli pierwsze domy. Osada była nieduża, lecz pełna uroku, otoczona dookoła lasem. I chyba bogata. Wskazywały na to nowe, eleganckie posesje w dużych ogrodach, a te starsze wyglądały na starannie i w duchu rustykalnym odnowione.

– To tu. Teraz trzeba wypatrywać posesji sołtysa. To kobieta, bardzo miła. U niej możemy przenocować, przygotowała dla nas pokój. Koniecznie chce nas ugościć i rano oprowadzić po wsi. Dziś już za późno, do tego leje. Uwaga! Numer trzynastie.

– Jeden pokój?

Jacek parsknął.

– A po co nam więcej? Chrapiesz?

– Chrapię.

– Przeżyję.

Zatrzymali się pod bramą niskiego, lecz rozłożystego ceglanego domu, położonego w głębi tonącego w kwiatach ogrodu. Na posesji widniała tabliczka z numerem trzynastym i napisem: SOŁTYS. Jacek zadzwonił, brama otworzyła się zdalnie, wjechali. Wyszła po nich szczupła kobieta w średnim wieku, w dżinsach, z popielatoblond włosami uczesany w grubą warkocz, po pięćdziesiątce, może nawet raczej bliżej sześćdziesiątki. Za nią wybiegł mały, rozbrykany foksterier.

– Żabka! Żabka, do nogi! – zawołała kobieta.

Powitanie było serdeczne, choć nie wylewne. Pani sołtys Krystyna Pawlicka – mimo drobnej postury – sprawiała wrażenie osoby zdecydowanej i pewnej siebie. Inteligentnej, wykształconej. I do tego atrakcyjnej. To z pewnością nie była prosta chłopka. Zaprowadziła ich do środka, ochraniając parasolem, wyjaśniła, że mąż już czeka z kolacją. Rzeczywiście: postawny, misiowaty, mrukliwy mężczyzna nakładał właśnie upieczone w kominku kielbaski na

duże talerze. Zaproponował do nich piwo – zgodzili się ochoczo.

– Żona jest sołtysiem, ona tu rządzi, ja robię za kucharza i ogrodnika, ale cóż, lubię to. – Uśmiechnął się życzliwie, nalewając złotego napoju do wysokich szklanek.

Posiłek minął w miłej atmosferze, rozmowa była luźna. Jacek opowiedział w skrócie, co ich tu sprowadza i jakich informacji oczekują.

– Tak, wspominał pan przez telefon – kiwnęła głową pani sołtys. – Powiem państwu szczerze, że choć moja rodzina mieszka tu już od wczesnych lat pięćdziesiątych, to w zasadzie niewiele mi wiadomo o historii wsi. Tyle, co sama zdołałam ustalić na potrzeby urzędu, lecz także z ciekawości. Czasem urządzamy tu takie wieczornice lokalne, staramy się związać mieszkańców z tym miejscem, z okolicą. Niedużo tego. A to z tego powodu, że praktycznie od dawna nie ma tu już autochtonów. Wszyscy wyjechali pod koniec wojny lub zostali wypędzeni, a reszta – niedobitki – wkrótce po wojnie. To byli głównie Niemcy, wieś należała do niemieckiego majątku leżącego w granicach Wolnego Miasta Gdańska. Na ich miejsce wprowadzili się przesiedleńcy ze wschodu. Repatrianci. A od lat pięćdziesiątych mamy tu już głównie ludzi z miasta, z Gdańska, Gdyni... Przyciąga ich spokój i świeże powietrze. My również zamieszkaliśmy tu dopiero po śmierci moich rodziców, dziesięć lat temu. Odziedziczyłam po nich ten dom, wyremontowaliśmy go... i nie żałujemy. Wcześniej mieszkaliśmy z mężem w Pruszczu Gdańskim. Dzieci dorosły, wyfrunęły z gniazda, mogliśmy sobie na to pozwolić. Można powiedzieć, że wróciłam na stare śmieci...

– I zrobiła karierę – dorzucił jej mąż z czułym uśmiechem.

– No pewnie, prawie jak w parlamencie! – Zaśmiała się w odpowiedzi. – Mąż ma poczucie humoru – dodała. – Przygotowałam dla państwa dokumenty, wszystko, co udało mi się zebrać, trzymam je w biurze. Specjalnie zrobiłam dziś w nich porządek. Jutro rano je wspólnie przejrzymy, wyjaśnię, co będę w stanie, a potem będziecie państwo mogli porozmawiać sobie z mieszkańcami. Nikt z nich niczego nie pamięta z czasów, które państwa interesują, ale być może znają jakieś ploteczki, jak to ludzie. Zawsze jest tak, że ktoś coś słyszał, choć nie we wszystko powinno się wierzyć. Do tego mieszka tu emerytowana bibliotekarka, prywatnie zresztą moja przyjaciółka. Wiem, że interesuje ją historia regionu, zawodowo. W gminnej bibliotece utworzyła nawet specjalny dział z literaturą regionalną, jeszcze kiedy pracowała na pełen etat jako kierowniczką, teraz zresztą nadal pracuje, ale już w niepełnym wymiarze godzin. Sama czasem korzystam z jej wiedzy. To zresztą jedyna osoba z miejscowymi korzeniami. Nie pochodzi wprawdzie z tej wsi, lecz z sąsiedniej. Tutaj zamieszkała dopiero po roku dwutysięcznym. Myślę, że może być pomocna.

– Świetnie. – Dziennikarz się ucieszył. – Z pewnością! A czy nie moglibyśmy jeszcze dziś zerknąć na te papiery, które są w pani posiadaniu?

– Sądziłam, że dziś spędzimy miły wieczór przy kominku. Tak bardziej prywatnie, żeby miło zapamiętali państwo pobyt u nas. Naprawdę, proszę się nie spodziewać za wiele po tych dokumentach. Są głównie powojenne plus trochę moich notatek, informacji zebranych tu i ówdzie...

Widząc rozczarowaną minę sympatycznej kobiety, Ewa zareagowała:

– Jacku, dziś już lepiej dajmy spokój, szczerze mówiąc jestem trochę zmęczona, a pani sołtys pewnie też. Już późno. Posiedźmy sobie, tak tu sympatycznie, kominek w deszczowy dzień to fantastyczna sprawa. Nic nas przecież nie goni, jutro też jest dzień.

Jacek, chcąc nie chcąc, zgodził się i reszta wieczoru upłynęła kameralnie, niemal rodzinie, na luźnych pogawędkach. Około północy pani Krystyna zaprowadziła ich do drugiej części domu, do przygotowanego dla nich przytulnego pokoju z dwoma łózkami odgrodzonymi od siebie przepierzeniem. Zaraz obok mieściła się mała łazienka. Gospodarze – jak wyjaśniła –

zajmowali piętorko. A to jest pokój gościnny, śpią w nim głównie dzieci, gdy zjadą na wakacje. W ciągu roku najmłodsza córka studiuje, do tego aż w Warszawie, a syn jest już żonaty, mieszka i pracuje w Gdańsku. Pani sołtys obiecała, że obudzi ich na śniadanie, po czym pójdą razem do biura, by przejrzyć papiery.

Pożegnali się i po chwili zostali w pokoju sami. Choć naprawdę zrobiło się późno, nie chcieli im się jeszcze spać. Jacek mrugnął i wyjął z plecaczka butelkę wina oraz dwie plastikowe turystyczne szklaneczki.

– Napijemy się przed snem?

– Nie lepiej wręczyć ją naszym gospodarzom?

– Mam drugą. A chyba mamy co oblewać. Czuję, że jutro się czegoś wreszcie dowiemy.

Może to będzie przełom w naszym śledztwie?

– Przydałoby się wreszcie – mruknęła. – Liczę na tę bibliotekarkę. No to dawaj. Jak szaleć, to szaleć...

– Słuchaj... – Odważyła się wreszcie po paru kieliszkach niezłego wytrawnego wina oraz niezobowiązującej dyskusji na temat rozmaitych kwestii dotyczących śledztwa. – Jak to było z twoim związkiem z Robertem? Jak się poznaliście, jak zostaliście parą? Sorry, że tak wypytuję, ale... interesuje mnie to. Tak po prostu. Po tych wszystkich wspólnych przejściach czuję, jakbyś należał do naszej rodziny. – Zachichotała, w głowie jej już trochę szumiało. – Choć nie wiem, czy to komplement...

Jacek pokręcił głową z uśmiechem:

– Też nie wiem. Sami dziwacy w tej rodzinie... więc chyba do was pasuję.

– Pewnie. Pasujesz, pasujesz. Jak ułał. No to zwierz się w końcu, co ci szkodzi? Bardzo polubiłam Roberta i żałuję, że stało się to, co się stało. Że nie mogłam poznać go lepiej.

– Wiesz, nie ma tu za wiele do opowiadania. – Dolał im wina. – Wbrew pozorom związki między homoseksualistami są podobne jak te pomiędzy hetero. A nasz był bardzo... konwencjonalny. Może nawet konserwatywny. – Uśmiechnął się znowu z zadumą. – Poznaliśmy się w pracy. To znaczy, w redakcji. Robert był doświadczonym dziennikarzem, już wtedy poważanym i podziwianym, a ja początkującym gnojkiem. Wziął mnie pod swoje skrzydła. Zresztą na życzenie naczelnego – miał mnie wprowadzić w życie redakcyjne i podszkolić w zawodzie. Na początku nawet niespecjalnie przypadliśmy sobie do gustu. Kłóciliśmy się, irtowałem go, rozumiesz... byłem młody, miałem własne wizje, nie zawsze mądre. Ale muszę przyznać, że nigdy nie podcinał mi skrzydeł! Tylko naprowadzał. Nie wiem, jak doszło do tego, że... że zakochaliśmy się w sobie. Tak po prostu samo wyszło. Stopniowo. Przecież z początku nawet nie wiedzieliśmy, że łączy nas ta sama orientacja seksualna. Choć podobno geje zawsze się rozpoznają... Otóż nie zawsze. To kolejny mit. Najpierw zaprzyjaźniliśmy się, coraz częściej spotykaliśmy się na gruncie prywatnym, mogłem powierzyć mu wszystko: każdy dylemat, myśl, kłopot. Mam nadzieję, że działało to też w drugą stronę. Pociąg fizyczny przyszedł później, znacznie później. Aż w końcu zostaliśmy parą. Wtedy zamieszkaliśmy razem, w wynajętej kanciapie, gdzie nikt nas nie znał. Obawiałem się, że w redakcji robi się z tego powodu szum... ale się nie zrobił. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo. Wszyscy nas raczej zaakceptowali. Najważniejsze, że w międzyczasie stałem się lepszym dziennikarzem. W ogóle stałem się dziennikarzem, dzięki Robertowi. I nie tylko, cholera, dzięki niemu stałem się także... po prostu... lepszym, szczęśliwszym człowiekiem... – Lekko załamał mu się głos.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

– Wiem. Widzisz, nie było mi łatwo w życiu. Bardzo długo nawet najbliżsi nie akceptowali tego, kim jestem. Czuję się gorszy, wstydzę się siebie. Zresztą możesz to sobie

wyobrazić. Dopiero on sprawił, że zacząłem czuć się normalnie. Jak człowiek. Naprawdę nasz związek był konwencjonalny: byliśmy sobie bliscy i wierni. Uczciwi wobec siebie. Zawsze. Był dla mnie... był po prostu najważniejszym człowiekiem na świecie. Drugiego takiego nie ma. I raczej nie będzie.

Ewa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– To piękne – dodała.

– Tak.

– Teraz rozumiem, czemu nie odpuszczasz.

– Tak, ale to nie tylko dlatego. Już nie. Naprawdę wciągnęła mnie ta historia. A jak było z tobą?

– Ze mną? To znaczy?

– No, z twoim małżeństwem.

– A, rozumiem! Myślałam, że pytasz o historię. Cóż. – Wzruszyła ramionami. – Z nami też było konwencjonalnie. Mamy jeszcze wino? Dolejesz?...

– Pewnie. – Kotwicki ponownie napełnił szklaneczki. Nie ponaglał jej.

– No więc... – kontynuowała – poznaliśmy się na studiach, to znaczy na imprezie studenckiej. Konkretnie był to sylwester w Kwadratowej. Znasz na pewno, chodzi o ten klub polibudy, ale my z uniwerku też się załapaliśmy. Przyszedł tam z grupą przyjaciół, ja tak samo. Wpadliśmy sobie w oko, przetańczyliśmy całą noc... Wypiliśmy morze szampana. Potem odprowadził mnie do domu. Blisko miałam. – Uśmiechnęła się. – Aż żałowałam. Nie był jakiś szczególnie zabójczo przystojny, ale... coś w sobie miał. Inny niż reszta, spokojny, poważny, ale też z poczuciem humoru. Ciepły, opiekuńczy. A ja, niby taka twardzielka, potrzebowałam na kimś się oprzeć. No i się oparłam! – Roześmiała się. – To znaczy, opierałam się do tej pory. Bo ostatnio...

– Coś nie tak?

Zawahala się.

– Nie, nie to. Kocham go bardzo, on mnie chyba też. Mamy syna, ufamy sobie, jesteśmy dobrym małżeństwem. Tylko czasem mi się zdaje, że teraz to on się bardziej opiera na mnie niż ja na nim... Owszem, pracuje, zarabia, troszczy się o nas, docenia też moją pracę. Ale kiedy robię coś... coś tylko własnego... jak choćby z tym naszym śledztwem... to buntuje się, przeszkadza, zachowuje się czasem jak dziecko...

– Dziwisz się? Jest zazdrosny. Czuje, że mu się wymykasz. Coś, co uważał za pewnik, nagle przestało nim być. Przynajmniej on się tego obawia.

Ewa przyjrzała się Jackowi zdumiona.

– Poważnie tak myślisz? Znasz to? Też tak mieliście z Robertem?

– Nie. – Pokręcił głową. – Z Robertem akurat nie. Nas łączył ten sam zawód, pod tym względem rozumieliśmy się bez gadania. Ale z takiego powodu rozwalił mi się poprzedni związek. Też jeszcze z okresu studenckiego. Nieważne. Fakt, że byliśmy za młodzi, zbyt niedoświadczeni i w gorącej wodzie kąpani. Nie przetrwało, no i akurat dobrze, bo wtedy pewnie nie byłbym z Robertem. Ale znam to, więc na wszelki wypadek cię uczulam: lepiej nie lekcewać uczuć Andrzeja. Nawet jeśli wydają ci się głupie. W tak długim związku jak wasz nie warto ryzykować.

– To co mam robić?

– Poświęć mu więcej uwagi. Tak, żeby nie czuł się odstawiony na boczny tor. Angażuj go, włącz w swoje sprawy, pytaj o zdanie, niech się poczuje potrzebny. Widzisz, ty jesteś silną i niezależną osobą, a facet czasem ma potrzebę dominacji. W sensie opiekuńczości właśnie. Taki atawizm. – Zaśmiał się. – Ale trzeba mu to dać, choćby nawet tylko złudzenie. Wiem, że ty nigdy

nie będziesz potulną gąską. Zresztą pewnie wcale by tego nie chciał. Ale kiedy zauważysz, że czuje się niedowartościowany, stłamszony... niedoceniony... daj mu tę iluzję.

– Spróbuję – odpowiedziała po chwili namysłu. – Może i masz rację.

Otworzyła okno na oścież, zapalili papierosa. W pokoju była popielniczka.

– Wpadną ćmy – zauważył.

– Co tam ćmy! Upiłeś mnie.

– To co, kończymy imprezę? Jutro trzeba rano wstać. Czeka nas ciekawy dzień...

– Kończymy, czas się przespać. A powiedz mi jeszcze, jak postępować z synem. Fajny jest, ale to trudny dzieciak. Zbuntowany, beztroski, zamknięty w sobie, czasem mi się zdaje, że... pozbawiony empatii.

– Jak one wszystkie, dzisiejsze dzieciaki. – Jacek zgasił papierosa i rzucił na jedno z łóżek swój śpiwór. Ewa zadowolona się pościelą gospodarzy. – Na pewno nie jest pozbawiony empatii. Nie, mając takich rodziców. Udaje. Taka poza, rozumiesz? Oni trzymają fason. Jeszcze parę lat i sama zobaczysz. Nie poznasz własnego syna.

Zatrzasnęła okno.

– Dzięki. Nieraz mi się zdaje, że on jest najbardziej podobny... do Haliny! –

Zachichotała.

Umyli się szybko w małej łazience na korytarzu i po chwili już spali głęboko, tak, że kiedy pani Krystyna obudziła ich rano dyskretnym stukaniem do drzwi, myśleli, że zasnęli dopiero przed chwilą.

* * *

Biuro pani sołtys mieściło się w przybudówce, było bardzo małe i raczej prowizoryczne, panował w nim jednak idealny ład. Wszystko lśniło, biurko uporządkowane, podobnie jak teczki z dokumentami na drewnianej półce pod oknem. Sterylnie czysto – a jednak panowała tu atmosfera pracy. Ewie się spodobało. Pani Krystyna poczęstowała ich najpierw śniadaniem – mocna kawa, konfitura własnej roboty oraz jajka od sąsiadów – a tutaj, w kantorku, herbatą. Pozwoliła też przejrzeć wszystkie papiery, objaśniając przy okazji szczegóły. Opowiadała barwnie i z pasją, lecz nie dowiedzieli się w zasadzie niczego nowego. Wręcz przeciwnie, sami podali pani sołtys nazwisko przedwojennych właścicieli majątku, bo tutaj najwyraźniej nikt go nie znał. Wyszło to przy okazji omawiania nazwy wsi: Nowina, Nowinki. Pierwotnie Nowinki, później zmieniona na liczbę pojedynczą bez zdrobnienia, bo – jak przypuszczali – miejscowość się rozrosła. Odwrotnie niż w przypadku Babich Dołów – zauważył Kotwicki – których pierwotna nazwa brzmiała: Babi Dół, od nazwy wąwozu. Dopiero później zyskała liczbę mnogą. Tu na odwrót. Mieszkańcy Nowiny znali nawet niemiecką nazwę – Neuheit – nie wiedzieli jednak, że pochodzi od nazwiska dawnych posiadaczy. Dopiero od nich pani Krystyna dowiedziała się skróconej wersji historii hrabiego von Neuheit. Skrzętnie zapisała sobie wszystko, co usłyszała, zawiedziona, że nie potrafi im pomóc w wyjaśnieniu losów rodziny. Według posiadanych przez nią informacji wszyscy Niemcy wyjechali stąd zaraz po wojnie, ewentualnie krótko po jej zakończeniu. Niedobitków wypędzono, jak wszędzie. Takie były realia. Bo mieszkali tu głównie Niemcy, trochę Polaków, Kaszubi raczej w sąsiednich miejscowościach, dokładnie nie wiadomo. Opuszczony dwór spalili ponoć Rosjanie. Oczywiście, chętnie pokaże im miejsce, gdzie stał. Potem przez długie lata mieścił się tam PGR, zostały po nim jeszcze na wpół zrujnowane baraki i zabudowania gospodarcze. Teraz tylko wiatr w nich hula i od czasu do czasu bezdomni, pijana młodzież i dziczące zwierzęta, stwierdziła pani sołtys. Chcieliby się wreszcie pozbyć tej wątpliwej ozdoby, ale jest kłopot prawny ze sprzedażą ziemi. Grunty po państwowym gospodarstwie rolnym oficjalnie przejęła gmina, potem jednak, po wejściu Polski do Unii Europejskiej, prawo się zmieniło, no i wtedy wypłynęła sprawa nieustalonych spadkobierców. Chodziło o zapisy na hipotecę – w księdze wieczystej. Sytuacja nadal jest niejasna, a szkoda, bo miało tu powstać eleganckie osiedle domków jednorodzinnych albo ośrodek sportowy. A może nawet jedno i drugie. Wszystko się jednak odwleka, budowa miała już ruszyć, lecz została wstrzymana do czasu wyjaśnienia sprawy. Ładnych kilka lat temu. I nie wiadomo, na jak długo, bo dalej nic się nie dzieje. – Westchnęła.

– To może przeszliby się tam państwo teraz? Ja niestety nie mogę, obowiązki wzywają, ale mąż chętnie państwa zaprowadzi i oprowadzi – zaproponowała. – A potem moglibyście porozmawiać z resztą mieszkańców. Zwłaszcza z tymi starszymi. Może akurat ktoś coś gdzieś tam usłyszał? Muszę przyznać, że i mnie ta historia coraz bardziej intryguje... Szczególnie po tym, czego się od państwa dowiedziałam. To naprawdę wstyd, że nie znamy przeszłości naszej wsi. W końcu to mało ważne, czy była ona polska, czy niemiecka – tak się tu, na tych terenach, układały losy. Bardzo chciałabym wypełnić te białe plamy, to taka moja ambicja jako sołtysa i nie tylko...

Dawny PGR – a zatem i niegdyś dwór – położony był kawałek drogi od centrum wsi. Prowadziła doń mocno już zarośnięta, wijąca się ponad leśnym jarem polna ścieżka. Dojście

zajęło im może z piętnaście minut.

– Dawniej tu dookoła były podobno gospodarstwa – wyjaśnił pan Witek. – Obecna wieś jakby się przesunęła, prawie wszystkie domy, jakie państwo widzieli, są nowe, a przynajmniej powojenne. W większości. A tutaj – zatoczył ręką koło – zaczynały się zabudowania folwarczne.

Dziś w tym miejscu rozciągała się dzika łąka, gdzieniegdzie porośnięta młodymi drzewami. Tu i ówdzie, spomiędzy wysokich traw i krzewów, wyłaniał się zielony stawek. Kiedyś będące pewnie elementem zagospodarowanego krajobrazu, dziś pokryte rzęsą, naturalne – lub może tylko stwarzające pozory naturalnych – oczka wodne.

– I oto mamy były PGR. Prawdziwy koszmar, prawda? A poprzednio, jak głosi miejscowa tradycja, stał tutaj dwór, o, mniej więcej gdzieś tam, w głębi, w tym zdziczałym sadzie. Sad pochodzi jeszcze z dworskich czasów, komuchy go potem zniszczyły. – Mąż pani sołtys wskazał otoczone walącą się, dziurawą drucianą siatką wzgórze, gdzie rzeczywiście straszyły jeszcze porośnięte mchem ruiny obskurnych komunistycznych pawilonów i baraków. Opustoszałych – dziś, za dnia, nie grasowała tu nawet podchmielona młodzież.

– Dzieciarnia się tu raczej – wyjaśnił pan Witek – nie zapuszcza, maluchy boją się, bo dorośli mawiają, że w tym miejscu pokazują się duchy. O i owszem – dodał ze śmiechem – duchy są, tyle że nie z łańcuchami, tylko z sierpem i młotem!

Sad, owszem, był. Ewa rozpoznała zdziczałe jabłunki, wiśnie i czereśnie, a także drzewa orzecha laskowego i śliwy.

– One jeszcze owocują – powiedział ich przewodnik. – Miejscowi przychodzą tu zbierać owoce, zwłaszcza na jesieni, przede wszystkim jabłka i śliwki węgierki. Choć to już prawie dziczki, ale smaczne, teraz już takich nigdzie nie kupi...

– A są może widoczne fundamenty dworu? – zapytał Jacek.

– Nie, choć słyszałem, że na zdjęciach satelitarnych widać ich obrys. Może w Internecie pan znajdzie. Z ziemi widać tylko wgłębienie. Trawa tam jakby inna rośnie. Możemy zajść, jak państwo chcecie. Tylko buty trzeba dobre mieć. Tego nikt nie pilnuje...

Zaszli. Ewa próbowała wyobrazić sobie, jak mogło tu być za czasów hrabiego. Szeroka lipowa aleja, wciąż wyraźnie widoczna, prowadząca wprost pod zabudowania dworskie. Po bokach sad. Dalej pewnie ogrody. Na pewno, bo w którymś momencie zaplątali się w stare, za to wciąż jeszcze mocno kolczaste krzewy różane. Z przeciwnej strony, niegdyś pewnie za domostwem, skarpa stromo opadała w dół, ku głębokiemu wąwozowi, nad którym, majestatycznie rozłożony na wzgórzach, wznosił się gęsty mieszany las. Musieli mieć stąd piękny widok...

– Bardzo ładnie widokowo położone miejsce. – Kotwicki jakby usłyszał jej myśli.

– Taaa... – mruknął pan Witek. – A wiecie co, ja się nawet cieszę, że to tak sobie stoi i czeka. Bo miało tu osiedle powstać. Żona wam pewnie mówiła. I na co nam ono? Zawłaszczyliby tutaj wszystko dla siebie. Zniszczyliby cały ten romantyzm i to skuteczniej niż tamten kolchoz. Wszystkie duchy by stąd przegnali! – Roześmiał się. – Bo może jednak są tu jeszcze jakie inne duchy, nie tylko te czerwone?...

– Są – powiedziała Ewa.

Mężczyźni nie podjęli tematu. Widać duchy – nawet w środku dnia – nie wydawały im się miłym towarzystwem. Ją samą także dreszcz przeszedł, gdy przypomniała sobie beztroskie twarze młodego hrabiego i jego pięknej żony ze zdjęcia w starej gazecie.

Pstryknęła kilka fotek.

– To co, moglibyśmy teraz pójść wypytać ludzi? – zaproponowała. – Zaprowadzi nas pan?

– Właśnie – dodał Kotwicki. – Nie mamy już zbyt dużo czasu. Chcielibyśmy wracać

jeszcze za dnia.

– Oczywiście. Pójdziemy spacerkiem, na przełaj przez łąkę, to dojdziemy z powrotem do wsi od drugiej strony. Z ludźmi nie będzie problemu. Ale co do reszty, to nie wiem, nie wiem... Krysia już zaplanowała obiad, przecież nie sprawicie nam państwo zawodu?

* * *

Mieszkańcy Nowiny okazali się życzliwi i nawet chętni do pomocy, pomóc jednak mogli niewiele. A właściwie nic. Pani Krystyna miała rację – nikt tu nic nie wiedział, nie pamiętał, bo i jak mogli cokolwiek pamiętać: wszyscy byli napływowci. No, prawie wszyscy. Jeden facet uważał się za miejscowego. Co prawda jego rodzina nastąpiła tu dopiero po wojnie, w czterdziestym szóstym, jednak i tak był tu wyjątkiem, reszta pierwszych powojennych „przesiedleńców” już dawno wyprzedala swoje domy i wyemigrowała gdzieś w Polskę, do miast. Albo wymarła. No, może nie licząc bibliotekarki, która chlubiła się tym, że jest prawdziwą autochtonką.

Mimo wczesnej pory, mężczyzna był podchmielony. Pan Pawlicki szepnął im, że ten człowiek nigdy nie jest trzeźwy, rentę inwalidzką przeznacza głównie na alkohol, mieszka sam. Obejście wyglądało na zaniedbane, w piachu chodziło kila brudnych kur.

Potraktował ich z rezerwą.

– A czemu to was tak interesuje? – zapytał podejrzliwie.

– Zbieramy materiały do artykułu – wyjaśnił Kotwicki.

– Aaa... do gazety, znaczy się?

– Właśnie. Może nam pan coś powiedzieć o historii miejscowości? O niemieckich właścicielach majątku, o dawnych mieszkańcach, sprzed wojny i z czasów wojny?

Facet wzruszył ramionami, zatoczywszy się lekko na płot.

– Co tu gadać. Jak moi tu nastali, to szwabów już nie było. Odjechali do heimat. Część dobrowolnie, innych musieli pognać, bo siedzieli twardo, niby to na swoim, no i dobrze tak hitlerowskim świniom. Ale mnie wtenczas nie było jeszcze na świecie. Ja się dopiero w pięćdziesiątym drugim urodziłem.

Ewa przyjrzała mu się z powątpiewaniem. Wyglądał znacznie starzej, ale być może z powodu nadużywania trunków.

– Nie wszyscy musieli być hitlerowcami – zauważyła. – To byli przecież tylko zwykli ludzie, cywile.

– A jeden diabeł! – Rozmówca machnął ręką. – Ciekawe, że tak o to wypytujecie. Nie dalej jak kilka dni temu był tu już jeden. Też mówił, że on z prasy. I o to samo pytał.

Ewa z Jackiem spojrzeli pytająco na pana Witolda. Ten pokręcił przecząco głową.

– Nic o tym nie wiem. Jeśli nawet, to do nas nie dotarł – powiedział.

– A mówił, z jakiej prasy?

– A kto go tam pytał... Nie ja. – Mężczyzna się zachwiał, musiał przytrzymać się ogrodzenia. – Namolny był, ale niczego się nie dowiedział.

– Jak wyglądał?

– A młody, ogolony na zero. Drugi taki w aucie siedział. Szarym samochodem przyjechali, na mnie trafili, bom w sam czas ziemię grabił.

Ewa zamarła.

– Czy mógł to być szary ford?

– A mógł. Ja tam się nie wyznaję w tych dzisiejszych markach. Duże auto, szare. Coś wam powiem. Jak chcecie się o historii dowiedzieć, to dylajcie do pani Ramony.

– To właśnie nasza bibliotekarka – wtrącił pan Witek. – Za chwilę do niej zajdziemy.

– No – kontynuował niezrażony sąsiad. – Ona lubi takie kwiatki. Bo więcej nikt tu

z wami rozmawiał nie będzie. Ani tu, ani w okolicy. Ludzie wolą gęby trzymać na kłódkę, nawet jak coś wiedzą.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego. Nikt nic nie powie i już. Tamten też mnie próbował straszyc, żebym gadał. Ale w dupę niech się całuje. Ja tam niczego nie wiem i basta.

Kotwicki poczęstował go papierosem.

– My pana przecież nie straszymy.

– Wy nie, ale tamten próbował. Alem go tak wyzywał, że szybko wsiadł do tego swojego wozu i odjechali. Ja wam mówię, do Ramony idźcie. To moja rówieśnica, razem żeśmy do podstawówki chodzili. Ona po matce Niemra, ale z ojca Polaka. Albo Kaszuba, nie wiem dokładnie. W każdym razie z dawien dawna w tej okolicy mieszkali.

Pani Ramona okazała się dystyngowaną panią po sześćdziesiątce, mieszkającą w niewielkim domku z ogródkiem na uboczu wsi, pod samym lasem, z dużym psem, mieszańcem wilczura, bardzo spokojnym i ułożonym, a także dwoma kotami wylegającymi się właśnie na okiennym parapecie. Nawet ubrana w dres, słomkowy kapelusz i kalosze do prac ogrodniczych wyglądała elegancko. W przeciwieństwie do swego „kolegi” z podstawówki sprawiała wrażenie znacznie młodszej. Powitała ich grzecznie, choć początkowo była dość spięta. Chyba z natury nieśmiała. Rozkręcała się tylko, gdy mówiła o przeszłości. Widać było, że pasjonuje ją ta tematyka, nie tylko zawodowo.

– Wiecie państwo, ja od lat usiłowałam zbadać te sprawy – zaczęła, stawiając na ogrodowym stoliku dzban soku z porzeczek. – Ale nie do końca mi się to udało. Urodziłam się dobrych kilka lat po wojnie, więc sama pamiętać nie mogę, a kiedy byłam mała, to był temat tabu. Potem zresztą też... przez długie lata. Nawet teraz... co będę państwu tłumaczyć. Upředzenia nadal żyją w narodzie. Nienawiść przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, jak trucizna. Albo raczej jak choroba. Dziedziczna choroba. A Gdańsk był przecież od zawsze, od zarania dziejów, miastem na styku kultur. Miastem wielu narodowości. I choć chętnie przejmujemy spadek w postaci dzieł sztuki czy architektury, o całej reszcie nie chcemy pamiętać, wolimy pielęgnować urazy, bo tak jest łatwiej. Tolerancja to piękne słowo – dopóki nie od siebie jej wymagamy. Niestety. Tutaj było nie inaczej.

Z tego, co mi wiadomo, właściciele majątku zaraz po wojnie opuścili folwark i wyemigrowali. Myślałam, że do Niemiec, ale może gdzieś indziej, bo w Niemczech żadnych śladów po nich nie znalazłam, a też mam tam rodzinę. Nazwiska nie pamiętałam, ale to logiczne, że nazwa wsi od niego pochodziła, albo może na odwrót, więc po tej nazwie szukałam. Niestety, bez skutku. Rzucało wtedy ludźmi po świecie. Rodzice za młodu zabraniali mi się tym interesować, choć dziadek był agronomem, rządcą na folwarku. Dziwne, bo był Polakiem. Ale podobno hrabiostwo nie mieli upředzeń narodowościowych. Hrabiego tylko ziemia interesowała, gospodarka. W politykę się podobno w ogóle nie wdawał. Liczył się dobry pracownik. A dziadek był dobry, w każdym razie sumienny. Pod sam koniec wojny już go tu nie było, ukrywał się przed Rosjanami, bał się ich jak ognia. Ale i tak go dopadli, zabrali do łagru. Nie wrócił już stamtąd, mówili, że w czasie jakiejś epidemii zmarł. Za to mam coś, co chętnie państwu pokażę. Jego księgi rachunkowe. Zachowały się na szczęście, taka pamiątka rodzinna. W jednej jest nawet lista służby, to znaczy osób zatrudnionych na folwarku w latach trzydziestych i czterdziestych, aż do końca wojny...

Ewa aż zerwała się z miejsca.

– Naprawdę? Pani Ramono, gdzie one są, te księgi?!

Gospodyni spojrzała na nią zdumiona.

– U mnie. Zaraz przyniosę. Przy okazji doleję jeszcze soku...

Księgi były doskonale zachowane, zapisane wyblakłym już nieco szarym atramentem, drobnym maczkiem, miejscami wypłowiałe, jednak czytelne. Wśród wielu nazwisk – rzeczywiście w większości niemieckich, lecz także i polskich, choć tych niemieckobrzmiących było więcej, co zresztą o niczym nie świadczyło, w końcu to był Gdańsk – w oczy od razu rzuciło im się jedno.

– Polck? – Kotwicki spojrział Ewie w oczy. – Pracownik umysłowy... Ciekawe.

Kojarzysz nazwisko?

– Tak jakby, ale...

Jacek przewertował swój kalendarz.

– Zgadza się – oświadczył. – Polck. Ten sam, o którym opowiadał nam tamten starszy facet. Nie pamiętasz? Świadek wypadku twojego dziadka. To znaczy, oczywiście, syn świadka. Mamy go na zdjęciu, tego Polcka. – Pokazał jej kopię fotografii na wyświetlaczu swojej komórki.

Ewa się zawahała.

– Skąd wiesz, że to ten sam? Może to przypadek.

– Może, choć mało prawdopodobne. Sama mówiłaś, że nie wierzysz w przypadki. To samo nazwisko wokół tej samej sprawy? Nawet jeśli to nie ten sam, to pewnie ktoś z rodziny. Brat, ojciec...

– Nie do końca tej samej sprawy. – Wciąż się wahała. – Nie wiemy...

– Ewka!

– No dobrze. Pani Ramono, kim był ten Polck? Pani coś o nim wie?

Gospodyni pokiwała głową.

– Niewiele, ale jedno wiem. Polck prowadził we wsi bank rolny. Dzierżawił ziemię od folwarku. Były jakieś animozje, może nawet spory z właścicielami majątku, ale nie wiem, o co dokładnie chodziło... Tylko mgliście o tym słyszałam od ojca, dawno temu, a on już nie żyje, więc nie zapytam. Chyba chodziło o tę dzierżawę. Tak mi się zdaje.

– Młody był? – zapytała Ewa.

– Tak, raczej tak. Taki trochę młody gniewny – przytaknęła pani Ramona. – Tak mi przynajmniej wynikało z rodzinnych przekazów, ale wiecie państwo... ja go przecież nigdy na oczy nie widziałam, nie było mnie jeszcze wtedy na świecie.

– Co się potem stało z tym Polckiem? – zainteresował się Kotwicki.

– Tego nie wiem. Stąd w każdym razie się wyniósł. Zdaje się, karierę w partii poszedł robić, do Gdańska...

– A nie znalazł się wśród wypędzonych? Nazwisko brzmi niemiecko.

Pani Ramona energicznie zaprzeczyła ruchem głowy.

– O nie, to była polska rodzina. Ich się wcześniej pisało „Polkowie”. Dopiero potem się zmienili. Chyba już w czasach wojny.

– Znaczy się, trzeba teraz koniecznie znaleźć tego Polcka. To znaczy kogoś z jego potomków. Ci muszą coś, kurczę, wiedzieć! – gorączkował się Jacek, gdy wracali z powrotem do Gdańska po sutym obiedzie u pani sołtys, z którą szczerze się zaprzyjaźnili. – Zajmę się tym od jutra.

– Zdjęcia tych ksiąg masz czytelne? Dobrze, że pani Ramona obiecała przesłać nam ksera...

– Wystarczająco czytelne – zapewnił.

Po drodze oboje wypatrywali szarego forda. W którymś momencie zdawało im się nawet,

że podejrzany samochód stoi zaparkowany u wylotu ulicy, na skraju lasu. Pewności jednak nie mieli – zrobiło się szaro, wóz stał nieoświetlony. Zwalili więc to na karb swojej obsesji.

Tym razem jednak nikt za nimi nie jechał.

XIII DRUGA STRONA

Coś wam, durnie, opowiem. To było dawno, w czasach mojego słodkiego dzieciństwa. Pamiętam siebie z lustra – naprawdę urocze, niewinne dzieciątko. Aniołek.

Była zima, bardzo mroźna zima, wtedy jeszcze takie bywały. Śnieżne i mroźne. Nawet morze skuł lód. Pewnego dnia w szkole, a była to któraś z młodszych klas podstawówki, jeden taki wredny bachor mi dokuczał. Szydził, wyzywał, czepiał się jak rzep psiego ogona, aż w końcu podniósł na mnie tłustą łapę. Głupi był bachor. Bo kiedy ojciec zobaczył mój rozkwaszony nos i brzydkie zadrapanie na policzku, od razu wypytał mnie ze szczegółami, co się stało. Wszystko ze mnie wyciągnął. Łącznie z nazwiskiem bachora. Śmiał się, pocieszał, nawet lizaka dał mi na poprawę humoru, a potem obiecał, że sprawa zostanie załatwiona.

Nikt nie śmiałby wątpić. Tatuś nigdy nie rzucał obietnic na wiatr. Zawsze był wiarygodny.

Na drugi dzień bachora nie było w szkole. Na trzeci też. I na czwarty. Nauczyciele szeptali po kątach, milicja wypytywała dzieciaki z klasy, kiedy ostatnio widziały bachora. Nie pamiętam już nawet jego imienia. Gębę za to pamiętam: blondasek z piegami. Taki tłusciutki, okrągły, krótkonogi i nabity w sobie. Dość tępy.

Znaleźli go piątego dnia. A raczej ktoś – jakiś zatwardziały przypadkowy spacerowicz, by nie powiedzieć: pechowiec – zauważył był dziecięcy zimowy bucik wystający z przerębli. Niedaleko od plaży, na której wtedy, o tej porze roku, rzadko kto przebywał. Gość pociągnął za bucik – i ujrzał nóżkę. Wtedy dopiero zaczął wrzeszczeć...

Jeśli życzyście sobie więcej szczegółów, to proszę: biedny mały trupek był siny i częściowo już nadjedzony przez mewy. Ale łatwo go było rozpoznać. Cóż. Wypadki chodzą po ludziach. A sprawiedliwości musi stać się zadość. Jak bachor jest łobuzem, to wpada do przerębli. Prędzej czy później. Taka jest prawda.

Rozumiecie, kurwa?

Potem stało się dla mnie jasne, że to normalny sposób załatwiania spraw. Czy raczej – usuwania problemów. Prosty. Skuteczny i widowiskowy. Czasem nawet emocjonujący. Dopóki nie stanie się rutyną. Rutyna jest niezauważalna, jak mycie zębów.

Ale władza to rutyna. Tak samo jak kontrola.

Tak, bachor nie był ostatni. Nie zliczę ich już teraz – w końcu w tym kraju dzieci często giną, przepadają jak kamień w wodzie. Dosłownie i w przenośni. Niektóre się znajdują, jak ten pierwszy, inne nigdy. Ale w końcu dzieciaki są głupie i nieodpowiedzialne, same pchają się w kłopoty. Gorzej, kiedy dorośli są równie głupi.

A z coraz głępszymi mam ostatnio do czynienia. Pchają się jak ćmy do ognia. Gra zaczyna mnie nudzić, a oni tego nie rozumieją. Nie można zbyt długo grać na tej samej planszy, tymi samymi pionkami. Odechciało mi się. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć.

Nie znoszę nudy.

To nuda zabija. Nie ja. Nuda.

Jesteście jak tamten bachor. Nic nie znaczący. Wasze nazwiska też ulecą z mojej pamięci.

Już czas.

Więc myślicie, że z wami będzie inaczej?

Tak myślicie?...

Koniec gry.

Koniec zabawy.

Wasz koniec.

Gasimy światła.

Amen.

XIV ŚLEDZTWO

Nazajutrz

Wyjęła swoje albumy z artystycznymi fotografiami bursztynów, które gromadziła latami. Zebrał się ich już całkiem okazały stos, przeglądała teraz każdy po kolei – tak jakoś ją naszło. Zawsze kochała bursztyn. Z równym zachwytem przyglądała się starym zabytkowym przedmiotom, co tym współczesnym – czy to jubilerskim cackom, czy to po prostu surowym bursztynom, nawet nieoszlifowanym. Każdy miał w sobie życie. Magię. Od dziecka tak to odczuwała, jeszcze w czasach, gdy jako mała dziewczynka w jesienne poranki – zazwyczaj po burzy – chodziła z babcią szukać bursztynów na plaży. Czasem nawet znajdowały jakieś okruchy. Do dziś przechowywała je w drewnianej szkatułce, zawinięte w jedwabną chustkę do nosa. Nie nadawały się na korale – te, podobnie jak pierścionki czy bransoletki, zaczęła kupować sobie sama, gdy podrosła. Tak jak albumy. Do dziś chętnie odwiedzała sklepiki i galerie bursztyniarzy na Mariackiej.

Oczywiście fascynowała ją historia bursztynowej komnaty, przeżyła całe młodsze lata na lekturze książek opisujących jej hipotetyczne losy, na marzeniach i dyskusjach z innymi podobnymi do siebie pasjonatami. Śniła jej się po nocach. Nigdzie jednak nie natknęła się jeszcze na bursztyn tak piękny jak ten „jej” – jak bursztyn z komody. Być może była to zasługa emocji, ale właśnie tak uważała.

Zatęskniła za nim nagle. Za tym kawałkiem zaginionego świata zastygłego w czasie. Pożałowała teraz, że zamknęła go w schowku, postanowiła odebrać go jak najszybciej: mieć pod ręką, oglądać, dotykać. Wejść w głąb tej zatopionej w żywicy Atlantydy. Otworzyła w komputerze folder ze zdjęciami medalionu i przypatrywała mu się tak długo, że nawet po zamknięciu oczu widziała w ciemnościach każdy szczegół, każdy najdrobniejszy detal. Czuła... pokrewieństwo. Dziwną więź. Oraz tajemnicę, niejasną i niedopowiedzianą, zakłęta w tej bryłce zastygłego słońca.

Z zamyślenia wyrwał ją telefon. Oczywiście był to Kotwicki.

– Halo, Jacek?

– Zaraz padniesz. – Jego głos był pełen napięcia. – Zadzwoń z samego rana do pana Janusza. Tak, uprzedzam twoje pytanie: syna świadka. Myślałem, że dowiem się od niego czegoś więcej o tym Polcku...

– No i...?

– Siadaj. To niemiła wiadomość. Facet nie żyje.

– Co?! Jak to? Nie był przecież aż taki stary, doskonale się trzymał! Jak to nie żyje? Co ty opowiadasz?

– Umarł kilka dni temu. Telefon odebrała córka, cała zapłakana. Przyjechała spakować rzeczy po ojcu.

– Ale co się...

– Podobno zawał. Taka diagnoza.

– Chorował?

– Właśnie nie. Córka mówi, że nigdy nie miał żadnych kłopotów z sercem. Mało tego, miał je jak dzwon! Ale że cóż, wiek... To stało się nagle, zdążył jeszcze wezwać pomoc, zmarł w szpitalu.

– Jasna cholera... Wiek... akurat! Kolejny przypadek, tak?! Nie podoba mi się to...

– Ani mnie. Ale przecież nie będę tego mówił zrozpaczonej kobiecie. Wpadniesz jutro na Jańskową? Będę tam, pogadamy.

Ewa się zawahała.

– Wiesz co, nie wiem, może raczej pojutrze? Bo jutro wracają moje chłopaki...

Powinam tu być...

– Jasne – zgodził się od razu. – Masz rację. To ja dalej sobie poszperam, a ty zajmij się rodziną. Dobrej nocy. Pogadamy pojutrze. Pa.

– Teraz nie zasnę. Pa...

* * *

Ewa naprawdę wzięła sobie do serca dobre rady Jacka i wymyśliła, że na powrót swoich facetów przygotuje dla nich coś ekstra. Coś specjalnego. Coś oprócz zwyczajowej kolacji. By okazać im „więcej serca i zainteresowania”, by poczuli się ważni. Długo myślała i w końcu zdecydowała, że upiecze ciasto. Bardzo dawno tego nie robiła – zazwyczaj z braku czasu kupowali gotowe wypieki w cukierni. Tym razem jednak zrobi to własnoręcznie. I nie takie zwykłe ciasto, tylko to, które wszyscy w rodzinie uwielbiali: legendarne, kultowe wręcz ciasto marchewkowe babki Marii. Tyle razy wspominali jego charakterystyczny, szczególny smak... nie podejrzewając nawet, że będą mieli okazję spróbować go jeszcze kiedykolwiek. No to spróbują. Może nie uda się tak, jak wychodziło babce, ale Ewa się postara. Był tylko jeden problem – przepis. Pamiętała mniej więcej, czego babka używała do ciasta, jednak pozostawała jeszcze kwestia proporcji. Pamiętała z dzieciństwa, że w domu na Jaśkowej babcia pieczołowicie zapisywała i przechowywała swoje przepisy kulinarne, jednak podczas porządkowania mieszkania ich nie znaleźli. Najpewniej zabrała je Halina...

Telefon, szybko!

Halina szczegółów przepisu nie знаła, ale potwierdziła, że powinna je mieć.

– Przypominam sobie mgliście, że dostałam te przepisy jakiś czas temu, oj, lata temu...

Matka wręcz mi je wmusiła, choć wiedziała doskonale, że żadna ze mnie kucharka. Ale pewnie miała nadzieję – powiedziała ze śmiechem. – Wcisnęła mi starą książkę kucharską i swoje zeszyty z przepisami. Tylko gdzie ja to mam... Na półce nie, bo by mi się rzucały w oczy. Wiesz co, poczekaj. Poszukam. Bardzo ci się spieszy z tym ciastem? Co ci w ogóle strześliło do głowy?

– Chłopaki wracają dziś pod wieczór. Chcę im upiec. Trochę mi się spieszy...

– Postanowiłaś być dobrą żoną i matką? – zakpiła Halina. – To się chwali, moja córko!

Dobra, żartuję, oczywiście zaraz poszperam i oddzwonię. Jeśli znajdę, to ci go podyktuję przez telefon.

– Świetnie. To czekam. A może wpadniesz do nas na kolację? I na ciasto, jeśli się uda?

– Jeszcze nie dziś – odparła z wahaniem. – Choć też bardzo lubiłam to ciasto. Liczę na ciebie, że nauczysz się je piec tak dobrze jak moja matka. Daj mi z pół godziny, oddzwonię.

W oczekiwaniu na przepis Ewa spenetrowała strony kulinarne w Internecie.

W ostateczności zrobię coś podobnego – postanowiła. Telefon zadzwonił jednak szybciej, niż się spodziewała: pół godziny nawet nie upłynęło.

Zdąży.

– Masz go?! – zawołała niecierpliwie do słuchawki.

– Mam. – Głos Haliny był dziwnie poważny. – Ale mam coś jeszcze. Nie uwierzysz!

Najlepiej od razu przyjedź...

Nie dopytywała, od razu wsiadła do samochodu. Wiedziała, że skoro Halina nalega, musi to być coś naprawdę poważnego.

– Znalazłam tę jej książkę kucharską w szufladzie w kuchni. – Zaczęła matka już w przedpokoju, podniecona, z błyszczącymi oczami, wyraźnie tracąc zwykłe dla siebie opanowanie. – Dawno temu ją tam widocznie upchnęłam. A w niej kilka zeszytów z przepisami. Ten z marchewką też jest, zabierzesz sobie. Ale jeden zeszyt... zresztą, idź sama zobacz!

Zeszyt był niegruby, pomięty i poplamiony, zapisany starannym, staroświeckim pismem,

które dopiero pod koniec – może pod wpływem emocji – stawało się bardziej zamaszyste, nieco rozchwiane i mniej czytelne. Z pozoru notes nie różnił się niczym od brulionów, w których babka zapisywała wypróbowane przez siebie przepisy. Tyle że na okładce tego jednego jak byk widniał napis:

Maria Kuc.

Zapis mojego życia. Dla Córk.

Już wiedziała, że tego dnia nie upiecze już ciasta marchewkowego. Może jutro. W końcu to zrobi, na pewno. Ciasto przecież nie ucieknie.

Gdy tak siedziały we dwie, całkowicie pochłonięte lekturą, zatelefonował Andrzej z informacją, że już dojeżdżają, i czy po nich wyjedzie na dworzec. Słabym głosem poprosiła, żeby wzięli taksówkę, bo akurat nie ma jej w domu. Jest bardzo zajęta. Nie da rady się teraz wyrwać. Przepraszała. Obiecała, że zaraz wróci i zrobią sobie uroczystą kolację...

Andrzej się rozłączył.

XV PRZEKAZ BABKI MARII

Maria Kuc.

Zapis mojego życia. Dla Córk.

Najdroższa Córeńko, na początek może słowo od siebie, bo nie wiem, kiedy przeczytasz te zapiski i czy w ogóle zechcesz je czytać. Ja wiem, że masz do mnie żal. Słuszny i sprawiedliwy żal. Nie sprostalam, mimo starań i mojej wielkiej do Ciebie miłości. Za bardzo się bałam, lecz Bóg mi świadkiem, nie o siebie, tylko o Ciebie, ukochana moja, bo mnie już wszystko obojętne – poza Tobą. Bałam się i wstydziłam. Prosta ze mnie kobieta, a Ty kształcona, wstyd mi, że nie umiem pięknie opisać tych moich wspomnień, ale liczę, że jednak je kiedyś odkryjesz i wybaczysz swej matce.

Bo to i piękne wspomnienia, chociaż smutne.

W komodzie zostawiłam dla Ciebie to, co najważniejsze. Twoje dziedzictwo. Ten list zapewne znajdziesz i przeczytasz szybciej. Znajdę sposób, by Ci go doręczyć. Jeśli tak się stanie – i jeśli zechcesz o nim ze mną porozmawiać – przyjdź tylko i powiedz, a razem wyjmemy z komody sekret, który przechowywałam latami, i wszystko Ci wtedy sama wyjaśnię. Myślę, że możemy to już zrobić bezpiecznie, przynajmniej taką mam nadzieję, bo pewności mieć nie mogę. Lata minęły, lecz szatan jest wieczny, nie umiera jak ludzie. Ale jeśli przyjdiesz, będzie to i dla mnie znak, że przebaczyłaś. Jeśli nie, zrozumiam, a moją tajemnicę poznasz dopiero po mojej śmierci. Nie, nie tylko moją – to nasza wspólna tajemnica.

Szukaj przyklejonej koperty. W środku.

A teraz przechodzę do początku, choć lży się cisną do oczu. W myślach mam chaos, lecz przynajmniej pamięć na szczęście dopisuje.

Dawno to temu było, aż do czasów przedwojennych muszę się na chwilę cofnąć. Bo wtenczas umarła moja św. pamięci Mamusia i wszystko się w moim życiu zmieniło. Zaraz potem wojna wybuchła i dwaj moi bracia zginęli zaraz na samym początku w obronie Ojczyzny. Polskiej Ojczyzny, bo my z Gdyni, jak wiesz. Polacy. Zostałam sama z ojcem. Miał o to żal do losu, że obaj synowie do piachu poszli, a tylko dziewczucha mu została, bo też jaki pożytek z dziewczuchy. Na morze po rybę nie wypłynię, z sieciami nie wspomóże, co najwyżej chałupę wysprząta i obiad skromny przyrządzi. A bieda nam aż piszczała. Szesnaście lat mi wtedy szło, jak półsierotą zostałam. Właściwie sierotą, bo ojca jakby nie było: prawie wcale się nie odzywał, burczał tylko. I coraz częściej pił, bimber zdobywał za ryby, na to go stać było, choć często gęsto głodem przymieraliśmy. Jak Niemcy nastali, to już dorosła panna byłam. Ładna. Zwierciadła w chacie nie posiadaliśmy, ale ludzie tak mi mówili. A ojciec wtedy jeszcze bardziej się wściekał. W morze już za bardzo wypływać nie mógł, więc jak się tylko nadarzyła okazja, to mnie na służbę do Niemców wysłał. Do tej bazy, gdzie było lotnisko, tam kantinę sobie sprawili, a ja w tej kantinie usługiwałam, na noc do domu wracając, o ile panowie oficerowie nie zapili. I to tam, w tejże kantinie, wszystko się zaczęło...

Pewnego dnia, a to już jakoś środek wojny był, poznałam tamże pięknego pana oficera, zabójczo przystojny był. I dobry, miły, delikatny – nie jak inni Niemcy, butni i krzykliwi. Jeszcze nie wiedziałam o tym, że jest on prawdziwym hrabią, z tytułem, u Niemców grafem, a także

miłością oraz przekleństwem mojego żywota.

Nie wiem, jak Ci to, kochana, opisać. Od słowa do słowa, od spojrzenia do spojrzenia, tak to było: on mnie zauważył i traktował jak człowieka, jak kobietę, a ja się – młoda i głupia – zakochałam bez pamięci. Czulałam się winna, że w Niemcu, ukrywałam to, jak tylko mogłam, nawet przed nim. Lecz nie potrafiłam nic poradzić. Serce nie służy.

Tak, oddałam mu się dwa razy na plaży, na wydmach. Nocą. Miał wtedy przepustkę, bo niedaleko, w torpedowni służył. Do dziś pamiętam te gwiazdy jak baldachim nad nami i ten szum morza szepczący o krok, i ten piach jeszcze nagrzwany słońcem dnia. I jego ciepłe słowa. Nie żałuję, choć gorzko mi przyszło za te chwile szczęścia zapłacić. O przyszłości nie myślałam. Która w takiej sytuacji myślała...

Od tamtej pory wspomnienie to niesie ze sobą ból wielki, ale także i tęsknotę. Nie do ukojenia. Bo były to najpiękniejsze chwile mojego życia.

I tu Cię o zrozumienie błagam, Córeńko. Tyś też kobieta.

A później wszystko się pogmatwało. Jemu przytrafił się wypadek podczas służby. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, po niemiecku umiałam, ale nie do końca biegle. Z tego co rozumiałam, wpadł do wody z wysoka podczas sztormu, poranił się i wychłodził. Niby nic poważnego się nie stało, jednakowoż utykał odtąd na prawą nogę i go z tego wojska rychło zwolnili. Jakże się cieszył, że do siebie wraca, folwarku doglądać! Kochał on tę swoją gospodarkę jak nic. A traf chciał, że ja wtedy w błogosławionym stanie już chodziłam. Strasznie rozpaczalam, bo ojciec chyba by mnie zabił. Nie dość, że lafirynda, to jeszcze ze szkopem – jakbym słyszała jego wrzaski. Zatlukłby mnie i nawet nikt by nie stanął w mojej obronie. Bo jakże. Zdrajczyńi przecie...

Więc mnie ze sobą do swego majątku zabrał, jako służącą. Niczego więcej nie oczekiwałam: on pan był pełną gębą, a ja prosta chłopka, w dodatku miał żonę, hrabinę, czego przede mną nie ukrywał. Co ja wygaduję zresztą, kto by się tam z wiejską dziewczuchą liczył. I tak wielkie mi serce i wyrozumiałość okazał. Jak nikt inny.

Tak, Córeńko. Ciebie nosiłam pod sercem. Nie byłaś moim przysposobionym dzieckiem, tylko rodzonym. Jestem Twoją prawdziwą matką. Nikt o tym nie wiedział, nawet później mój mąż, a Twój ojczym, który uratował nas obie. Nawet on myślał, że jesteś córką hrabiego i hrabiny. Dla Twojego bezpieczeństwa.

W majątku było mi dobrze i służbę miałam lekką. Hrabina też była dla mnie dobra, dbała o mnie. Miała wielką urodę, nie dziwota, że hrabia patrzył w nią jak w obraz święty. Nic, że po cichu cierpiałam i w poduszkę oczy wypłakiwałam – byłam blisko niego, choć o prawdziwym zbliżeniu nie mogło już być więcej mowy. Wszyscy myśleli, że ciężarna z parobkiem ze swojej wsi, a hrabia ulitował się nade mną, ratując z opresji. Wyrozumieli byli dla mnie, gdyż im tak hrabia nakazał. Nie śmieli mu się sprzeciwić. Reszta była naszą tajemnicą.

Hrabiostwo nie mogli mieć dzieci, bo pani czas jakiś temu przeszła była różyczkę. A marzyli o potomku i spadkobiercy. Więc gdy nadszedł wreszcie dla mnie termin rozwiązania, umieścili mnie w chacie folwarcznej pod opieką zielarki i akuszerki. Powiłam dziecko dla nich. Myślałam, że zapewniłam mu – Tobie – najwspanialsze życie pod słońcem...

Cóż, Opatrzność zdecydowała inaczej.

Ale z początku wszystko szło dobrze, po mojej myśli. Zarejestrowano Cię jako hrabiowską córkę. Oficjalnie moje dzieciątko zmarło przy porodzie, bo pani przez kilka miesięcy w sukniach poduszkami wypchanych chodziła, miało być, że całkiem ich jesteś. Czy kto w to wierzył, nie wiem i teraz to już nieważne. Oboje za Tobą wprost przepadali! Dali Ci imię oraz serce. Zostałaś oczkiem w ich głowie, a ja Twoją nianią i mamką. Przynajmniej tyle mojego, że miałam Ciebie blisko...

Hrabia na Twoje narodziny zamówił u jubilera w Gdańsku dwa precyzyjne medaliony z bursztynem – jeden dla Ciebie, jak dorosniesz, drugi dla swojej małżonki, szczęśliwej młodej mamy. Były identyczne i według specjalnego projektu wyrysowanego przez samego hrabiego. Wygrawerować kazał na nich pamiątkowe napisy. Pani jak raz swój na szyję założyła, to go już nigdy nie zdejmowała, nawet do snu.

Ja dostałam sakiewkę.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie nadszedł front wschodni. Niespokojnie zaczęło być już wcześniej, Niemcy wyjeżdżali, uciekali. Ale hrabia nie chciał.

Ziemię tę ukochał sobie. Jego ród od setek lat tu bytował. Do Polaków nic nie miał, dla ludzi był łaskaw, Hitlera wcale nie lubił. Pamiętam, jak zawsze powtarzał, że on ani Niemiec, ani Polak, tylko rodowity gdańszczanin z dziada pradziada. Komunistów bali się wszyscy, o ruskich strach było nawet słuchać, ale każdy wtedy myślał, że jakoś to będzie. Mawiał hrabia, że uciekać nie będzie, bo sumienie ma czyste i nikomu nic złego nie uczynił.

Ktoś jednak myślał inaczej. Był taki jeden we wsi, Polak, co ziemię od państwa, znaczy się, od państwa hrabiostwa dzierżawił. Jak się zwał, tego, niestety, nie wiedziałam, tylko głębiej pamiętam, dosyć młody był jeszcze wtedy. O co tam poszło, to już nie dla mnie zagadka. Czy o nienawiść, czy o interesy, czy o politykę – trudno dziś powiedzieć. Jakieś animozje widać pomiędzy nimi musiały zadawnione panować, bo innych chłopów nabuntował i... wtedy ta noc okropna nadeszła. Do dziś mi się to śni.

Wszyscy żeśmy spali, kiedy całą zgrają nadeszli, ze strzelbami, siekierami i pochodniami płonącymi. A ruskie już stali u bram, to się czuli bezkarni, te bandziory, korzystali z okazji. Jakiś się ze snu wybudzili, to dwór już płonął. Pamiętam tylko te krzyki okropne, „wylaż, szwabie!” i inne takie, po polsku, stąd wiem, że moi rodacy to byli, nie obcy. Pijani pewnikiem, bo podobnie jak mój ojciec wrzeszczeli. Huk i wystrzały. Łało, więc zabudowania z trudem się paliły, to je naftą polewali. Hrabia wyszedł do nich, a za nimi pani, w samej podomce wybiegła. Pan chciał z nimi gadać, ale nie zdążył. Pani krzyczała, potem dwa strzały usłyszałam i krzyk się urwał...

Nie myślałam wiele, tylko – podczas gdy reszta służby w panice chowała się po kątach – okrycie złapałam i jak burza wpadłam do Twojej sypialni, a tam już pełno dymu było, Chryste Panie, Ciebie na ręce porwałam, coś mnie tknęło, zawróciłam, z sekretarzyka jeszcze medalion zabrałam i przez służbówkę na tyły wyleciałam. Nikt mnie nie zauważył, grasowali od frontu. Płakałaś straszliwie, ale na szczęście deszcz, ogień i wrzaski tych ludzi wszystko zagłuszały. Ze skarpy z Tobą w objęciach do wąwozu zbiegłam, do lasu po drugiej stronie uciekłam. Tam się ukrywałyśmy czas jakiś, z daleka strzały i lamenty słyszeć się dało, aż w końcu się do miasta przedostałam. A tam znowu ogień i zgliszczka. Do ojca się chciałam udać, na wieś, ale gdzież tam... Co by się z nami stało, nie wiem, gdyby nie pewien młody polski żołnierz, który przybył z watahą ruskich. Ale dobry człowiek był. To on mnie przygarnął i ochronił, biedną córkę rybaka, a dziecko pokochał jak własne.

Był to Twój przyszły ojczym.

Ślub my wzięli jak tylko się wojna skończyła i spokój nastał. Mąż mój do partii przystał, dzięki czemu czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Ty zostałaś formalnie naszym dzieckiem, ojciec się postarał o wszystkie papiery, by było zgodnie z prawem. I żebyś piętna na sobie nie nosiła, i od bandytów była chroniona.

A medalion Twój zachowałam. Znajdziesz go w skrytce. Teraz to jedyna pamiątka Twojego prawdziwego pochodzenia i dowód na to, kim jesteś. Kim byłaś. On jeden pozostał. Bo ten drugi pewnikiem w ziemi razem z panią spoczywa. Albo ma go zabójca, oby go piekło pochłonęło. Bo dwór został splądrowany i spalony.

Jeszcze raz Cię proszę: wybacz, Córeczko. Może i zblądziłam, ale przysięgam, że tylko Twoim dobrem się kierowałam.

Bandziory jednak odnalazły nas. Możliwe, że sam mój św. pamięci drogi mąż się do tego przyczynił, gdy w swej prostoduszności zapragnął wyjaśnić okoliczności śmierci Twoich prawdziwych rodziców. Bo za takich ich oboje, jak już Ci wcześniej pisałam, uważał. A choć komunistą z przekonania był i wiary chrześcijańskiej nie znał, to sumienie jednakże posiadał i w sprawiedliwość wierzył. Porządny był z niego człowiek, prawy. Wykrył, kto stał za tym okrutnym zamachem, za tą straszną zbrodnią, i że tego, co na ruskich szło, nie oni dokonali. Gdyby nie tamci zbroje, może by i rodzina ocalała, jak inni wypędzeni Niemcy. Do tragedii tak wielkiej, przelania krwi niewinnej by – być może – nie doszło.

Dowiedział się też, że wymordowali wtenczas wszystkich, włącznie ze służbą, nawet dzieci folwarcznych nie oszczędzając, a ciała tych nieszczęsnych na drugi dzień o świcie w dole zakopali, w młodniaku za dworem. Nie patrzyli, kto Polak, kto Niemiec, wszystkich równo wytłukli. I że przywódca ich we władzy się teraz ukrywa, a może i inni razem z nim.

Tyle wiem.

Resztę sama pamiętasz. Całymi latami nas zadręczali i zastraszaali, że oddychać się nawet baliśmy. Męża mi w końcu zabili, tego jestem pewna. W żaden wypadek nie uwierzę nigdy, przenigdy. Jednym się tylko pocieszałam, że ten diabeł nie wie, że ja o nim wiem. Że nie wie, kim jesteś Ty. Choć się zapewne tego domyśla.

Wyrzuty sumienia mnie męczą, bo nie kochałam mego męża tak, jak powinnam. Jak on kochał mnie. Dla nas obu wszystko poświęcił. A ja wciąż mam w sercu tamtą miłość – jedyną, prawdziwą, wielką miłość. Czas nie zdołał jej zabić.

Niechaj i to będzie mi wybaczone.

Męża ślubnego szanowałam, byłam mu wierna i wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobił. I oczywiście kochałam go na swój sposób, lecz była to inna miłość niż ta, którą czułam do grafy. Jak woda w misce przy wzburzonym morzu, jak termofor obok buzującego ognia. Jednakże to ciepłe i spokojne uczucie dawało mi ukojenie przez całe dziesięć lat mego małżeństwa po tym wszystkim, przez co przeszłam. Pozostał żal i pustka, którą tylko Ty jedna mi wypełniałaś. A teraz już tylko oczekiwanie na kres tego żywota i połączenie z bliskimi.

Tak, tylko dla Ciebie żyłam, dziecko moje. Ojca już nie miałam, zresztą po tym, jak Cię potraktował, gdy do niego przyjechałyśmy, jak byłaś malutka, nie chciałam go więcej na oczy widzieć. Chyba tylko on jeden domyślał się prawdy. Że byłaś moim własnym dzieckiem, zrodzonym z hańby. Stary bałwan. Tfu! Zmarło mu się wkrótce potem, z pijaństwa, zawiadomili mnie o tym, ale nawet na pogrzeb nie pojechałam. Wysłałam tylko przekazem pieniądze na pochówek, żeby go nie musieli grzebać na koszt państwa, bo wstyd. Ojciec tylko rentę brał, na przepicie.

Cóż mam Ci więcej powiedzieć... Chyba tylko tyle, że byłaś i jesteś dla mnie wszystkim. Nie tylko owocem mojej miłości – wszystkim. Życie bym dla Ciebie oddała, bylebyś tylko była bezpieczna i spokojna.

O wnusię moją dbaj, gdy mnie zabraknie. To jakby przedłużenie Ciebie. Mnie. Nas wszystkich. Ona maleńka, niczemu niewinna.

Całą winę biorę na siebie.

Bądź szczęśliwa, ukochana Córeńko.

Mama

XVI ŚLEDZTWO

Gdy Ewa skończyła czytać – czytała na głos – długo siedziały w milczeniu. Straciły kontrolę nad czasem, zawieszono gdzieś pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, między smutkiem a ukojeniem. W pewnym momencie dostrzegła, że Halina płacze. Przytuliła ją odruchowo, a matka położyła głowę na ramieniu córki – i dalej tak trwały w ciszy, aż zapadł zmierzch. Dopiero wtedy Halina się ocknęła:

– Nie powinnaś przypadkiem wracać?

– Powinam – odparła. – Zaraz się zbieram.

– Biedna mama – dodała Halina w zadumie. – Co za życie... Dlaczego mi wszystkiego nie opowiedziała?!

Ewa podniosła się.

– Napisała, dlaczego. Bała się. I wstydziła. Chciała cię chronić.

– Ale przez to... Boże, ona musiała myśleć, że przeczytałam te wspomnienia i nie wybaczyłam jej! Odeszła z takim przekonaniem... A ja głupia, przez cały czas miałam to pod samym nosem, we własnej kuchni, w zwyczajnej książce kucharskiej, i przez tyle lat nawet do niej nie zajrzałam. Przecież tego nie przewidziała...

– Na pewno przewidziała, znała cię. Przestań się tym teraz zadreć. Co się stało, to się nie odstanie. Ważne, że teraz już wiesz. – Starła się ją pocieszyć, choć i jej było ciężko na sercu.

– Tak...

Odprowadziła Ewę do drzwi.

– Zaczekaj! – zreflektowała się w ostatniej chwili. – Weź ten przepis! I zrób ciasto marchewkowe. Koniecznie.

– Pod warunkiem, że przyjedziesz i pomożesz nam je zjeść.

– Przyjadę.

– To zrobię.

– Czekaj jeszcze... może zabierz też ten zeszyt...

Córka zaprotestowała:

– Nie, nie, on należy do ciebie. Nie mogę.

– To zaraz... zanim wyjdiesz... Mam przecież skaner. Tylko nie za bardzo potrafię go obsłużyć, taka trąba ze mnie. Pomożesz mi i od razu wyślemy kopię na twoją pocztę. Pokaż to Jackowi. Te zapiski powinny ujrzeć światło dzienne! Przynajmniej częściowo, bez tych osobistych kawałków...

Skopiowały tekst i wreszcie Ewa mogła wyjść. W drzwiach zatrzymała się jeszcze.

– Tylko nie czytaj tego po sto razy do białego rana – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

– Postaram się.

Spojrzały sobie w oczy.

– No to cześć... mamo.

– Jedź ostrożnie, córciu.

Gdy dotarła do domu, Andrzej z Kacprem już spali. Widocznie podróż ich wyczerpała, bo

w przedpokoju wciąż stały nierozpakowane plecaki. Uroczystą kolację przełożyła więc na dzień następny, podobnie jak pieczenie ciasta. Nawet dobrze się składa – pomyślała – bo i tak jeszcze kilka rzeczy trzeba będzie dokupić. Wanilię na przykład, koniecznie w lasce.

Sama poczuła się potwornie zmęczona. Zanim się położyła, sprawdziła jeszcze tylko, czy doszedł skan od Haliny. Dotarł. Wysłała go do Jacka z apelem, by jak najszybciej przeczytał załącznik.

Śniły jej się koszmary.

Nazajutrz obudziła się późno, chłopaków już nie było. Przypomniała sobie, że Andrzejowi skończył się urlop, więc najpewniej już dawno jest w pracy, a młody jak zwykle gdzieś wybył w swoich sprawach. Po śniadaniu poszła do sklepu, kupiła niezbędne drobiazgi i zabrała się za pieczenie. Ciasto nie było nawet zbyt trudne, tylko dość pracochłonne. Gdy już zapachniało aromatycznie w piekarniku, zajrzała do skrzynki mailowej. Od Kotwickiego przyszła jedna wiadomość, wcześniej rano: „BOMBA!!!” – napisał tylko w odpowiedzi.

Otworzyła zeskanowany tekst i włączyła drukarkę. Czytała go po raz drugi, tym razem pozwalając sobie na łyzy, gdy z fotela poderwał ją dzwonek telefonu. Zerknęła na zegar. Zaraz druga. Przyłożyła do ucha słuchawkę.

– Tak?...

– To ja! – Rozpoznała wzburzony głos Jacka. – Włącz telewizor na lokalny program! Szybko! Zaraz się zacznie...

– Ale co?

– Włącz! Muszę lecieć, nie mam czasu! Zadzwoń później.

Rozłączył się, zanim zaczęła drażnić temat.

Pstryknęła pilotem, znalazła właściwą stację. Trwała właśnie relacja z jakiejś debaty politycznej. Gadające głowy. O to mu chodziło? – zastanawiała się. Przeczytała na pasku, że chodzi o debatę, po której nastąpi konferencja prasowa kandydatów do sejmu z terenu Trójmiasta, podczas której pytania będą mogli zadać także niezależni dziennikarze. Skupiła się na tym, co działo się na ekranie. Jak zwykle: banały, obietnice, pyskówki. Zniechęcona, już miała wyłączyć telewizor, gdy w tłumie dziennikarzy dostrzegła przepychającego się do przodu Kotwickiego. Odłożyła pilota i podkręciła głos. Debata właśnie dobiegała końca, politycy szykowali się do konferencji. Padły pierwsze pytania, zaraz po nich sztamkowe odpowiedzi. Nagle usłyszała głos Jacka, usiłującego przebić się przez ogólny gwar, nad którym organizatorzy najwyraźniej nie potrafili do końca zapanować.

– Mam pytanie do pana prezesa Polkowskiego... Dziękuję. Panie prezesie, proszę wyobrazić sobie następującą scenę: czterdziesty piąty rok, sam koniec wojny, pewien niewielki folwark pod Gdańskiem. Jest środek nocy. Płonie dwór, w ciemnościach nieznanymi osobnikami dobijają bezbronnych ludzi. Nie oszczędzają nawet dzieci. Oprawcy mówią po polsku. A teraz moje pytanie: skąd wziął się na szyi pańskiej małżonki ten unikatowy klejnot? Czy jest to rodzinne trofeum?

Konsternacja. Cisza jak makiem zasiał, zaraz potem stłumione szepty. Narastający gwar. Najazd kamery na drobną, niepozorną kobietę w średnim wieku, ubraną w ciemną garsonkę, która tkwiła u boku potężnego mężczyzny o pokaźnej tuszy i nalanej, pewnej siebie twarzy. Wcześniej szczyrzył do kamery imponujące białe zęby, teraz jego uśmiech w jednej chwili zgasł. Ewa dopiero teraz rozpoznała właściciela Browarów Polkowskiego. Na zdjęciach prezentował się zwykle lepiej.

Zaraz, co ona ma...

Ewa poczuła ucisk w gardle i zawroty głowy, dłonie zaczęły jej drżeć, dalsze słowa

Kotwickiego ledwie słyszała, bo szum w jej głowie zagłuszył nawet hałas panujący w studiu.

Co ona ma na szyi...

– Panie prezesie, a może powinienem dodać: panie prezesie Polk, bo tak brzmi przecież prawdziwe nazwisko pańskiej rodziny, czy mam powtórzyć pytanie? Bardzo proszę. Jak znalazł się w pańskim posiadaniu wspomniany medalion z bursztynem, będący własnością bestialsko zamordowanej osoby? – Do Ewy dotarły kolejne słowa Jacka, po których na sali zapadła nagła cisza. Pozostali dziennikarze, wietrząc sensację, spoglądali w napięciu to na kolegę, to na kobietę.

Polkowski szeptał coś do ucha mężczyźnie siedzącemu obok. Ten odezwał się po chwili:

– Czy to pytanie ma związek z kampanią wyborczą?

– Owszem, jak najbardziej – twardo odparł Kotwicki.

– Panie... dziennikarzu – odezwał się wreszcie biznesmen spokojnym głosem, w którym pobrzmiwał cynizm. – Nie wiem, w co pan tu gra, ale mogę obiecać panu, że niebawem spotkamy się w sądzie.

– Doskonale. Wolę to niż los, jaki przypadł w udziale mojemu poprzednikowi, panu Robertowi Przeplackiemu, z pewnością kojarzy pan nazwisko... Dodam jeszcze, że zebrane przez niego oraz przeze mnie materiały – dziennikarz ostentacyjnie zerknął na zegarek – są już w druku.

Na sali zapanował ogólny harmider. Prowadzący konferencję telewizyjny prezenter usiłował przywrócić porządek, jednak jego bezradne okrzyki: „Proszę państwa, proszę państwa, apeluję o spokój!” odbijały się tylko od wytłumionych ścian studia. Polkowski zerwał się z miejsca, raptownie odsunięte krzesło z hukiem runęło na podłogę. Zza pleców zszokowanych polityków wypadli ochroniarze. Doszło do szarpaniny. Biznesmen opuścił salę, gwałtownie zatrzaskując za sobą drzwi. Za nim pospiesznie podążyło dwóch ogolonych na łyso osiłków, eskortując żonę polityka.

Ewa osunęła się na krzesło. Relacja została raptownie przerwana, na obrazie pojawił się prezenter ze studia telewizyjnego, tłumaczący gorączkowo, że coś tam, niebywały skandal, niewiarygodna afera, będziemy wyjaśniać...

Telefon zadzwonił ponownie po jakichś dwudziestu minutach.

– Oglądałaś?!

– Tak...

– I co?!

– Jestem w szoku...

– To jeszcze nie wszystko. Jadę do ciebie!

* * *

– No, to po sprawie! Czuję tu jakiś apetyczny zapach. – Jacek pociągnął nosem, ledwie wszedł do mieszkania.

– Piekłam ciasto. Przypaliło mi się trochę przez tę konferencję, ale mogę ci ukroić kawałek...

– Nie, dzięki. Niczego nie byłbym teraz zdolny przełknąć. Daj tylko kawy, potrzebuję kofeiny, przede mną jeszcze długi dzień.

– Ale to jest legendarne ciasto mojej babci. Dzięki niemu odkryłyśmy z matką jej wspomnienia. Były w książce kucharskiej. Opowiem ci przy okazji.

– Zapakujesz mi do domu. Teraz kawy i... nawet nie wiesz, ile mam ci do opowiedzenia!

– I tak czuję się oszołomiona. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Ale mów.

Kotwicki zaczął opowiadać już w kuchni, podczas gdy parzyła kawę:

– No więc kilka rzeczy się na siebie nałożyło. Mówiłem ci, że nie zasypiam gruszek w popiele. A relacja twojej babki spadła mi do tego jak z nieba. W samą porę, bo bez niej jeszcze kilka drobiazgów było dla mnie nie do końca jasnych. Na trop Polkowskiego wpadłem dzięki kumpłowi, reporterowi z Warszawy, któremu zleciłem badania w IPN. Zrobił to dla mnie chętnie, choć trochę to trwało. Właśnie wczoraj rano nadesłał materiały. Wynika z nich, że Polkowski nie jest prawdziwym nazwiskiem pana biznesmena. Pierwotnie jego rodzina nosiła nazwisko Polk, następnie zniemczone: Polck, a potem z powrotem Polk. Zależnie od tego, jak wiatr zawiał. Dopiero w latach siedemdziesiątych ojciec naszego piwowara dokonał formalnej zmiany nazwiska na Polkowski, przy okazji fałszując historię rodziny. Mógł sobie na to pozwolić, bo siedział w bezpieczeństwie. Dziadek – ten zbir z opowieści twojej babki – tylko w partii. Zresztą wszyscy oni byli sobie warci. Dziadek – pospolity bandyta i oszust, tatuś bezpiek, także partyjniak, *notabene* to on był założycielem piwnego imperium, a po przemianie ustrojowej gangster w strukturach przestępczości zorganizowanej. Już nie żyje. Pałeczkę przejął synalek. Ciekawa postać. Mafiozo to może za dużo powiedziane, ale gangsterską schedę po mieczu odziedziczył. Od dzieciństwa dziwny: zamknięty w sobie, wycofany, odizolowany od rówieśników, żyjący we własnym świecie, choć jednocześnie wyjątkowo zdolny i inteligentny. Ostro zaburzony. Typowa osobowość schizoidalna, jak twierdzi emerytowany lekarz, który go jeszcze pamięta. W wieku siedemnastu oraz dwudziestu jeden lat leczony psychiatrycznie. Oczywiście dokumenty medyczne tajemniczym sposobem wyparowały.

Aha, zanim przejdę dalej... Z IPN dowiedziałem się jeszcze tylko tego, że oficjalnie rodzina hrabiego von Neuheit zbiegła po wkroczeniu Armii Czerwonej i opuściła granice Polski Ludowej, udając się w nieznanym kierunku. Wcześniej podpalili dwór, żeby nie dostał się w ręce władzy ludowej. Tak wynikało z powojennej notatki o zamknięciu sprawy majątku w ówczesnych Nowinkach i przejęciu folwarku na potrzeby Państwowego Gospodarstwa Rolnego.

Idźmy dalej...

W międzyczasie przenieśli się do pokoju i Kotwicki włączył przenośny komputer.

– Zaraz po tym, jak nadeszły do mnie te informacje, przypomniałem sobie słowa Roberta, że tylko jedna kobieta odezwała się do niego w odpowiedzi na opublikowany apel. Odnalazłem w jego notesie niezidentyfikowany numer i zadzwoniłem pod niego. Intuicja mnie nie zawiodła: był to numer komórki żony Polkowskiego. Spotkałem się z nią potajemnie, bo kobieta była chyba

jeszcze bardziej wystraszona od nas. Ale też silnie zdeterminowana. Od lat czuła się jego ofiarą. A historię naszyjnika piąte przez dziesiąte znała. Zdawała też sobie sprawę, że jest żoną zbrodniarza i psychopaty. Powiedziała mi, że nie dopuści, by taki człowiek zasiadał w parlamencie i decydował o życiu milionów ludzi. Umówiliśmy się, że założy naszyjnik na ten występ w telewizji. Zrobiła to w ostatniej chwili, wcześniej miała medalion w kieszeni, żeby go Polkowski nie zauważył. Już wcześniej próbował jej go odebrać, ale poprzestał w końcu na zastraszeniu i nakazie, by nie pokazywała się w nim publicznie.

Żebyś wiedziała, co działo się po wyjściu Polkowskich z konferencji... Oczywiście rzucili się na mnie inni dziennikarze, ale pary więcej z ust nie puściłem. W tej chwili drukuje się mój artykuł, relacja znajdzie się wszędzie. Przy okazji, do warstwy historycznej wykorzystałem fragment wspomnień twojej babki, ale nic osobistego, tylko ten końcowy kawałek o napadzie na dwór i o późniejszych prześladowaniach. Tak jak napisałaś w mailu. Polkowski jest skończony.

– Myślisz, że coś mu zrobią?

– Tego nie możemy być pewni, ale i tak jest skończony. Bo widzisz, kiedy wybiegł z konferencji i udał się do swojej limuzyny, czekali tam już na niego moi znajomi z pewnego internetowego tabloidu. Zaczekaj, nagranie już powinno być w necie...

Postukał w klawiaturę.

– Jest.

Obraz początkowo był zamazany, następnie się wyostrzył. Widać na nim było wzburzonego biznesmena oraz jego małżonkę przy eleganckiej czarnej limuzynie o przyciemnionych szybach. Tuż obok stał... znajomy im doskonale z widzenia duży szary ford, przy którym niespokojnie krążyło dwóch łysych cerberów.

– Panie prezesie! – odezwał się głos spoza kadru. – Jak pan skomentuje...

– Won, gnojku. Spierdalać stąd, ale już! – usłyszeli w odpowiedzi podniesiony głos Polkowskiego.

– Ale panie prezesie...

W tym momencie do akcji wkroczyli łysi, obraz znów stał się niewyraźny, słychać było odgłosy szarpaniny.

– Zostawcie ich! – odezwała się kobieta. – Romanie!...

I ponownie głos Polkowskiego:

– Milcz, głupia, podstępna dziwko! Do samochodu, kurwo, policzymy się w domu! Zerwał jej z szyi naszyjnik i schował go do kieszeni, brutalnie wpychając żonę do auta.

– Zostaw mnie w spokoju, bo...

– Zamknij się, cipo...

Trzaski, okrzyki, koniec nagrania.

Ewa z niedowierzaniem wpatrywała się w ekran.

– Rzeczywiście, wariat – skomentowała w końcu.

– No, nerwy mu w końcu puściły – odparł z zadowoleniem Jacek. – Prowokacja się udała. Choć i tak trzymał się dłużej, niż przypuszczałem. Psychol totalny, wyszło sztydło z worka.

– Chryste, a ja wysłałam dzieciaka na jego obóz...

– Daj spokój. Niby skąd mogłaś wiedzieć? Dobrze, że tak to się tylko skończyło.

– Ale co teraz będzie z tą biedną kobietą? Przecież on nie da jej żyć!

– Wszystko zostało przewidziane. Jest już spakowana, ma bilet na samolot. Jutro z samego rana wylatuje w nieznanym kierunku. Ma rodzinę za granicą, ma pieniądze. Zabezpieczyła się.

Dolała mu kawy, wciąż zamyślona.

– Wciąż nie wiemy jednego – powiedziała po dłuższej chwili. – Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Wtedy, w czterdziestym piątym...

Jacek wzruszył ramionami.

– Do końca nigdy nie będziemy wiedzieć. Wszyscy już dawno nie żyją, nie powiedzą nam. Możemy się tylko domyślać. Zapewne chodziło o zysk, nie wierzę w jakieś wyższe cele tych bandytów. Może się chcieli obłowić, wiedząc, że Niemców, a zwłaszcza niemieckich panów, nie chroni już żadne prawo? Jako pretekstu mogli użyć argumentu, że to hitlerowiec, służył w nazistowskim wojsku. Na to pewnie polecieli zwerbowani przez Polka ludzie. Poza tym mogło jeszcze chodzić o interesy. Stary Polk... to znaczy wtedy jeszcze młody, dzierżawił ziemię pod bank rolny od hrabiego. Kto wie, może von Neuheit chciał odzyskać od niego pieniądze z dzierżawy, może przeczuwał, że będzie musiał opuścić Gdańsk i wolał się na tę okoliczność zabezpieczyć finansowo, może Polk zamierzał też skonfiskować bankowe konta pracowników folwarku... Kto wie. Zapomniałbym o kolejnej ciekawostce: ziemię po byłym PGR chciał kupić od gminy Polkowski. Sprawdziłem to. Pod budowę ośrodka sportowego z kompleksem basenów i kortów, a także ekskluzywnego osiedla domów jednorodzinnych dla bogaczy. Niezła inwestycja. Oczywiście ziemię chciał odkupić za bezcen. Powoływał się na tamtą dzierżawę, jakieś prawa wyszane z palca. Na szczęście mu się nie udało. Choć nie sądzę, żeby z tego pomysłu tak łatwo zrezygnował, więc pojawienie się prawowitych spadkobierców było mu z pewnością nie na rękę. To oczywiście tylko moje domysły, spekulacje. Ale takim ludziom zawsze tak naprawdę chodzi tylko o zysk, nie o żadne idee.

– I potem prześladował moją rodzinę?

– Z pewnością. Twoja babka wyjaśniła to całkiem do rzeczy. Twój dziadek, jej mąż, zaczął grzebać w sprawie. Polk się wystraszył i zareagował na swój sposób, terroryzując waszą rodzinę. W tamtych czasach miał do tego idealne środki, ustawił się we władzach. W końcu zaaranżował tamten wypadek, by pozbyć się niewygodnego człowieka. Sądzę, że nie był pewny, kim są jego żona i córka, lecz coś widocznie podejrzewał, dlatego wolał utrzymywać je w ciągłym strachu. Po nim to samo robił jego synalek bezpiek, przynajmniej do pewnego momentu, bo według tego, co opowiadała twoja matka, prześladowania w pewnym momencie ustały. Być może po śmierci starego Polka, a może uznali w końcu, że nie ma już zagrożenia. Aż w końcu włączył się wnusio. Obaj takie same gnidy jak ten pierwszy. Mieli o co walczyć, dużo do stracenia, nieźle się obłowili. Polkowski to obecnie jeden z najbogatszych ludzi w Polsce.

– Dziwne, że nie zamordowali babci... i mojej matki – zauważyła.

– Na to byli zbyt ostrożni. Nie uważali tego za konieczne. Nie mieli pewności, że one coś wiedzą, a profilaktycznie zastraszyć prostą kobietę było o wiele łatwiej. Gdyby wymordowali całą rodzinę, to już nawet towarzysze z partii mogliby zacząć coś podejrzewać. A to im z pewnością nie było na rękę – wiesz, że rozgrywki partyjne, wykorzystywanie brudów dla własnych interesów były normą...

– Były i są.

– Zgadza się. Historia rodziny Polków vel Polkowskich zatoczyła koło. Dziadek zapoczątkował karierę polityczną, dziś wnuk poszedł w jego ślady. Tyle że pod szyldem skrajnej prawicy.

– Bo to tylko szyld...

Wkrótce potem zaczęli się żegnać, Jacek spieszył się do redakcji.

– Jutro dopiero będzie gorący dzień! – Zatarł ręce. – Media będą huczeć...

– Oby tylko Polkowska...

Rozległ się zgrzyt klucza w drzwiach.

– To Andrzej – powiedziała. – Pewnie już coś słyszał. Może jeszcze chwilę zaczekaj?
Zaraz mu wszystko opowiemy...

* * *

Następnego dnia rano opinią publiczną wstrząsnęła jednak inna, równie niespodziewana informacja:

Na koniec tragiczna wiadomość:

W godzinach nocnych w posiadłości na obrzeżach Gdańska wybuchł pożar w rezydencji znanego biznesmena, działacza społecznego i politycznego, właściciela słynnych browarów, kandydata na posła Romana P. Na miejscu przez cały czas od momentu zgłoszenia pożaru i przystąpienia do akcji ratowniczej obecna była straż pożarna, a także policja, ochotnicy oraz funkcjonariusze straży miejskiej. Dramatyczna akcja trwała przez całą noc. Ogień gaszono aż do godzin porannych, jednak mimo usilnych starań oraz determinacji ratowników nie udało się uratować budynku, który spalił się do fundamentów. Ocalały tylko zabudowania gospodarcze, gdzie żywił się nie rozprzestrzenił. W zgliszczach odnaleziono dwa dość mocno zwęglone ciała. Jedno – wstępnie zidentyfikowane – należało z niemal stuprocentową pewnością do małżonki piwnego bossa, Krystyny P., drugie najprawdopodobniej do samego biznesmena. Takie są przynajmniej na obecną chwilę pierwsze, niewiążące jeszcze ustalenia policji. Na potrzeby śledztwa przyjęto wstępnie hipotezę nieszczęśliwego wypadku, jednak po wczorajszym pamiętnym incydencie ([link](#)) podczas konferencji prasowej policja zastrzega, że będzie głębiej i gruntowniej badała sprawę pożaru rezydencji, a także dziennikarskie doniesienia związane z osobą gdańskiego polityka. W tej sytuacji dopuszczamy możliwość zaplanowanego samobójstwa obojga małżonków – odpowiada na nasze pytanie rzecznik Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku.

54-letni biznesmen...

Tu następowała obszerna notka biograficzna, z której wynikało niedwuznacznie, że Roman Polkowski był postacią absolutnie i przykładowo kryształową.

XVII DRUGA STRONA

A jednak gra ciągle w toku... Teraz mój ruch. Spaliłem za sobą mosty. Ale nie siebie. O nie, skurwiele!...

Nie ma tak dobrze.

Dziwkę spaliłem – dawno już powinienem to zrobić – a także jednego z moich półgłówków bez tożsamości, któremu swego czasu dałem drugie życie i tym samym miałem je prawo w dowolnej chwili odebrać. Kurwa myślała, że mi ucieknie. Naprawdę tak myślała. Wszystko zdążyła już sobie przygotować, parszywa, zdradziecka suka! Zemściła się za wyimaginowane krzywdy, o to jej chodziło. Tak jakby sama święta była, dziwka jebana wyciągnięta z szamba. Wymykała się właśnie z walizką do hotelu, kiedy ją nakryłem. Miała też już nawet zarezerwowany bilet na samolot. W dodatku na inne nazwisko. Tyle się ode mnie nauczyła, choć taka tępa. I nie doceniła tego, co dostała. Wyciągnąłem z idiotki prawdę, piorąc ją po pysku. Skamlała o litość, ale do samego końca nie wpadła na to, co zamierzam z nią zrobić. Nie uciekła daleko, choć próbowała. Tylko na schody. Tam ją dorwałem. Bardzo zdziwioną miała minę na tej swojej bezmyślnej, brzydkiej, zwiotczalej i postarzałej gębie, kiedy zlatywała ze schodów na złamanie karku. Dosłownie, nie w przenośni: złamała kark.

Pierdolony medalion rzuciłem jej na cycki – a niech go ma na koniec. Niech razem z nim ginie. Jemu też się należało. Pieprzone zdradzieckie świecidełko. Top się.

Skończysz tak, jak powinieneś był skończyć siedemdziesiąt lat temu.

Półgłówka udusiłem nieco wcześniej, w swoim gabinecie, do którego go pilnie wezwałem. I tam został, cichy i niemy, kiedy wyszedłem, by zająć się dziewczyną. Na zakończenie marnego żywota kopnął go zaszczyt, o jakim nawet nie śmiałyby marzyć: został MNĄ.

Zastąpi mnie godnie w pośmiertnej drodze. Choć raz będzie godny w złoczonej urnie, w ostatniej drodze.

Kurew niczego się nie spodziewała, kiedy zastukałem do jej apartamentu. A może i się spodziewała? Trudno stwierdzić, po tej idiotce nigdy nie widać było żadnych uczuć poza wiecznym strachem, zawsze tylko potrafiła srać w gacie. Tym razem zesrała się na dobre. Nie powiem, sprawiło mi to większą satysfakcję niż seks z nią. Tylko najpierw napiłem się – do lustro, które potem rozwaliłem w drobny mak.

Taki symboliczny gest. Na kres jednego istnienia. Na nowy początek. Znajdę sobie inne lustro, by kontemplować piękno mej duszy.

Na koniec podpaliłem chałupę. Najpierw na górze. Tak, żeby trup idioty sfajczył się bardziej.

Zaczęło się od pożaru, kończy się pożarem.

Ten etap za mną.

Forse mam zabezpieczoną na Kajmanach, w dupę możecie mnie wszyscy pocałować. Nazwisk posiadam dziesiątki. Paszportów, ile dusza zapagnie. Do wyboru, do koloru.

Twarzy też.

Siedzę sobie teraz wygodnie w samolocie, który zabierze mnie tam, gdzie tylko zechcę. Zamiast tej flądry. Już się pewnie zdążyła spopielić. Minie trochę czasu, zanim ugaszą ten ogień.

Ale zabawa to dopiero będzie, jak rozkopiają posesję...!

Kawy? Koniaczkę? Koniaczkę poproszę. A potem jeszcze raz koniaczkę! Do lustra! Do srebrnego kieszonkowego lusterka, zakupionego na lotnisku, w którym przyglądam się swojej nowej tożsamości.

Zacznę wszystko od nowa. Jestem podekscytowany, bo gra nabrała nowego wymiaru. Nabrała tempa.

To lubię.

Ale nie sądzicie, że nie wrócę.

Wrócę.

Wrócę, by wyrównać rachunki.

Kiedyś trzeba przecież zakończyć tę grę.

Niech wam się nie zdaje, że już została skończona...

No to do lustra, gnojki!

EPILOG

Miesiąc później

Na ten wyjazd szykowali się od dawna, tylko jakoś nigdy nie mogli zebrać się wszyscy razem, zawsze coś komuś wypadło. W końcu jednak się udało i oto byli tu znowu, tym razem całą rodziną – w Nowinie: Halina, Ewa z mężem oraz Jacek Kotwicki. Zabrała się z nimi nawet Dagmara, wstrząśnięta tym, że jeden z jej najważniejszych klientów okazał się przestępcą. Pluła też sobie w brodę, bo to właśnie ona nieświadomie „napuściła” na nich Polkowskiego, namawiając, by wysłali syna na organizowany przez niego obóz sportowy.

– To przeze mnie został pobity! – kajała się. – On przecież na pewno specjalnie przesłał nam te cholerne ulotki, nie przypadkiem. Ale kto by pomyślał... taka osobistość...

– No właśnie, kto by pomyślał – uspokajała ją Ewa. – Więc skończ już z tym samobiczowaniem. Ostatecznie nic mu się takiego nie stało. Nie ma co do tego wracać.

Zabrakło jedynie właśnie Kacpra, który ostatnie dni wakacji przeznaczał na... spotkania z dziewczyną. Zastrześlił ich tą informacją wkrótce po powrocie z gór. Okazało się, że poznał Ilonę na obozie, potem dzwonili do siebie, w końcu zaczęli się spotykać. Ona też była z Gdańska, ale chodziła do innej szkoły. Prawdę mówiąc, Ewa czuła się z tego powodu uszczęśliwiona – dziewczyna była niegłupia i dobrze wychowana, Kacper zdecydowanie przy niej zyskał. Nie stawiała więc oporu, gdy syn wymigał się od rodzinnej wycieczki, bo akurat Jarmark Dominikański, a Ilonce tak bardzo zależy... Niech będzie – zgodziła się – w końcu w Nowinie już był, zabrała go tu zaraz po zakończeniu śledztwa i ukazaniu się w prasie artykułu Jacka. Chłopak nawet się tym zainteresował, co już samo w sobie graniczyło z cudem.

A palić zniczy nie musi akurat teraz, zrobi to przy okazji. Żałowała trochę, ale zdała sobie sprawę, że młodzież nie lubi pompy, a naleganiem mogłaby go tylko zrazić.

Bo po to tu tak naprawdę przyjechali: by uczcić pamięć zamordowanych krewnych, po tym, gdy odkopano ich zbiorową mogiłę w lesie – już nie młodniaku, teraz był to już prawdziwy las. Zażyczyła sobie tego Halina.

Za radą Kotwickiego wszczęli postępowanie spadkowe. Być może potrwa to jeszcze lata – ekshumacja, badania DNA, wszelkie skomplikowane procedury prawne – ale jest szansa, że kiedyś zbudują sobie wymarzony dom na wsi, do tego w miejscu, gdzie tkwiły ich korzenie. Ewa po cichu marzyła o siedlisku, gospodarstwie agroturystycznym, stadninie koni. Wszystko jeszcze może się zdarzyć. Kibicowali jej w tym mieszkańcy wsi, którzy odetchnęli z ulgą, że raczej nie grozi im już luksusowy ośrodek dla bogaczy w sąsiedztwie ich spokojnych domków. Choć urzędnicy gminni byli zapewne przeciwnego zdania.

W każdym razie mieszkania na Jaśkowej Dolinie na razie nie będą sprzedawać – wynajęli go Jackowi, który wprowadził się tam dwa tygodnie temu razem z kotem. Tylko za opłaty. Zobowiązał się za to do odmalowania ścian i odnowienia podłóg w ciągu roku. Śmiał się też, że jak już wyprowadzą się na wieś, odkupi ich mieszkanie na Zaspie. Mniejsze w zupełności mu wystarczy, a że po reportażu o Kotowskim otrzymał solidną podwyżkę oraz dodatkową rubrykę w gazecie, będzie wreszcie mógł uzyskać kredyt w banku. Ewa wiedziała, że dziennikarz dostał

jeszcze lepszą propozycję – z Warszawy. Odmówił jednak, lojalny wobec swojej macierzystej redakcji. Oraz swoich wspomnień.

Po drodze wstąpili do pani sołtys, która zaprosiła ich na herbatę, a po niej chętnie zabrała się z nimi. Przyda jej się spacer, stwierdziła zdecydowanie.

Zostawili samochód u niej na podjeździe.

Byli właśnie w drodze na cmentarzysko, jak między sobą nazwali to miejsce.

W powietrzu czuło się już nadchodzącą jesień, w folwarcznym sadzie dojrzewały owoce, wokół pachniało jabłkami. Halina zerwała sobie kilka sztuk do torebki. Nie okazywała wzruszenia, jednak Ewa dobrze wiedziała, co czuje. Nawet jak na siebie, była dziś wyjątkowo małowówna.

Przed sobą mieli do pokonania jeszcze może z pół kilometra malowniczej ścieżki przez las.

– Czytałam o wszystkim w gazetach. – Ewa usłyszała głos pani Krystyny. – Nieprawdopodobne... Straszny człowiek, nikomu źle nie życzę, ale dobrze, że umarł – dodała mściwie. – Gratuluję państwu serdecznie, szczególnie panu, panie Jacku. Choć sprawę oczywiście zatuszują. Jak zwykle w podobnych przypadkach, gdy chodzi o polityków i oligarchów.

– To prawda – zgodził się Kotwicki. – Już to widać. Całe to śledztwo to jedna wielka mistyfikacja. Dowiedziałem się swoimi kanałami, że coś chachmęcą z identyfikacją zwłok po pożarze rezydencji Polkowskiego. Moim zdaniem oni wcale nie robili nawet badań DNA. Nie zdążyliby zrobić tego porządnie. Szybko go pochowali, pogrzeb z pompą, wieńce od władz, przemowy. Mam nadzieję – zwrócił się do pani sołtys – że facet faktycznie nie żyje, ale coś mi tu, cholera, śmierdzi...

– Nie kracz! – Ewa włączyła się do rozmowy. – Znaleźli dwa ciała w ich własnym domu. Co tu fantazjować, wymyślać spiskowe teorie. To musieli być oni, nie mogło być inaczej. Tylko tej jego biednej żony szkoda...

Jacek machnął ręką.

– Masz rację. Nie ma co drażnić tematu. Kobiety żal, ale nic już na to nie poradzimy.

– A co teraz będzie z Browarami Polkowskiego?

– Odziedziczy je podobno jakiś daleki krewny z USA i pewnie sprzeda jakiemuś koncernowi. To będzie koniec tych browarów. Nawet szkoda, bo piwo mieli niezłe.

– No i bardzo dobrze – skwitowała pani Krystyna. – Niech się oczyści to szambo do końca. Dla mnie to okropne, że w dzisiejszych czasach tacy ludzie mogą być politykami, w sercu Europy! Decydować o losie milionów ludzi. Okropność!

Kotwicki pokiwał głową.

– Właśnie takim się to udaje. Żadnym władzy osobnikom bez skrupułów, za to z potężnym zapleczem w postaci ogromnego majątku i kontaktów. Dla których ludzie to tylko pionki w grze.

– Brudnego majątku, panie Jacku! Normalni ludzie w tym kraju ledwie ciągną od pierwszego do pierwszego. Okropność, powtarzam. Przyszło nam żyć w cynicznej epoce.

– Pani Krystyno, chyba zawsze tak było – wtrąciła Ewa. – I wszędzie...

Po chwili znaleźli się na miejscu. Wysokie drzewa ocieniały obszerny, głęboki, prowizorycznie zakopany i zabezpieczony dół. Dagmara ustawiła się na uboczu, jakby nie chciała przeszkadzać, choć nawet na jej twarzy malowały się emocje. Halina w milczeniu zapaliła dwa duże czerwone znicze.

– To dla nich dwojga.

A potem jeszcze jeden, tym razem zielony.

– A ten dla reszty.
Kotwicki dostawił jeszcze jeden.
– A ten dla Roberta. I innych ofiar Polkowskiego.
Andrzej zbliżył się do Ewy i objął ją.
– Nie jest ci zimno? – zapytał cicho, z troską. Ostatnio świetnie się wiodło w ich małżeństwie. W ogóle w rodzinie – pomyślała, spoglądając na matkę.
– Założyłaś medalion – zauważył.
Dotknęła bursztynu na swojej szyi. Był ciepły, jakby żył.
– Taaak... Chciałam, żeby i on tu powrócił. Choć na chwilę.
– I co? Czujesz jakieś... wibracje?
– Może...
Uśmiechnęli się do siebie, podczas gdy pani Krystyna z Jackiem ściszonymi głosami rozprawiali o historii.

W drodze powrotnej Ewa puściła towarzystwo przodem. Chciała choć przez chwilę побыć tu sama. Dotknęła ręką medalionu, delikatnie potarła bursztyn, poczuła jego ciepło. A jednak zdradziłeś mi swoją historię – powiedziała do niego w myślach.

Od grupy na ścieżce oderwał się Kotwicki. Zaczekał na nią, przyspieszyła więc kroku, by się z nim zrównać.

– Rozmawiasz z bursztynem? – zapytał.
– Coś w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, tak sobie myślę... matka widzi w nim ogień. Może to głęboko zakodowana trauma z wczesnego dzieciństwa. W każdym razie nie chce go nosić. A ja widzę... czas zaklęty w przedmiocie. A może świat zaklęty w czasie? Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Czyli... wieczność. Czuję się w każdym razie tak, jakby mnie do siebie wpuścił. Zaprosił. Dopuszczał do tajemnicy, do jakiegoś misterium. Może nawet jakby nade mną czuwał. Wiem, że gadam jak potłuczona, ale ty mnie rozumiesz?

– Ktoś kiedyś powiedział, że stare grzechy mają długie cienie – odparł poważnie.
– Zabrzmiało złowroźnie. Co masz na myśli?
– Sam nie wiem. Tak mnie jakoś naszło. Dołączmy lepiej do reszty, bo pomyślą, że spiskujemy – dodał swobodniejszym tonem.

Mimo to poczuła dreszcz. Zdawało jej się, że bursztyn na jej piersi błysnął krwawo. Szybko uświadomiła sobie, że to tylko zachodzące słońce się w nim odbiło.

Jednak dziwny lęk nie chciał jej opuścić...

KONIEC

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA

Na samym wstępie chciałabym podziękować mojej kochanej Czytelniczce Magdalenie Białek. Rok wcześniej, po premierze *Listu z powstania*, Magda napisała do mnie i opowiedziała pasjonującą rodzinną historię, która stała się bezpośrednią inspiracją dla tej książki. W tej oryginalnej opowieści znalazł się właśnie prawdziwy, tajemniczy list z przeszłości, z czasów drugiej wojny światowej, odnaleziony w starej komodzie. Ta historia oraz kopie fotografii znaleziska rozpałył moją wyobraźnię i spowodowały, że zaczęła ona galopować jak szalona, tworząc własną wersję wydarzeń, które w rzeczywistości nie zaistniały – lecz przecież mogły.

Dziękuję Ci, Madziu, za zaufanie i podzielenie się ze mną kawałkiem własnego życia oraz życia Twojej Rodziny.

W mojej opowieści, jak zwykle, fakty mieszają się z fikcją, prawdziwe miejsca z wymyślonymi, losy postaci literackich z życiem prawdziwych – choć anonimowych – ludzi, zarówno z przeszłości, jak i współczesnych gdańszczan. Od razu zastrzegam, że miejscowość Nowina nie istnieje, choć na mapie można znaleźć zapewne wieś czy miasteczka o zbliżonej nazwie. Nie mają one jednak żadnego związku z opowiadaną przeze mnie fikcyjną historią.

Nawiązałam natomiast do niedawnego głośnego odkrycia zbiorowych mogił w Malborku, również pochodzących z końca drugiej wojny światowej. Choć skala inna, to sytuacja podobna. I wciąż nie do końca wyjaśniona. A także do wielu innych zbliżonych historii zasłyszanych lub przeczytanych, związanych z Gdańskiem oraz z jego okolicami. Specyficzne to miejsca, ze względu na swe położenie i swoje dzieje. Nie będę się tu wdawała w szczegóły – tych poszukacie sobie sami – przypomnę tylko, że Gdańsk to miasto wielu kultur, wielu narodów, miasto pogranicza, a jego burzliwe dzieje ukształtowały nie tylko jego ponadtysiącletnią historię, architekturę i kulturę, ale także atmosferę – tego ducha, który nieprzerwanie oddziałuje na nas wszystkich, w szczególności jego mieszkańców, ale także gości.

Na koniec podziękowania dla wszystkich, którzy przyczynili się do powstania tej książki oraz jej treści.

Dla moich wiernych Czytelników i Przyjaciół, którzy mi serdecznie kibicowali i wspierali podczas pisania.

Mamie dziękuję za mimowolne podsunięcie mi pomysłu z książką kucharską. Tak jak moja bohaterka posiadam taką książkę, odziedziczoną wraz z zeszytami zawierającymi odręczne przepisy Mamy oraz Babci. Tyle że w przeciwieństwie do Haliny, częściej do niej zaglądam.

Mężowi Krzysztofowi za wstępną korektę w miarę powstawania książki, za pomoc w gromadzeniu materiałów, a także za to, że cierpliwie i ze zrozumieniem wysłuchiwał moich, związanych z książką, rozterek.

Wydawcy, szczególnie w osobie Pani Olgi Reszelskiej – za to, że książka JEST. Oraz mojej ulubionej redaktorce, pani Beacie Bociąg, za ostateczny kształt tekstu oraz trafne uwagi.

Dziękuję Wam wszystkim, kochani!

Anna Klejzerowicz

Taki list otrzymałam 14 listopada 2013 roku. Stał się dla mnie inspiracją do opisania tej historii.

Anna Klejzerowicz

Droga Pani Anno!

(...) Mój dom w czasie wojny został oddany Niemcom. Mieszkało tutaj małżeństwo, on był wysoko postawionym oficerem albo urzędnikiem. Kredens, w którym był list, stał w kuchni. Rok temu mój wujek, do którego trafił kredens, postanowił go rozmontować i spalić. Na wewnętrznej ściance znalazł kopertę wciśniętą między deski. Twierdził, że sposób, w jaki była włożona, sugeruje, że została tam celowo ukryta.

26. 1943

Liebe Mly, lieber Bruder!

~~Wann~~ ~~meine~~ ~~seidest~~ ein gütigege-
ner geitscher zum Pfingst fest auch
Pfingstkarten, aber greife mal einen
nackten Mann in die Hosentasche!

Diese elende Tasche zwingt mich
also dazu, mein ganzes kostbares
Briefpapier unter "Volk" zu schlucken.
Jahres sind Karten so praktisch, aber, wie
esagt!

Mein kleiner Bruder (in Doppelrolle auch
Schwager) plant sich, mich wieder
zum Pfingstfest beste und herzlichste
Grüße zu senden. Ich wünsche mich
ein paar sonnige, sorgenfreie Tage, die
Ihr natürlich zusammen verleben
müßt.